

Bunt





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Bunt

BAŚŃ

CZEŚĆ I

I

— Policzymy się teraz, sobako! — zakrzywała triumfująco i, zapędziwszy Rekxa do kąta, jęła go bić pogrzebaczem, zajądło wypominając po każdym uderzeniu: — To za pieczeń! To za wczorajszą kielbasę! To za indyczki! — Pies wiał się i, skamłając błagalnie, lizał ją po nogach. — A teraz masz za jamniki, żebyś zapamiętał, chacie jeden, że pańskich piesków ruszać nie wolno. A teraz, żeby cię już raz diabli wzięli!

I trzasnęła go przez łeb tak potężnie, aż pies zawył, rzucił się na nią z klami, przewrócił na środek kuchni i uciekł. Wybiegła za nim z przeraźliwym wrzaskiem pomstowań.

Ale Rex już był przepadł¹ w pobliskiej gęstwinie bzów i akacji, a chociaż srodze poraniony i ledwie dyszący, czołgał się ostatkami sił w dalsze, bezpieczniejsze miejsce, gdy od strony kuchni rozniosły się znowu krzyki.

Gospodyni, przytrzymując za kudły Niemowę, prała go niemiłosiernie.

— Ty podły bękarcie! Gorszyś od tego parszywego psa. Bebechy z ciebie wypuszczę, ty obmierzył złodzieju. Z łaski daję ci żreć, a ty jeszcze kradniesz!

Ryczała, że i chłopak wydzierał się wniebogłosy, na próżno usiłując się wyrwać z jej żelaznych pazurów, powstał taki gwałt, aż zatrwożyło się całe dworskie podwórze. Psy łańcuchowe jęły szarpać się i skowyczeć. Rozgdały się wystrachane kurniki. Perliczki z wrzaskiem uciekały na dachy, a gołębie pokryły się w drzewach nad studnią. Wzburzone indory, nastroszywszy korale i ogony, rozgulgotały się, groźnie depcąc w miejscu. Pawie przyleciały spod ganku i, roztoczywszy tęczę swoich piór, zanosily się wzgardliwymi głosami. Przybiegła z pokojów sama dziedziczka, panicz z fuzyjką, panienki z lalkami na rękach i dwa rude jamniki, wiercące się żmijowato.

Puściła go wreszcie, dając folę obfitym łzom i narzekaniom.

Niemowa skoczył w zarośla i jak kłoda zwałił się obok Rekxa.

Leżeli obaj bez sił i prawie bez pamięci, jednako² zbici i jednako nieszczęśliwi.

Słońce dogrzewało i ciepły wiatr przewiewał gąszcze, a szmer liści i brzęki owadów grały tak słodko i upajająco, że obaj zasnęli. I obaj jeszcze przez sen jakby się skarżyli na swoje krzywdy, chlipiąc i skamłając z cicha i żałośnie. Wsunął się bez szmeru czarny, ogromny kot, przyjaciel dawnych lat Rekxa, i, obwąchawszy go, przytulił się do jego boku i mruczał współczująco. A później kilka wron spłynęło na niskie gałęzie akacji, jęły świdrować mroczne gąszcze i, ostrząc dzioby, opuszczały się coraz niżej i coraz zuchwalej.

— Jeszcze nie zdechłem... — warknął Rex, podnosząc na nią nienawistne oczy i, oblizawszy skrwawioną i zapłakaną twarz Niemowy, obudził go szarpnięciem.

— Chodźmy stąd, wypatrzą nas — zająkał chłopak, rozumieli się doskonale.

— Poczekam wieczora! Gotowi mnie dobić, nie obronię się.

— A to cię uszlachtowała! — pożałił się Niemowa nad przyjacielem i garścią trawy wytarł mu boki i zaropiałe ślepie. Rex pojękiwał z wdzięczności.

— Spędź te podłe dzioby — warknął do kota. — Te śmierdzące, to gorsze nawet od ludzi.

— Przeprowadzę cię do obory, znam miejsce pod żłobami — proponował Niemowa.

— Południe zaraz i te owczarskie skowyrki³ mogą mnie upolować, a sił nie mam. Pić mi się chce... pić...

— Zobaczę, czy nie ma nikogo przy wodzie — oznajmił troskliwie kot.

— Leżta, przyniosę wody.

Jakoż, przyniosłszy w jakiejś skorupie, podtykał ją przyjaciełowi.

— Ale gołąbki toś mi powybieirał — zwrócił się do kota.

— Wybrał je kowalowy Jędreć, widziała Maciora, niech ci zaświadczy. To zbój, on i wróble spod bocianiego gniazda powybieirał; nawet srokom nie darował, za co mnie stara

Przemoc, Pies

Przyjaźń, Kot, Pies

¹był przepadł — forma daw. czasu zaprzeszłego, dziś: przepadł (dawniej, wcześniej, uprzednio). [przypis edytorski]

²jednako (daw.) — forma przysłówkowa od *jednaki* — taki sam; tak samo. [przypis edytorski]

³skowyrka (daw.) — *skowera* — pies. [przypis edytorski]

tak napadła, że ledwie uciekłem. Złodziej, a teraz za słowiczymi gniazdami wypatruje. Już papuga krzyczała na niego.

— A ty się koło papugi nie kręć! — warknął ostrzegająco⁴ Rex.

— Jędek kowalowy! Czekażcie, hyclu⁵! Spędzę gęsi z pola i może ci co przyniosę z obiadu. Poczekaj na mnie! — zaświstał na palcach tak przeraźliwie, aż wystraszone wrony uciekły do parku.

I kot się wyniósł, ostrożnie, bokami, przebijając się w stronę kuchni.

Właśnie zadzwonili na południe i dworskie podwórze zaczęło się napępiać gwarem głosów zwierzęcych i ludzkich, furkotem wozów i ciężkim stąpaniem stad spędzanych. Zaskrzypiały studzienne żurawie. Świnie po chlewach zakwiczały niecierpliwie. Jaskółki rozświegotały się na chwilę i pomilkły, a potem wszystkie głosy jakby spłonęły w ogniu słońca i rozsypały się w omdlewającej cichości upalnego południa.

Rex, liżąc swoją ranę, czuwał, bo strzygł uszami, czasem podnosił łeb, niekiedy pociągał nozdrzami, a chwilami, pojękując z cicha, zaczynał zasypiać.

Słońce grało swój hymn południowy: rozpalone powietrze rozedrgało się muzyką płomieni, że wszystkie głosy przyrody, a była ich nieskończoność, spłynęły w tę złotą symfonię światła. Wszystko było dźwiękiem, barwą i zarazem jakimś widmowym zarysem. Południca z jastrzębiem na głowie przepływała nad ziemią, a gdzie tknęły jej złociste szaty, tam wysychało wszystko na proch, a gdzie osypały się jej żółte niby kwiaty szaleju, spojrzenia, tam śmierć zbierała obfite żniwo: tam nagle jakiś ptak spadał z gałęzi, drzewa więdły, owady padały martwe, a nawet strumienie mdały w spiekocie. Nawet Rex zadrżał i, skuliwszy się, przywarł łbem do wilgotnej ziemi i traw chłodnych. Przepłynęła, za nią rozsnuły się trwożne krzyki stworzenia i posępne bruzdy cieniów, radzące słoneczne światłości.

A pies w bolesnej drzemce dał się owładnąć wspomnieniom. W tej nędzy przynosiły zapomnienie jaśnienia minionych czasów. Tych czasów, kiedy żył we dworze jako nieodstępny towarzysz wszystkich. Kiedy się rozwał na dywanach, i był kochanym i pieszczonym. Pan kazał, to mordował rodzonego brata, psa; pan kazał, to i człowieka rozdzierał. Przecież na wilki chadzał w pojedynkę. Sam jeden potrafił dziki poruszyć z bajorów. Na jego grzmiący głos wszystko drżało w podwórzach, w parku i na polach. Nawet byki uciekały przed jego klami. I jak się to stało? I jak się to stało, że teraz jest bezpańskim nędzarzem? I żyje we wzgardzie, nędzy, opuszczeniu i musi kraść nędzne ochłapy? Nie mógł pojąć. Takie żale zatargały mu wnętrzności jakby żelaznymi pazurami, że podniósł się nagle, sprężył i zawył rozpaczliwie. Ogromny był, płowy, podobny do lwa, i mimo zapadniętych boków i ran na grzbiecie, groźny jeszcze i potężny. Zatoczył przekrwionymi oczami, wyszczerzył kły i, nie zważając na ból, ruszył zuchwale do dworu, pod wysoką kolumnadę, gotowy na każdą walkę, byle się jeno dostać do pana i poskarżyć. Ale pusto było i drzwi do sieni stały wywarte. Ruszył śmiało do wnętrza domu, zawahał się chwilę, pociągnął nozdrzami i poszedł amfiladą pokoi. Przechodził jeden za drugim, przystawał w każdym i, obwąchując, oglądał. Wlókł się coraz wolniej, jakby pod ciężarem wspomnień. Tysiące rozpierzchniętych zapachów wskrzeszało w nim pamięć dawno pomarłych dni. Jakież dogasające dźwięki, jakież tchnienia zmartwiałe, jakież odbicia widmowe ludzi błakały się po ogromnych, posępnych pokojach. Każdy sprzęt opowiadał mu długą historię, że znowu czuł i wiedział co się tutaj działo. W jednym z pokoi zalsniły bronie porozwieszane na ścianach, spiał się do nich i wśród zwietrzałych prochów i zbroi poczuł swojego pana. Pamięć wyrzucała z ciemnych jam coraz żywsze obrazy. Rozciągnął się przed wystygłym kominem na puszystej, białej niedźwiedziej skórce. Poczuł ciepło ognia i pieszczącą dłoń pana na grzbiecie, zaskowyczał z rozkoszy i mlasnął językiem, żeby go polizać — nie było nikogo; za oknem ćwierkały ptaki, grało słońce i szemrały drzewa. Uciekł do sąsiedniej sali, mrocznej i pustej, muchy brzęczały poza przymkniętymi okiennicami. Olbrzymie zwierciadła przysłaniały krepy. Powietrze było przejęte stęchłą i czymś, co mu przypominało zapachy bijące z otwartych kościołów. Spenetrował środek sali i skurczył się trwożnie, wionęło jakimś trupim ciągiem. Nie mógł pojąć. Zadygotał i z niepokojem wodził ślepiami po ścianach, z których spoglądały jakieś wielkie

Lato

Dworzanin, Dwór, Sen,
Wspomnienia

⁴ostrzegająco — dziś raczej: ostrzegawczo. [przypis edytorski]

⁵hycl (pot.) — nicpoń, hultaj. [przypis edytorski]

postacie o nieruchomych oczach. Przypadł do ziemi, bo zdały się patrzeć tak surowo, że strach nim zatargał. Wymykał się bokiem, pod ścianami, gdy naraz zobaczył swojego pana — siedział między oknami z dużym psim łbem na kolanach. Zawarczał zazdrośnie, ale, przyczołgawszy się do niego, jął cicho skamlać i bić ogonem. Pan ani się poruszył, ni zawołał na niego.

Rex odskoczył jakby w obawie uderzenia, lecz po chwili znowu przypadł mu do nóg i, wpijając się w niego przełzawionymi ślepiami, wyznawał jęklwym, porwanym skowytom wszystkie swoje nędze i nieszczęścia.

Szarawy cień oderwał się jakby z portretu, cień chwiejny w bezkształcie, rozwiany i drgający zarys sphywał ku niemu, ale Rekxa przejęła nagle trwoga, zjeżył grzbiet i, szczękając klami, cofał się ze skowytom dzikiej zgrozy. Długo potem dyszał w sąsiednim pokoju, nie śmiejąc się poruszyć, jakby zmartwiały z obawy i nieprzeparłej potrzeby zobaczenia jeszcze raz swojego pana. Nie odważył się jednak zajrzeć do sali, tylko pociągnąwszy nozdrzami, skulił ogon pod siebie i przemknął się do małych pokojów zatopionych w słońcu. I tam było pusto.

Przez otwarte okna grały melodie parku i światła. Tknał nosem porozrzucane zabawki, poliznął pieszczotliwie to i owo, a nasyciwszy się kochanymi zapachami, poszedł na wielką terasę, przysłoniętą namiotem kwitnących róż i powojów.

Leżał tam słodki cień przesiany płatami słońca i po kątach, w skórzanych prawiecznych fotelach rozkoszny, kojący chłód.

Snop bijącej wody migotał i skrzył się przed terasą.

— Rex! Rex! — zakrzyczała radośnie papuga ze złotej obręczy.

— Szukałem cię! — warknął, sadowiąc się w fotelu, jak kiedyś. Od dawna żyli w wielkiej przyjaźni. Spłynęła na poręcz i, bijąc skrzydłami, zaczęła mu krzykliwie rozpowiadać przeróżne nowiny. Nim zdążył się przed nią wyznać, wpadły z ujadaniem jamniki, a za nimi dziedziczka, panicz z fuzijką i cała chmara.

— Uciekaj! Uciekaj! — zalkała trwożnie papuga.

Było już za późno. Dopadła go rozniewana dziedziczka i wrzasnęła:

— Poszoł won! Precz mi, ty obrzydliwcze! Wstrętne psisko! Precz!

I wraz poczuł w nogach kły jamników, a na grzbiecie bolesne i ciężkie razy.

Rozsrożony zniwagą i bólem, zgarnął pod siebie nędzne psiaki, szarpiając je niemiłosiernie i już nie bacząc na krzyki, na strumienie wody, ni na grady kijów.

— Uciekaj! Uciekaj! Rex! Rex! — zanosila się nieustannie papuga.

Otrząsnął się wreszcie z napastliwej zgrai i lwim skokiem wydobył się przed terasę na trawniki, ale, nim dosięgnął gąszczów, huknął strzał i jakby garść gryzącego żwiru trzasnęła go w lewy bok. Pod okrutnym ciosem zarył łbem w trawę, lecz, zebrawszy ostatki sił, cisnął się pod niskie świerki, gdy znowu gruchnął strzał. Osypały się gałązki, niby zielone lzy spływając martwo na niego. Nie czekając na więcej, przeczołgał się przez park w podwórze, pod obory i wcisnąwszy się do budy, padł zmroczony bólem. Stary Kruczek odstąpił mu barlogu, jeno, targając się na łańcuchu, zawył jakby przyzywając na pomoc.

— O wilki wściekle, nie ludzie! — biadał Niemowa, który, dowiedziawszy się od srok co się stało, przyleciał ratować przyjaciela. Oblał go wodą i podsunął mu mleka.

— Pij bracie! Wydoilem krowę dla ciebie — prosił, ostrożnie obmacując mu boki.

— We dworze mnie pobili, we dworze! — skamlał żałośnie, trzęsąc się z zimna i bólu.

Chłopak obtulił go workami jak dziecko, ugłaskał i zapowiedział Kruczkowi:

— A zrób mu jaką krzywdę, to cię ubiję jak psa! I polecał do swoich gęsi.

I szły ciężkie dnie, w których Rex ważył się pomiędzy życiem i śmiercią, żarły go rany, żarło go bezlitośnie słońce, trapiły muchy i dobijały żale opuszczenia.

Dopiero noce dawały świętą łaskę chłodu i ulgi. Niemowa przylatywał z wodą i jadłem, długie godziny przepłakując nad wspólną dolą. Dowiedział się bowiem, że Rekxa szukają, żeby go zabić, a jego mieli wypędzić ze dworu.

— Hulnę do stawu i już, co mi tam! — postanawiał chłopak — Ale ciebie mi żal, sieroto! Musisz uciekać we świat! I co ty poczniesz? — rozpaczal nad nim.

— Niech tylko wyzdrowieje! — stękał, polizując go z wdzięczności.

— Nie wydamy go! — warczał groźnie Kruczek, dzielący się z nim nie tylko legowiskiem, ale i każdą miską otrzymanej strawy i tym, co był upolował wolnymi nocami.

Portret, Dworzanin, Pan

Cierpienie

Cierpienie

A przy tym, całe podwórze sprzysięgło się otaczać go tajemnicą przed ludźmi.

Niemowa bowiem zapowiedział, że każdemu, choćby to nawet były wierzchowe ogier, poprzetrąca kulasy, jeśliby zdradzili Rekse. Więc też lizał się z ran powoli, w spokoju i otoczony powszechną życzliwością. Nawet owczarskie skowyrki zapomniały mu dawnych bojów o wyłlice, i ukradkiem odwiedzały. Co rano stada, wychodzące na paszę, rzucały mu rykliwe pozdrowienia. Niekiedy w południe, powracając od studni, jaki rogaty łeb pochylał się przed budą. Konie rżały cicho, węsząc ostrożnie w jego stronę. Zasię niefrasobliwe źrebięta, nieznające jeszcze bata, figlowały, chwytając go za uszy miękkimi, ciepłymi wargami. Zawsze wystrachane owce rozbekiwały się nad jego dolą. A maciory wybierały sobie miejsce pod oborą i, uwalivszy się na słońcu, dawały wymiona na pastwę prosiętom i, postępując pod uderzeniami ich zapalczywych łbów, spoglądały w Rekse martwymi, szarymi oczkami, pokwikuując mu różności. Nieraz też słyszał nocami przez ściany obory, jak woły, przeżuwając i głamiąc⁶ mokrymi gębami, wśród wyrzekań na pracę, baty i głód, wspominały o nim.

A już najwięcej serca pokazywał osioł, żyjący na łaskawym chlebie. Stary był i mądry jak świat, oparszały, brudny, zawsze utyłany w błocie i popiele, bity przez wszystkich, pogardzany ogólnie, wyśmiewany powszechnie i zewsząd wypędzany. Pastwili się nad nim zarówno ludzie, jak i zwierzęta.

Znajomość była dawna, z czasów kiedy woził panicza, Rex obu pilnował i we trzech uganiał się po polach w sekrecie przed dziedzicem.

Oślisko przyłaziło codziennie, wystając pod budą ze spuszczonego łbem i obwiśniętymi uszami, a skarząc się tak rozdzierającym głosem, że Kruczek wyl z przerażenia, zaś Niemowa kijem go przyciszał i odpędzał. Obity, sponiewierany, powracał jednak uparczywie, nie przestając swoich lamentacji.

I skrzydlaci zajmowali się żarliwie Reksem, bo codziennie na wszystkich płotach odprawowały się na jego intencję swarliwe akademie pełne gdakań, gulgotań, pisków i wrzawy. A nawet jedna z kokoszek, ośmielona łaskawością Kruczka, zakwaterowała się ze swoim drobiazgiem przy Reksie, krzekorząc⁷ mu nieustannie o zaletach swoich dzieci. Tylko pawie, dumne jak zawsze, trzymały się z daleka i wzgardliwie, a wrony również wedle wrodzonego zwyczaju obserwowały z dachów budę, cierpliwie wyczekując — na wszelki wypadek.

Nie doczekały się jednak, bowiem Rex zdrowiał, tylko że co dzień był jakiś chmurniejszy i bardziej w sobie zamknięty. Przytłaczały go jakieś rozważania, dziwne czucia i zwidzenia. Zaczynał patrzeć na świat z głębin swojej nędzy i sieroctwa. Dawniej nie troszczył się tym, co się działo poza dworem: czuł jak jego pan i prawie po ludzku odnosił się do wszelkiego stworzenia.

Istniały, żeby je dusić, pędząć, zabawiać się nimi. Stosownie do pańskiego rozkazu. Przegradzała go od nich niezgłębiona przepaść prawie ludzkiego bytowania. Wypędzono go ze dworu i zepchnięto na dno niedoli. Coraz potężniej odczuwał swoją krzywdę. To była niezagojona rana, przez którą sączyło się do serca pragnienie dzikiej pomsty na człowieka. W takich chwilach byłby rozrywał kłami nawet ich szczenięta, za którymi niegdyś przepadał, i z rozkoszą żłopał ich krew gorącą. I w te długie noce choroby, w te jeszcze dłuższe, bezsenne dnie, rozważał, jak ich osiągnąć swoją zemstą.

I tak się zapamiętywał w nienawiści, że wszystko, co mu zaśmierdziło człowiekiem, budziło w nim niewypowiedzianą obmierzłość i zarazem coraz większą zgrozę. Bowiem w tych rozważaniach jawiła mu się cała potęga człowieka. Olbrzymiała w nim do szczytu przerażenia. Jakże wziąć pomstę z huraganu? Jakże się nie dać piorunom? Jakże uchwycić kłami błyskawice? Ciosy bezsilnej rozpacz przeżywały go jakby nożami. Przecież ten dwunogi niepodzielnie panował nad światem. Pod jego okrutną władzą żyło wszelkie stworzenie. Śmierć i życie w jego władaniu. On mocen⁸ wszystko! Stwórca i zarazem kat wszystkiego.

Dopiero teraz poczuł tę straszną prawdę. I każda chwila ją potwierdzała. Przykuty niemocą do barłogu, stawał się czującym widzeniem wszystkiego, co się stawało dokoła.

⁶glamać (gw.) — mlaskać. [przypis edytorski]

⁷krzekorzyć (daw., gw.) — skrzeczeć, tu: gdakać. Według *Słownika etymologicznego języka polskiego* Aleksandra Brücknera *krzekot* to np. odgłos wydawany przez ptaki. [przypis edytorski]

⁸mocen (daw.) — mocny, tu w znaczeniu: może; wszechmogący. [przypis edytorski]

Zemsta, Gniew, Krzywda

Człowiek

Nie uszedł jego serca żaden krzyk, żadna skarga i krzywda żadna. Zwłaszcza noce przesycane były nieustającym lamentem: zduszone poryki wołów żaliły się na trud śmiertelny, na okrwawione kijami boki, na głody. Skatowane konie rżały długo i boleśnie. Tęsknota krów za porwanymi cielętami wybuchała długim, nieutulonym rykiem.

I z owczarni, i z chlewów, i z kurników zrywały się raz po raz dzikie wrzawy skarg i śmiertelnych strachów. Skarżyła się splugawiona ziemia, jęczała przekleństwami wyrąbywane lasy, burzyły się gwałcone w swoim biegu wody. I zewsząd — od pól i od chat — całym światem niosły się prawieczne, nigdy niemilkące pogłosy krzywd, gwałtów i śmierci. Wszystka ziemia i powietrze były przejęte człowieczym okrucieństwem.

Na piramidzie trupów umacniał tron swojej potęgi.

Ni zważyć go, ni uciec przed nim — jak nie uciec⁹ przed śmiercią.

Zawrzał w sobie warkotem wściekłości oceanu, bijącego bezsilnie w granity. Któregoś rana, kiedy zakwicały rozpaczliwie wieprze ładowane na wozy rzeźnicze, warknął boleśnie dotknięty.

— Znowu mordują naszych braci.

— Świnia mi nie brat, to mięso — szczeknął Kruczek. — Złodzieje, sami je zeżrą.

Rex zwinął się jakby pod uderzeniem kamienia i oniemiał.

A kiedy później żyd wynosił z obory rozbeczane cielęta, Kruczek smutnie zawarczał.

— W nocy zdusiłem w polu jedno na spółkę z Kulasem, ale odebrały nam koniarki.

— Z wilkiem spółkę trzymasz, z takim zbójem!

— Każdy mi brat, przy którym mogę się pożywić.

— Tobys i rodzonemu nie przepuścił?

— Głód nie ma ślepiów i wszystko mu dobre, co jeno wpadnie w pazury.

Z przerażającym rykiem przyleciał osioł i zwałił się w gnojówkę.

— To pańskie szczenię oblało go taką wodą, że mu spaliła skórę.

Osiół tarzał się z okropnym, żalosnym rykiem. Nadleciała za nim kupa chłopaków z paniczem na czele, i dalej się zabawiać i bić w niego kamieniami, a podcinać batami. Wrzask poszedł na całe podwórze, aż przyleciał z kijem włodarz, chłopaków rozpedził i kopaniem przymuszał osła do powstania.

Rex, zapomniawszy o niebezpieczeństwie, wysunął się z budy i zawarczał.

— Rex! — wykrzyknął panicz. — To mama cię chybiła. Żagryzł moje jamniki — zapłakał.

— Tuś mi, ptaszku! Już ja ci zapłacę za panicza! — wrzasnął włodarz, rzucając się na niego z kijem. Rex jęknął pod ciosem i, poderwany nagłą wściekłością, cisnął się w niego, pochwycił łkami za piersi i szarpnął tak potężnie, że, wyrwawszy mu kawał ubrania wraz ze skórą, upadł na ziemię.

Nieprzytomny włodarz zwałił się do gnojówki, a panicz z krzykiem uciekał.

Pies skoczył w najciemniejszy kąt budy i zagrzebał się w słomę.

— Wywleką cię i zabiją. Uciekaj — skamlał Kruczek, targając się na łańcuchu.

Nie było innej rady. Przedostał się do pustej obory, pod żłoby, gdzie była dziura wylamana w murze do sadu. Zawlókł się w gęste maliny, prawie nie pojmując, co się z nim stało. Posłyszał ludzi zbiegających się do ratowania włodarza i skoro go doszły wycia katowanego niewinnie Kruczka, postanowił uciekać w pola. Ale sad był ogrodzony gęstym żywopłotem i wysoką, drucianą siatką, zaś przy jedynej zamkniętej bramie kręcił się ogrodniczek, z którym miał stare porachunki. Wcisnął się głębiej w rzędy wybujałych malin, wyczekiwać okazji wymknięcia się na wolność. Trwoga nim podrzuciła, nawet nie mógł spać, paliły go niezagojone jeszcze rany i przeszkadzały pszczelne brzęki i kłótnie świergotania wróbli, spadających całymi bandami na słodkie, żrałe¹⁰ owoce.

— Służ panu wiernie, to ci za to... zagra! — posłyszał nad sobą głos ogrodniczka, zaskowyczał błagalnie, czolgając mu się do nóg.

— Nie bój się! I na co ci to przyszło! Ganiają cię jak wściekłego psa! A rozerwałeś mi portki, baczysz? Chciałem się tylko przyjrzeć papudze! — przykucnął przed nim, głaszcząc go dobrotliwie. Rex położył mu głowę na kolanach z ufnością.

⁹nie uciec (daw.) — nie ucieknąć; tu: jak (się) nie ucieknąć przed śmiercią. [przypis edytorski]

¹⁰żrały (daw., gw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

— Widzisz, głupi, jak ci zapłacili za służbę. Brakło dziedzica, to i fora ze dworu. Zawsze na mnie warczał, nie dałeś dostąpić do dworu! A kto ci dał gołębia? A kto ci młode wrony podrzucił pod świerkami? — wymawiał, ale bramę otworzył. — A pilnuj się, żeby cię dziedziczka nie upolowała!

Rex poleciał w pola szukać swego przyjaciela. Niemowa pał gęsi na pastwisku pod lasem, siedział z nogami w strumieniu, przygrywając sobie na fujarce. Stado białych, czubatych gęsi bobrowało na brzegu rzeczki, pełnej płowych kielbików i płotek. Wierby dawały luby cień, las pogwarzał, śpiewały ptaki, a tak dogrzewało słońce, że słodka senność przejmowała do kości. Niemowa wiedział już o wszystkim; odpowiedziały mu sroki.

— A co teraz? Żebyś to był już wygojony! — troskał się pocziwie chłopak.

— Krzepkim¹¹! Nie przemogłem to włodarza?

— Kat to był dla wszystkich. Ponieśli go do chałupy, nie mógł ustać na kulasach.

— To dopiero pierwszy... — warknął zawzięcie.

— Na bagnach jest buda, dziedzic z niej strzelał cietrzewie, tam mógłbyś się schronić! I włodarz się tam nie przedrze, bajory głębokie, a kładki pogniły...

— Muchy, że nikt nie wytrzyma. Polowałem tam na młode kaczki z dziedzicem.

— A w starym szalasie węglarzy w lesie? Nikt o nim nie wie, jeno, że tam często się chroni kulas i jego stado...

— Kulas! To ja mu sprawilem goleń, jak się cisnął na mojego pana... ten mi nie-straszny... z suką i jej pomiotem cięższa sprawa...

— Chroni się w bagnach, nie ma wyboru, a tyle tam wodnego ptactwa, że i wyżywić się będzie łatwo. Widziałem w koniczynie młode zajączki...

— A może by poszukać gdzie służby? — wystąpił niespodzianie Rex.

— Po wsiach teraz przednówek, nie rzucą ci nawet zgnilego ziemniaka i jeszcze wyszczują, albo¹² hyclowi wydadzą! Niemcy na koloniach, teby cię przyjęły, znają się na pańskich psach, ale by cię potem sprzedały do miasta, a jakbyś się nie zdał na handel, to cię upasą i zjedzą. Powiadali o tym we dworze. Takie świnię nie przebierają w jadle. Najgorsze, że włodarz ci nie daruje, a i dziedziczka też ci nie przepuści. Będą na ciebie polowali...

— A będą! — warknął z rezygnacją i, rozciągnąwszy się nad wodą, zasnął.

Niemowa, rozebrawszy się do naga, poszedł szukać raków.

— Zanioś gospodyni z kopę, to się udobrucha — rozmyślał, zapuszczając ręce w podmoknięte korzenie olch, w głębokie jamy pod brzegiem i pod kamienie, leżące na dnie wody. Łowił sprawnie, nie spuszczając z uwagi wron, które, spłynąwszy cichutko z lasu nad wodę, niby to piły, przysuwając się podstępnie ku gąsiętom, brodzącym po płytkach.

— Hale, zachciało się wam frykasów! — spadł na nie skrzek wraz z garścią błota, że, nic nie wskórawszy, poniosły się nisko, penetrując wśród zbóż za gniazdami. A skoro słońce się zniżyło i powiał chłód, Niemowa zaczął spędzać gęsi do kupy.

— Rex, pod wierzbą są moje pokoje — wskazał nad wodą stare, rosochate drzewo, wynoszące się w górę niby na poskręcanych palcach, pomiędzy nimi czerniała dziura, wyścielana tatarakiem. — Nocleg pewny! — dorzucił, zabierając się do domu.

Pies pozostał sam, nie wiedząc, co począć ze sobą. Przemogło jednak przyzwyczajenie i puścił się na przełaj do drogi, wiodącej do dworu. Jakby na ostrzeżenie, przejeżdżał właśnie wolant¹³, zaprzężony w siwki: dziedziczka jechała z córkami, a panicz z kozła podcinał batem konie. Przeprowadził ją zawziętymi ślepiami, szczękając kłami, a potem, okrążywszy park polami, dotarł pod podwórze, do rozwalonego brogu i tam się przyczaił. Jakoby u wrót zawartego raju się poczuł. Żarła go tęsknota i raz po raz już się prężył do skoku w podwórze, ale strach ścisnął go niby pętlą, że targał się w sobie, mocował i leżał cicho w miejscu.

Słońce już zachodziło. Świat spłynął złotem i purpurą. Stała się ogromna cisza. Szły z pastwisk stada i ściągano z robót. Nad szeroką drogą rozwlekła się smuga złotawego

¹¹krzepki (daw.) — silny; tu z przyrostkiem -m, dawna skrócona forma od „jestem krzepki”. [przypis edytorski]

¹²libo (daw., gw.) — albo. [przypis edytorski]

¹³wolant (daw.) — czterokołowy, odkryty pojazd konny. [przypis edytorski]

pyłu, z którego buchały tęskne porykiwania krów, głuche pomruki spracowanych wołów, rżenia koni, świsty batów, suche łomoty kijów i siarczyste przekleństwa. Z kwikiem przeleciało stado świń, roztrzaskując wszystkich po drodze. Ziemia zadudniła pod kopytami pędzących żrebaków. Wozy wlokły się z wolna, gruchocąc po kamieniach. Potem stada owiec, przepychając się i głupawo pobekując, cisnęły się, oganiane przez psy. A wreszcie ciągnęła jałowizna, brykając, swywołać¹⁴ i włącząc po drodze w zboże, prana za to batami pastuchów.

Przewaliło się, wszystko; zmierzch posypał świat jakby dogasającym zarzewiem, w podwórzu zaczynało przycichać, ludzie się rozchodzili, po chałupach wybliskiwały światelka, spuszczone z łańcuchów psy szalały z radości. Wtedy Rex, nie mogąc się już powstrzymać, wsunął się w podwórze; wyminął obory, poczuwszy zapach dojrzonego mleka, wyminął stajnie i wolarnie, okrążył z dala chlewy i przypadł w gąszczach naprzeciw kuchni. Były z niej takie zapachy, że głód mu skręcał wnętrzności. Niemowa siedział na progu z michą między kolanami, otoczony całą zgrają łańcuchowych. Głos gospodyni raz po raz wydzierał się przez drzwi uchylone.

Naraz zaskrzypiały żwiry podjazdu i rozległy się końskie parskania.

— Dziedziczka! Nic tu po mnie! — skoczył znajomym przejściem do parku, obok kurnika i potracił Rudego, który cichusko podkopywał się do kokoszek. Lis uciekł, ostrzegając krótkim szczekiem nocnych drapieżników. Jakoż mignęły białe podbrzusza łasic, umykających na drzewa; tchórz przewiał po zrębach drwalni, a kuna z kurczakiem w zębach dała szalonego susa na dach. Zahuczały sowy i powstał taki popłoch że zjawił się czarny kot z gorzkimi wymówkami.

— Popsuleś polowanie, już tej nocy nic się nie da ułować...

Rex, warknąwszy groźnie, błysnął ślepiami i wcisnął się pod obwisłe gałęzie świerków, bo dwór był oświetlony i otwartymi na taras drzwiami lała się jasna smuga, w której skrzył się i miotał snop wody, bijącej w górę.

Po jakimś czasie pogasły okna i park zagrał jeszcze rzęsiściej i zanosił się słowiczymi trelami. Rex niby cień przypelzał na taras. Zabrzęczał łańcuszek i papuga sfrunęła do niego. Ich tajone, gorące szepty utonęły w ptasich zawodzeniach i przyśpiewach nocy. Skarżył się na swoje beznadziejne położenie i żegnał się z nią na zawsze. Na tułaczkę szedł, na zatracenie w świat obcy i wrogi. Skomlał żałośnie i serce mu rozdzierała męka, i strach i rozpacz! Łkała nad nim, chłodząc mu piórami rozpalone oczy. I poruszona jego niedolą wspomniła nagle swoją ojczyznę daleką. Zakołysała się na poręczy i, bijąc niekiedy szaro-różowymi skrzydłami, zaśpiewała zdławionymi okrzykami litanię bezładnych, tęskliwych majaceń.

— Ojczyzno moja! Puszcze zielone bez końca, bez kresu. Girlandy kwiatów od drzewa do drzewa; twarde kokosu orzechy i słodkie owoce mangi¹⁵! Czuby palm rozkołysanych wichrami z płomieni i dalekiego morza szafirowe nieba!

Ojczyzno moja! Święte dnie śpiewań, radości, wesela!

O białe, ślepiące żarem południa, rozdrżane ulewą słońca, usypiające!

O zmierzchy krwawych zachodów, gdy puszcza się zapada w przerażenie.

O noce przejęte sykiem pelżających, płaczem konania i rykami triumfów!

Rio Negro¹⁶! Jak lśnią twoje wody pachnące w różnych porankach!

Słońce ogromne i promienne wynosi się z topieli, radosny krzyk szczęścia się zrywa, pachną kwiaty, pachnie ziemia, śpiewa wszelkie istnienie. Śmiechy w gęstwinach, gonty po gałęziach, szczęście ponosi, radość! Same skrzydła wynoszą na wierzchoły palm, w błękity, w słońce! Z wichrem w zawody lecieć, bić skrzydłami, pławić się w powietrzu, krzyczeć z rozkoszy i lecieć, lecieć, lecieć!

Nad wodą przejrzystą, gdzie w mule czyha pożeracz, bambusu gałąź się chwieje, pierzasta, zielona, słońce dzwoni po liściach i sypie się złotym piaskiem na wody, w cieniach wieczystych się mrowi, tam, gdzie w cichych zachodach grzmi straszny ryk i płacze rozdzierana gazela.

— Ojczyzno moja stracona! Raju utęskniony. Wolności!

Ojczyzna, Tęsknota,
Wolność, Wspomnienia

¹⁴swywołać (daw., gw.) — swawolić, psocić, bawić się. [przypis edytorski]

¹⁵mangi — dziś poprawnie: mango, owoce mango (wyraz nieodmienny). [przypis edytorski]

¹⁶Rio Negro (geogr.) — rzeka płynąca przez Kolumbię, Brazylię i Wenezuelę. Największy lewy dopływ Amazonki. [przypis edytorski]

Zamilkła i, jakby stłumiając¹⁷ rozpacz, schowała głowę pod skrzydła.

Noc szła, śpiewały słowiki, puchacz zahuczał i żałobnie zakrzyzczały z drzew pawie.

— Nieszczęsna! — zajęczała znowu — dojrzałam górę płynącą środkiem rzeki, a na niej drzewa uschnięte; sfrunęłam nieznacznie i porwały mnie jakieś czarne, okropne szpony! I odtąd płyną moje lata hańby i niewoli bez końca! Bez końca! Łkała długo i zaczęła bić skrzydłami, szarpać się krzycząc rozpaczliwie.

— Uwolnij mnie! Rwij moje łańcuchy! Na wolność! Rwij kajdany! Rwij! Łam!

Rzucił się na obręcz, że spadła z łoskotem i z wściekłością zatargał łańcuszkiem, gryzł, rwał pazurami, rozbijał o ziemię, na darmo jednak.

Papuga zaś jakby oszalała — wybuchła śmiechem, to płaczem, to przekleństwami. Aż się cały dom rozbudził: już ktoś leciał ze światłem przez pokoje; ktoś nadbiegał od kuchni, a stróżowski kundel zajadłe rzucił się na Rekse. Uderzeniem łapy odrzucił go potężnie, że psiak podwinawszy ogon, uciekał ze skowytami, a Rex, pokazawszy kły ludziom, z wolna zagłębił się w parku i na skraju, w chińskiej altanie stojącej na wzgórku, postanowił spędzić resztę nocy. Ale nieraz podsuwał się pod drzwi i dochodziły go obłąkane wrzaski przyjaciółki, rozbijającej się o pręty klatki.

Śnił jej opowieści, wyczekując świtania. Jakby tęsknota podrywała nim do tych krain dalekich i od ludzkiej tyranii wolnych. Warczał z cicha i, bijąc ogonem, zdał się czołgać tam, gdzie beczała rozdzierana gazela.

Noc zwarła się ciemna, ugrzana i cicha. W głębokościach nieba rozżarzały się gwiazdy. Drzewa pławiły się w sennym odrętwieniu. Łąki za parkiem od mgieł puszystych niby runem wełnistym bieleły. Miłosnym upojeniem wrzały śpiewy ptaków. Zapachy lip krążyły w cieniach nurtami niewysłowionej rozkoszy. Niekiedy zboża powiały ciężkimi kadzelnicami, a czasem żywiczny czad zaciągał z borów. Ziemia grążyła się w spokoju odpoczywania, jutro było jeszcze dalekie. Tylko Rex, nieufający tej masce nocy, ze łbem przywartym do ziemi, drzemał czuwając zarazem, gotowy w każdej chwili do obrony i walki. I, chociaż zgębniony nieszczęściami, doskonale wiedział, co się dookoła dzieje.

Oto z puszczy żytnich wydarły się przejmujące beki duszonego zająca.

Lisy przemykały się ostrożnie i wnet gdzieś w zbożach wybuchnął rozpaczliwy lament kuropatwy. Rozkrzyczała się spłoszona z gniazda kura bażańska¹⁸. Łasice wspinały się bez szelestu do uspijonych ptaków. Sowy zerwały nagle miłosne trele i sypał się puch niby okwiat zboczony krwią. Zabelkotały wody i podniósł się trwożny wrzask dzikich kaczek — to wydry brały swój zwykły haracz. Wąż się prześlizgiwał do mysich kryjówek. Z dalekich pastwisk rżały wystrachane kłaczki. Kulas musiał tam penetrować. W podwórzu gęsi podniosły gwałtowne larum przed jakimś napastnikiem. Psy zajadłe naszczekiwały na coś niewiadomego. Bociany groźnie zaklekotały, aż odpowiedział im daleki krzyk żurawi i jęklive pogłosy czajek. Jastrzębie na wierzchołach wyczekiwały cierpliwie świtania.

I tak co chwila i prawie na każdym miejscu toczyła się nieubłagana walka o istnienie. Pieśni nasycenia, jęki pokonanych, śmiertelne dygoty, okrutne ciosy, chrzęsty miażdżonych kości, zapachy krwi, zduszone bełkoty, płynęły melodią ledwie odczuwalną wśród czarów i upojen tej nocy letniej. A nad tym rozpościerały się drzewa niedocieczone w swoim bytowaniu. Czubami pławiły się w zimnych skrzeniach gwiazd, a korzeniami brały z głębin swój kształt widomy, podobien¹⁹ do wodnych wytrysków. Trwały obce wszystkim zgiełkom świata, dalekie i budzące głuchy lęk wiecznym milczeniem...

O świtaniu, kiedy nocne walki ustały a rozpoczynały się nowe, kiedy jastrzębie niby pioruny biły w ptactwo, ciągnące na brzegi wód, Rex zerwał się gwałtownie i skoczył w gąszcze. Indyki głośno swarzyły się w podwórzu i rozlegały się głosy dziewczek. Taki straszliwy głód nim zatargał, że, nie bacząc na niebezpieczeństwo, lisimi obrotami przedostał się pod kurniki i, porwawszy pierwszą z brzegu indyczkę, uciekł z nią w zboża. Posypały się za nim wrzaski, grady kamieni i przekleństwa. Nasyciwszy się ciepłem, drgającym mięsem, pozostawił resztki wronom i pospiesznie wyniósł się na bagna, do myśliwskiej budy.

Tam go w południe odnalazł Niemowa, przynosząc mu jakiś gnat i złe wiadomości.

Rozpacz, Niewola

Cierpienie, Rozpacz,
Tęsknota

Noc

¹⁷stłumiając — dziś raczej: tłumiać. [przypis edytorski]

¹⁸kura bażańska — bażant. [przypis edytorski]

¹⁹podobien (daw.) — podobny. [przypis edytorski]

— Już po tobie, dziedziczka obiecała nagrodę temu, któren²⁰ ciebie zatlucze.
 — Trawy jadł nie będę — warknął, oblizując z lubością okrwawione wąsy.
 — Wszyscy będą na ciebie polowali. Słyszałem wygrażania włodarza.
 — Wiem, gdzie jego gęsi pasą... już wypierzone... w sam raz...
 — Dała mu strzelbę. Mają zastawić żelaza, mogą podrzucić trutki, albo i zrobić obławę. A łańcuchowym nie wierz, dla pańskiej łaski pierwsi cię zdradzą. Wyźlica cię szuka...
 Kruczek ją napastował, pogryzła go i szczeka za sobą.
 — Kruczek... — zawrzał groźnie. — Co mi tam suki, życia muszę bronić...
 — Przeciwko wszystkim nie zdzierżysz, chudziaku! — ubolewał żałośnie.
 — Darmo się też nie dam... popamiętają... — warczał. — Wypędzili... strzelali do mnie, głodzili, a teraz chcą mnie zatluc, i za co? — zaskomlał boleśnie.
 — Ale, Wawrzek na złość rządcy zadał ogierowi drut zwinięty w chlebie.
 — Gdzie go zakopali?
 — Jeszcze się rucha, jeno²¹ tak jęczy, tak się rzuca, tak bije kulasami, aż strach.
 — Mojego pana wierzchowiec! Dobry był towarzysz! Nieraz spałem u niego pod żłobem.

— A stara siwka, co była na łaskawym chlebie, poszła na żebry w cały świat...
 — Uciekła... sama... we świat... — zdumiewał się, nie rozumiejąc.
 — Ogrodniczek woził nią wodę i tak się nad nią pastwił, że uciekła.
 — Gdzie to uciecze... jeszcze wilcy²² ją zjedzą.
 — Ogrodniczek zostawił ją na noc w sadzie, rano rozpętał i chciał zaprząć do beczki, a ta jak go nie trzaśnie kopytami, i w pole. Ledwie go docucili.
 — Dostał, co mu się należało. Ale przed Kulasem stara się nie obroni...
 — Co ci jeszcze rzeknę, byś nie brał drobiu dworskim, toby cię może oszczędzili...
 A i moich gęsi nie ruszaj, wrony porwały mi dzisiaj trzy gąsienia! Zapowiedziałem ścierwom, że im za to wszystkie gniazda w parku pozrucam z drzew.

— Śmierdziele — warknął wzgardliwie. — Nigdy nie ruszyłem żywego, nawet kurczęcia, ale kiedy się na mnie zmagają, przebiegać nie będę. Jak wojna, to wojna!

Jakoż od tego dnia rozpoczęła się naprawdę wojna. Przeciwko nieszczęsnemu wywoławcowi powstałi wszyscy dworcy z włodarzem na czele, który zaprzysiągł śmierć Rek-sowi. I nieubłagana walka toczyła się na każdym miejscu i w każdej chwili. Zarówno bowiem w dzień, jak i nocy polowano na niego, rzucano się z kijami, strzelano, bito kamieniami, szczuto psami. Nie mógł się już za dnia pokazać w obrębie podwórza, bo ze wszystkich stron sywały się kamienie i wylatywały z drągami zaczajone chłopaki. Nawet starcy, wygrzewający się pod czworakami, przywabiali go podstępnie, gdyż wszystkim jednako marzyła się nagroda, wyznaczona za jego życie.

I z początku pod nagłymi ciosami zasadzek, pod grozą niebezpieczeństwa, wyzieraającego z każdego kąta, pod grozą wrzasków, strzelań i naganek, Rex ułękł się i, straciwszy głowę, biegał po polach, dając folę gorzkim wyrzekaniom na ludzką nikczemność. I byłby może przepadł, gdyby nie rada Niemowy.

— Zejdź im z oczu na parę dni, schowaj się w budzie, nie zapomnę o tobie.

II

Posłuchał i okrężnymi, dalekimi tropami przedostał się z powrotem na bagna. I parę dni przeleżał w samotności, o głodzie, popijając wodę zgorączkowanym ozorem, bo nie miał sił ani chęci, żeby zapolować na kaczki, od których aż się mrowiło dookoła. Ciężkie medytacje zajmowały mu te długie dni, a że przy tym rany miał jeszcze niezagojone i brakowało sił, a co gorsza i odwagi, to uważał się już za straconego i z rezygnacją wyczekiwał na najgorsze.

Któregoś ranka, śnać²³ za śladem Niemowy, trafiła do niego wyźlica i, położywszy się pod budą, pokornie zaskowyczała. Że był z przyrodzenia gwałtownik, zawrzał złością na przybłędę, wytar mosiła ją i, dziw, nie zepchnął w niezgłębione bajory. Ani warknęła

²⁰któren (gw.) — który. [przypis edytorski]

²¹jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

²²wilcy (daw.) — wilki. [przypis edytorski]

²³śnać a. śnać (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

z bólu, przywarowawszy jeno na wprost budy, nie spuszczała z niego oczu, gotowa na każde jego warknięcie. Odwrócił się od niej ze wzgardą. A śliczna była, biała jak mleko, o łbie i uszach jasnobrażowych i wielkich niebieskich oczach. Smukła przy tym, gibka niby wąż, wykwinna w ruchach, czysta, czujna i wietrząca wszystko z bardzo daleka.

W południe, kiedy jęczał przez sen z głodu, przyniosła mu potężnego kaczora. Zjadł go do ostatniej kosteczki. I przyjmował wszystko, co mu tylko upolowała, jako naturalną daninę. Ani mu przyszło do głowy, żeby się z nią podzielić. Ale po paru dniach, poczuwszy w kościach wigor i powracające siły, zwrócił łaskawą uwagę na jej wielbiące ślepia i tkliwe umizgi. Radosna była niby wiosenny poranek, ruchliwa i zakochana w nim bez pamięci. Przecież dla niego opuściła dom, zawsze pełne miski, rozkoszne włóczęgi ze swoim panem po polach i te straszliwe cudne wzruszenia, gdy wystawiwszy szaraka, zamierała w miejscu, a huk strzału wstrząsał ją do głębi. Wszystko poświęciła dla tego ściganego zbója i bezdomnego włóczęgi. Czarował ją swoim lwim kształtem, mocą stalowych szczęk i grozą, jaką budził we wszystkich. Czymże były te podwórzowe przy tym prawdziwym władcy? Nędznymi skowyrkami. Więc też, porwana miłosnym szaleń, tańczyła dokoła niego z czułymi skowytami. Zarzucała mu łapy na kark, obliżywała oczy, i, tuląc się miłośnie, wyczekiwała ze drżeniem na błysk jego orzechowych ślepiów. Dał się wreszcie porwać i zaśpiewali nieśmiertelną pieśń miłości. I zapomnieli o wszystkim, co nie było pieszczotą, co nie było rozkoszną igraszką, i co nie było wabiącą gonitwą niesytych pożądań. A dnie przechodziły cudownie, unurzane w ciepłe i jasnościach. Słońce od wschodu do zachodu siało ciepłem i radością. Niebo opinało świat niezmaconym błękitem. Noce spoglądały miliardami roziskrzonych gwiazd. Żabie chóry grały nieustannym prawie, przejmującym słodczą rechotem. Rozprażone moczary pachniały odurzająco. Ani na chwilę nie milknęły²⁴ ptaki. Święty hymn życia, śpiewany tysiącami głosów, przewalał się falami niewypowiedzianego czaru i potęgi.

Od niedojrzałego żdźbła, od jakichś istnień zaledwie pojętych, aż po te bory ogromne, po białe chmury na widnokręgu, po słońce promieniejące — wszystko śpiewało jedną, nieśmiertelną pieśń wieczystych przemian i wiecznego trwania. I oni poczuli się dźwiękiem tej wiekuistej pieśni tak potężnym i tak w sobie zwartym, jakby sami byli we wszechświecie, a od nich brał początek przyszłych pokoleń łańcuch nieskończony. I prawie jednym stali się w żądzach i czuciu. Razem też bobrowali po moczarach, wspólnie tropili i wspólnie mordowali. Każdy łup zdobyty był nienasyconym szczęściem triumfów. Czołgania się za tropami, zaczajone godziny wyczekiwań, chwile prężenia się do skoków, spadania na zdobycz, walki, gonitwy i zwycięstwa odbywały się z dygotami niewypowiedzianych uniesień. Aż opici krwią, nasyceni mięsem, jękami rozdzieranych i poczuciem własnej mocy zasypiali na krwawych pobojuwiskach. A później, porwani szaleń, nabytym w obcowaniu z ludźmi, mordowali już nie z potrzeby, jeno dla uciechy, dla pokazania niechybnych ciosów, niezawodnego węchu i niepokonanej siły. Aż trwoga zaczęła podnosić jękliwy głos wśród moczarów, ciągnących się na wiele mil, do rzeki ogromnej i borów, czerniejących na horyzoncie. Skargi szumiały w trzcinach, szuwarach i karłowatych olchach, porastających trzęsawiska. Coraz częściej zawodziły zrozpaczone matki, którym złupiono gniazda. Bowiem dotychczas cały ten świat żył spokojnie pod osłoną niezgłębionych topielisk, zdradliwych bagien i nieprzebytych moczarów pokrytych pleśnią i rzęsą. Nawet człowiek zimą nie potrafił się przedostać do środkowych ostępów, jeno czasami lisy po kruchych, łamliwych lodach dostawały się na skraje oparzelisk, gdzie wesoło pluskały się stada kaczek. Więc wszelkie stworzenie żyło tam bezpieczne, pod strażą swoich praw przyrodzonych, a nigdy przez nikogo nienaruszanych.

Ale teraz, skoro ta para przybłądów zaczęła szerzyć dzikie mordy i spustoszenia, niepokój zatargał sercami. I już żaden ich postęp nie uszedł bacznej uwagi. Ani przeczuwali, że z każdego bajora, z każdego krzaka i z każdej kępy trzcin śledzą przyczajone ślepia i wieści o ich zbrodniach niosą się z podmuchami wiatrów do najdalszych zakątków bagien. I powietrzna straż nie próżnowała. Czajki, którym najwięcej wypili jaj, krążyły nieustannie, ostrzegając jękliwie o każdym ich poruszeniu. I rybitwy ważyły się nad nimi z krótkim bojowym okrzykiem. Nawet żurawie spływały nisko, żeby zobaczyć tych wspólnych wrogów, bo już nikt w tym raju skrzydlatych nie czuł się bezpiecznym

Miłość, Pożądanie, Seks

²⁴nie milknęły — dziś raczej: nie milkły. [przypis edytorski]

w swoim gnieździe. Wyżlica bowiem szatańskim węchem odnajdywała choćby najmisterniej zamaskowane, a Rex pomagał w grabieży, nie obawiając się ciężkich dziobów dzikich gęsiorów, ni ich skrzydeł bijących jakby cepami. Tylko żurawie i bociany swoimi strasliwymi dziobami wymuszały dla siebie szacunek. Nie napadali na nich, chociaż wyżlica nieraz wystawiała. A tak im zasmakowało to życie pełne wzruszeń i cudownych przygód, że prawie zapomnieli o ludziach i tamtym świecie...

Jeno niekiedy, nocami, gdy wyżlica spała, miłośnię przytulona do jego boku, budziły się w Reksie coś jakby tęsknoty za dworem i za Niemową, który dosyć dawno już nie przychodził. Zaś w miarę upływających dni, zaczynała mu ciążyć kochanka i brzydły okrucieństwa, z jakimi pastwiła się nad pokonanymi. Był już przesycony mięsem i krwią, przesycony miłością i przesycony szczęściem tego dzikiego bytowania. Zaczynała go już nękać niewyraźna troska o jutro. Czasami wietrzył jakieś niebezpieczeństwo niedalekie. Kiedyś, poczuwszy smugę prochowego dymu, zadygotał trwogą. A jakiejś nocy wyraźnie posłyszał echa dalekich strzałów. To znowu głos dziedziczki huczał w nim tak gromiąco, że uciekł z barlogu. Nie zdradzając się z tych udręczeń, wymykał się niekiedy na skraj moczarów i wzbierającą tęsknotą łowił pogłosy, zawiewające od dworu. Wraz też wstawały przypomnienia krzywd doznanych i budziło się takie dzikie pragnienie zemsty, że, drąc pazurami ziemię, wył z bezsilnej wściekłości. Wracał z tych tajonych wycieczek jakby czulszy dla wyżlicy, ale okrutniejszy dla wszystkiego, co mu wpadło w pazury.

Jakiejś nocy księżycowej i ponad opowiedzenie rozśpiewanej, zbudził go trwożny krzyk gęsiorów, a potem nagła, grobowa cisza. Suki przy nim nie było, leżała przed budą, bijąc ogonem i klapiąc rozdygotanymi łkami. Górą przeciągał jakiś dziwny, niepokojący zapach. Skoczył na budę i, wietrząc na wszystkie strony, pomimo ostrych wyziewów bagien i gniazd żurawich, wyraźnie poczuł swąd wilczy.

Sprężony do skoku i walki, badał nozdrzami i słuchem na wszystkie strony. Wilk czaił się gdzieś niedaleko, zataczał koła; trzaski suchych badyli, szmery rozgarnianych i ciężkich od ros trzcin, były coraz bliższe. Wreszcie padły w ciszy krótkie, szczękliwe warknięcia. Suka dała kilka szalonych susów i, zawróciwszy nagle, wcisnęła się w najciemniejszy kąt budy. Rex zaś rzucił się potężnymi skokami w stronę wroga. Wilk uciekł i wszystko się uspokoiło. Ale następnej nocy, gdy księżyc wynosił się ponad bory i jął roziskrzając pomartwiałe, czarne wody, z gąszczy olch wytrysnął miłosny śpiew wilka. Pieśń była tak namiętnie rozelkana i przejęta tęsknotą i wołaniem, że wyżlica, pomimo trwogi, rzuciła się jakby nieprzytomnie ku niemu.

I wtedy głos psa niby ponury grzmot zahuczał w nocnej cichości.

— Czego chcesz, szczeniaku? Twojemu ojcu potrzaskałem kulasy, pamiętaj!

Trwoga spadła na bagna, bowiem drugi głos buchnął niby gromem.

— Chłepczu pomyj! Wylizywacz garnków, słuchaj, co mówi wolny pan!

— Śmierdzący pomiole parszywej matki!

— Przy gęsiach ci warować i brać pańskie kije! Flaki ci wypruję, pamiętaj!

— Dziewki miotłami przegoniły cię ze śmietnika i tu przyszedłeś, zdechlino!

— Ty worze skórzany, nie zostawię ci w nim ani jednego całego gnata.

— Na gnój zawlekę twoje ścierwo i wrony cię rozdziobią.

— Milcz, parobku oderwany z łańcucha! Milcz, kiedy wolny przemawia!

Wyżlica powróciła i, jakby skamieniawszy w miejscu, ze łbem wysuniętym, z podniesioną łapą, pełna drżeń, obaw i rozkoszy, czekała końca tego przyśpiewu, który niby burza przewalał się w nocnej ciszy, że wszystko pomilkło, chowając się po najtajniejszych kryjówkach. Nawet wiatr przycichł, stanęły wody, a pochylone drzewa i trzciny zdały się wsłuchiwać w ten rozwyty huragan nienawiści.

— Hycel²⁵ cię wyprawi na skórę, żebym miał na czym leżeć! Bliżej, tchórzliwy baranie, bliżej, porachuję ci łkami żebra! Bliżej! — wył Rex z pogardą.

— Gnojku! Odprawię z twoją samicą wesele, a ty nam, psie, zaśpiewasz!

— Czekam na ciebie, zdychająca padlino! Śmierć ci zaśpiewam! Śmierć! — zawył i potężnymi skokami dopadł gąszczy, z których migotały zielonkawę, złowrogie ślepia. Rzucił się na siebie i zwarli w śmiertelnym boju. Miotali się po ziemi kłębem strasznych skowytów, charczeń, zmagania i okrutnej nienawiści. Rex był roślejszy i, chociaż nie tak

Tęsknota

Pożądanie

Walka, Pojedynek

²⁵hycel (pot.) — nicpoń, hultaj. [przypis edytorski]

mocny i wprawny w walkach, pochwycił go i, dusząc, bił zapamiętale o ziemię. Wilk, ostatnim wysiłkiem wyrwawszy się śmierci, pognął z wyciem szaleństwa.

Walka trwała krótko, ale Rex, śmiertelnie wyczerpany, ubroczony krwią, podarty pazurami, zwałił się na ziemię. Wyżlica z pokornym skowytom lizła mu rany i, dopóki się nie wygoił, skwapliwie przynosiła ułowione ptaki. A pomimo że na wspomnienie pokonanego wstrząsała nią dreszcze niezaspokojonej żądz, służyła zwycięzcy wiernie i z bezgranicznym posłuszeństwem.

Wszystko też wróciło do dawnego, tylko że, podnieceni triumfem, zaczęli po prostu szaleć, aż bagna zawrzały nieustającym jękiem mordowanych bez miłosierdzia i potrzeby. Rex, upojony zwycięstwem, mocą, strachem, jaki budził i uwielbieniami suki, miał się już za prawego pana tych niezmiernych moczarów i tak się był rozzuchwiał, że gotował się do zmierzania z ludźmi.

Ale stało się coś zgoła nieprzewidzianego.

O jakimś popołudniu, gdy spali w cieniu budy, bo słońce już się zniżało nad bory i luby chłód zawiewał, stado żurawi podniosło się w powietrze i, zataczając coraz mniejsze koła, spłynęło na ziemię niedaleko śpiących.

Rex otworzył czujne oczy, a wyżlica wyszczerzyła kły.

Olbrzymi, rozchwiany cień przysłonił na chwilę słońce i chmara bocianów bez szelestu opadła przy żurawiach. Potem krętymi loty spadły czubate czaple. Po nich zaś długimi smugami nadciągnęły dzikie gęsi. Rybitwy twardym rzutem, niby spadające kamienie, osiadły. A po nich nadlatywały nieprzeliczone gęstwy ptasiego drobiazgu. Że jakby wszystkie skrzydlate świata zebrały się na sejm, pokrywając okólne łąki, trzciny i drzewa pierzastą falą rozchwianych, wzburzonych skrzydeł.

Psy porwały się i, naszczekując, zaczęły nacierać groźnie.

Zaszumiał wicher łopocących skrzydeł, tysiące dziobów ostrych jak dzidy, zawisło prawie nad nimi, syk jakby tysięcy węzów przeszył powietrze, że psy zawyły w śmiertelnej trwodze, nie wiedząc już dokąd uciekać, bowiem naraz wszystkie te falangi ruszyły na nich ze straszliwym spokojem.

Ogromne, szare żurawie, drygające na nogach niby ze szmelcowanej stali, szły pierwsze, chwiejąc głowami podobnymi do kolczatych maczug.

Jakby w żałobne czarno-białe kapy przyodziane bociany zachodziły z boku całym tłumem, grożącym strasznymi dziurkami dziobów.

Siwe czaple, potrząsając bojowo czubami, następowały przyczajonym ruchem. Dzikie gęsiory, przestępując z nogi na nogę i bijąc skrzydłami gotowymi do walki, parły się z dziką zawziętością. Ich tępe dzioby, osadzone na wygiętych szyjach, były jak młoty. Następowaly ze wszystkich stron, zwierając się w obręcz, najeżoną dziobami. Czajki, kolując nisko, darły powietrze nieustającym, jęklwym zawodzeniem. Zaś reszta skrzydlatej hordy podniosła ogłuszający wrzask i trzepot.

Na jakiś przeciągły świst zapadło milczenie i wtedy największy z żurawi, ten, który swoje rody już wiele razy przeprowadzał przez morza i góry, wysunął się naprzód i, zatrzepotawszy skrzydłami, zaniósł się uroczystym klangorem.

— Czworonogi plugawe! Podstępni pętlarze! Słuchajcie! Sąd nad wami odprawiamy! Sąd sprawiedliwy! Włóczęgi bezdomne! Puszczą was przyjęła i złamała jej święte prawa! Mordowaliście bez potrzeby. Mordowaliście dla zabawy! Pastwiliście się nad pisklętami! Żyliście gwałtem, krzywdą i zbrodnią. Gwałcicie prawa! Gady dzikie! Obmierzłe krwiopijce! Biada wam, biada! biada!

— Śmierć! Śmierć! Śmierć! — zakrakało ponuro przelatujące stado kruków.

— Wypędzamy was z puszczy! Wracajcie do swoich obróż i kijów. Niegodności wolności! Stwórcy ciemności, zimna i nor. Niewolnicy ludzkich bestyj²⁶! Jak oni — źli, kłamliwi i podstępni. Za pomordowanych, za spustoszone gniazda, za poduszone pisklęta, za pogwałcone prawa — wypędzamy was na zawsze! Na zawsze!

— Śmierć! Śmierć! Śmierć! — zakrakały kruki, opuszczając się coraz niżej.

Obręcz pękła, ukazując szeroką ulicę wskroś pierzastych tłumów.

²⁶bestyj (daw.) — bestii. [przypis edytorski]

Psy rzuciły się do ucieczki. Sadyli olbrzymimi skokami, oszalałe przed śmiercią, jaka zdawała się im grozić od tych niezliczonych dziobów, lecz ani jeden nie uderzył, ni jedne szpony nie zaszarpały i ni jedne skrzydła nie tknęły ich grzbietów sprężonych w ucieczce.

Już zmierzch zapadał, gdy, dosięgnąwszy pól, zaszyli się w zboża i przylegli zaledwie żywi ze zmęczenia i trwóg przeżytych. Rex, ciężko dysząc, długo wodził przekrwionymi oczyma po rozfalowanych zbożach i niebie, zroszonym gwiazdami, zanim znowu poczuł szczęście własnego istnienia. Dreszcz nim jeszcze wstrząsał na wspomnienie rozchwianych nad sobą dziobów i skrzydeł.

Zaś wyźlica, wychnąwszy nieco, podniosła się nagle i, pociągnąwszy wiatru, popędziła na przelaj do domu. Zerwał się do pogoni, ale pozostał na miejscu, nasłuchując oddalających się skoków, oczy mu jeno smętniały, ślina pociekła z opuszczonej wargi, a hardy, wyniosły łeb opadał coraz niżej do ziemi.

Ucieczka

III

Nad Ręksem zawisła groźna pięść przemocy. Był wypędzony przez ludzką niewdzięczność i wypędzony przez skrzydlatych za winy, których nie rozumiał, opuszczony przez przyjaciół, napiętnowany stygmatem powszechnej nienawiści i skazany na gorzkie życie bezdomnego tułacza.

Wygnanie

Nie od razu pojął grozę swojego położenia. Miotał nim strach i gniew zarazem, bo, czując swoją krzywdę, nie pojmował jej przyczyn. Rozbijał się przeto, jakby o mur niewidzialny. Krążył dokoła ludzkich siedzib obłąkany przerażeniem. To uciekał w dalekie pola, krył się po rowach, błdził gościńcami i znowu powracał, nie bacząc na spadające zewsząd kamienie i dzikie wrzaski pościgów. Albo zaszyty w przydrożnych gąszczach całymi dniami łowił odgłosy podwórza. Nie mógł też odnaleźć Niemowy, gęsi pasał kto inny, wrogi mu z dawnych czasów. Próbował się przedostać do papugi, cóż, kiedy na większą udrękę już o hańbie jego upadku wiedziały pola, lasy i moczary. I nigdzie nie znajdował współczucia. Żył poza powszechnością, stając się tym samym celem pościgów i wzgardy. Naigrawały się z niego głupie sroki. Wrony goniły za nim, jakby za zdychającym wywłoką. Kiedyś znowu, gdy spał na miedzy ukołyszany chrzestem zbóż, uderzyły na niego jastrzębie. A już do szaleństwa burzyły go podle docinki lisich naszczekiwań, że, mszcząc się, rozkopywał im legowe jamy. I w parku nie mógł się pokazać, gdyż pierzasta hołota podnosiła takie wrzaski, że ludzie przylatywali z drągami. A kiedy przed pogonią przytulił się w łozinach nad stawem, wypatrzyły go bociany i, czyniąc srogie larum²⁷ klekotów, jęły bić w niego straszliwymi dziobami, że ledwie się wydarł śmierci. Nawet budy dawnych towarzyszków na jego widok szczyrzyły się kłami, a na usprawiedliwienie szczekał za nim trwożliwie Kruczek.

— Uciekaj! Ludzie mówią, żeś wściekły! Wszyscy się ciebie boją. Uciekaj!

Jakoż przekonał się o tym, bo, szukając legowiska, znalazł przeciwko sobie wymierzone wszystkie rogi i kopyta. Obory i stajnie, zjuszzone trwogą, broniły mu przystępu, rycząc wniebogłosy. Więc ze znużenia i głodu zakradał się do chlewów i wyjadał nędzne resztki ze świńskich koryt. Wydały go maciory, a włodarz pewnej nocy zrobił na niego obławę, z której tylko jakimś cudem wydobył się cały i zdrowy. Wtedy, ogarnięty szaleństwem strachu, uciekł w lasy. Pod grozą śmierci musiał porzucić prawieczne barłogi swego rodu i chronić się w nieprzebytych puszczech. Kiedyś, z panem swoim przebiegał je z ciekawością, ale teraz, znalazłszy się w mrokach, z rzadka jeno przesianych światłem, stanął zdumiony. A skoro zaszemrały nad nim tajemnicze gędzby²⁸ rozchwianych olbrzymów i oprzędła²⁹ go niepokojąca cisza, trwoga wyjrzała z przekrwionych ślepiów i z głębin serca wyrwał się przeciągły jęk rozpaczny.

Długie godziny leżał skulony w gąszczach, zanim odważył się zanurzyć w bory. Straszna wydała mu się samotność i cisza. Przecież zawsze żył w gromadzie! Znał dwór, wieś i podwórze; znał ludzi i zwierzęta, znał pola i niebo; znał dnie i noce, wrogów i przyjaciół; znał bieg spraw, prawa i obyczaje, a tu poczuł się wyrzuconym w świat, którego nie pojmował, w świat obcy, nieznany i jakiś straszny.

²⁷larum (łac.) — krzyk, alarm. [przypis edytorski]

²⁸gędzba (daw.) — muzyka, gra. [przypis edytorski]

²⁹oprzędź (daw.) — osnuć, tu w znaczeniu: otoczyć. [przypis edytorski]

Ale obawa śmierci przemogła pragnienie powrotu, że jął się błąkać bez celu i często przymierając głodem. Bowiem z początku nie udawały mu się polowania: zawodził go stępiiony węch i nie dopisywał wzrok. Nie umiał skoku przemieniać w niechybny cios. Nie rozumiał się na podstępach. Nie znał obyczajów puszczy, ni jej praw. Gonił za wszystkim, niby młody, głupi wyżeł. Nie potrafił tropić, ni cierpliwie, godzinami czołgać się za łupem. Zdradzał się szczekaniem. Rozbijał się po lasach, jakby cielę w pustej oborze. Wysszczekiwał na wiewiórki, rzucające w niego szyszkami. Uganiał się za mysikrólikami, aż sowy śmiały się po dziuplach, a cała puszcza śledziła go z niepokojem, bo płoszył, trwożył i mordował, co mu wpadło w pazury. Pilnowało go tysiące ślepiów, przyczajonych w gąszczach, na czubach drzew i pod niebem wysokim.

— To tylko pies, głupi ludzki pies! Nie bójcie się — huczały niekiedy puchacze.

— Śmierdzi dymem i padliną — krakały kruki, nie spuszczając go z oczu, a jakieś szczekliwe chichotania rozlegały się jak echa.

— Podwórzowy zbój! Zbój! Kurołap! Zbój!

— Żywi się naszym kosztem! — oburzały się wilki, tropiące za nim z daleka.

— Fora ze dwora! Fora ze dwora! — wydzieraa się stara sroka, chowana kiedyś przez ludzi, której się nagle przypomniły nauczzone dawno wyrazy.

Zaszczekał na nią zajadle i zaczął skakać ku gałęzi, na której siedziała.

— Głupi! Głupi! Głupi! — zanosila się wrzaskliwie, bijąc skrzydłami z uciechy.

Uciekał w głębie, ale wciąż za nim leciały wrzaski, groźby i wrogie skowyty. Zmierziło mu się to ciężkie, samotne życie. A na dobitkę, błąkały go te nieprzebyte bory. Gubił się w nich. Straszły go zarośnięte bagniska, pełne wężowych rojowisk i dzikie ostępy, gdzie wiecznie wrzały jakieś złowróżbne pomruki, chrapliwe sapania i odgłosy ciężkich stąpań. I miał już po kły tej ciężkiej nędzy i strachów. Czuł bowiem, że śmierć nieustannie krąży dokoła niego. Czatowała jeno na zdarzoną okazję, że sypiał tylko w dzień i na otwartych polanach, a i to płoszyły go cienie przelatujących ptaków. A że było mu coraz trudniej coś upolować i z głodu tracił resztki rozwagi, więc jakiegoś czasu w biały dzień porwał ze stada dzików sporego warchlaka. Nie dokończył uczy i, porzucając najlepsze części, musiał uciekać przed rozwścieklonymi maciorami. Potem, prawie nieprzytomny z głodu, rzucił się jak obłąkany na jelenie, pijące wodę. I, stratowany, ledwie się dowlókl do węglarskiej budy i tam parę dni lizał się z nowych a ciężkich ran. Buda stała na skraju wielkiej, starej poręby, porośniętej gęsto krzewami malin, jeżyn i czarnych jagód, ponad którymi wystrzelały smukłe nasienniki. Wrzały tam nieustannie świegotania i śpiewy, a w pośrodku błyskało długie jezioro, zarośnięte po brzegach trzciną i szuwarami. Przez cały dzień słychać było pluskania dzikich gęsi i kaczek. Miejsce było zgubione i nieznane ludziom, ale puszcza wiedziała o nim. Było to bowiem miejsce, jakby święte, gdzie u czystej, głębokiej wody o każdym zachodzie i wschodzie słońca spotykał się cały naród puszczy, bezpiecznie pijąc i kąpiąc się do woli. Dookoła jakby na straży stał bór prawiecznych dębów i sosen wyniosłych. Powietrze pachniało miodem i trzęsło się od brzęku pszczół, gdyż barcie były po dziuplach starych drzew, że z niektórych, wystawionych pod zachód, wyciekały strugi złotych tężących na powietrzu miodów. Chwiały się nad nimi całe chmury owadów i ginęły w słodkich i lepkich potokach, a po nich, niby po brukach, ciągnęły niezliczone hordy żarłocznych, czerwonych mrówek.

Dnie były zmienne: prażyło niemiłosiernie słońce, wybuchały gwałtowne burze, od grzmotów dygotała ziemia i pioruny raz po raz ognistymi biczami smagały rozkołysaną puszcę; to spadały nawałne deszcze i lały z szumem rozelkanego morza; to przylatywały z pól suche, letnie wichury i, jakby pijane, świszcząc i baraszkując, przewalały się po borach. Zasię potem ciągnęły się dnie długie, ciche, nagrzane i pachnące, a wszystko, co żyło, śpiewało nieustająco i niepojęty w żarliwości hymn szczęścia i miłości.

Tylko Rex nie odczuwał tej powszechnej radości życia. Doskwierały mu, ciężej niżli rany, jakieś głębokie rozważania. Niechybny bowiem instynkt mu podsuwał to, że w puszczy się nie ostoi, że zginąć musi. A zginąć nie chciał. Wola życia budziła się w nim z coraz większą potęgą. Nurt głuchego buntu raz po raz zrywał go na nogi. Padał na barłóg, słaby jeszcze i chory, ale nie przestawał wrzeć pragnieniem zemsty. Przez te długie dnie i noce, przesuwali się ustawicznie przez jego zgorączkowany mózg żywe odbicia krzywd i cierpień. I, przeżywając je na nowo, cierpiał na nowo i tak boleśnie, że był

rozpaczliwie, obwiniając za nie zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Zwłaszcza, iż czuł i słyszał drapieżników, krążących nieustannie dookoła budy. Czekał, że lada chwila będzie musiał stoczyć ostatnią walkę, ale ta chwila nie przychodziła. Nie pojmował tej zwłoki, aż mu ją dopiero wytłumaczył stary puchacz.

— Chorych się nie dobija! Takie prawo! — zahuczał z głębi budy, gdzie się gnieździł.

A nazajutrz, kiedy słońce wypędziło go z łowów wciśnięty w najciemniejszy kąt budy, zaczął nauczać praw i obyczajów, panujących w puszczy. Huczał monotonnie, po sto razy jedno, niezrozumiale, ale Rex zrozumiał go dobrze.

Nasłuchawszy się do syta, spojrział wyniośle w jego żółte, świecące ślepie.

— Wolalbym ludziom paść owce, niżli w puszczy być królem.

— Nam nikt nie panuje, ale rządzą nami mądre, odwieczne prawa. Nie podobają ci się, bo coś ty możesz wiedzieć o wolności? Ludzie nauczali cię swojej wolności kijem i głodem. Urwałeś się z łańcucha, niewolniku, i zuchwale wyszczekujesz na sprawy ci niepojęte.

— Ale to wiem, że tam u ludzi nie poluje wciąż jeden na drugiego, nie pożera go żywcem i nie tropi za nim nieustannie! Każdy tam śpi bezpiecznie.

— Bo wszystkich karmi człowieka łaska i stróżuje jego kij. Nie zjadają się sami, ale człowiek zjada wszystkich. Jakież obraz wystawia ze siebie wielki ongiś naród kopyt, rogów i skrzydeł? Obraz roboczego bydła, który za nędzne pożywienie i dach sprzedał swoją wolność, swoją siłę i swoją krew. Żyjecie, mnożycie się i umieracie tylko na pożytek człowieka! Twoja skóra nie należy do ciebie, ani twoje gnaty, ani nawet twoja sierść! Hańba tym, którzy umiłowali niewolę! Nie umiecie się nawet buntować! Umiecie się tylko żalić, pokornie brać baty i lizać stopy swoim ciemięzcom.

Rex zerwał się, jakby dotknięty rozpalonym żelazem i opadł bezsilnie.

— Miałem gniazdo na kościele i wiem co się tam dzieje! Pamiętam, jak o każdym wschodzie i zmierzchu zrywa się jeden jęk skarg, bólów i rozpaczy. A słyszysz te pieśni, jakimi ciągle rozbrzmiewa puszcza? To śpiewa wolność, to śpiewa radosne, mężne i niefrasobliwe życie nasze! To śpiewa szczęście!

Rex załkał boleśnie, zatargany pazurami przypomnień.

— Ty nie wiesz, co to za szczęście, kiedy rozwinę skrzydła, rzucę się w powietrze i dam się im nieść, gdzie pragnę, pan swojej mocy i siebie, wolny!

— Dopóki kobuz³⁰ cię nie rozedrze jak marną pliszkę — zawarczał.

— Jeśli mnie pokona, to jego prawo. Ale po takich, którzy się na mnie porwali, gniazda od dawna są puste. Każdy ma prawo napadać. Za każdy cios, za każdą śmierć płaci śmierć. Biada słabym! Biada tym, których zawiodą kły czy szpony! Walka jest życiem! Zwycięstwo jest celem. Ciepła krew wroga i jego żywe, drgające mięso, to boska zapłata męstwa. Chwała i łupy zwycięzcom! Śmierć zwyciężonym! To hasło wolnych! — huczał coraz głośnie.

— Mysz zdarzy ci się ułować, a o bohaterskich przewagach bajesz³¹.

— Ty masz za walkę, kiedy cię poszczują na zdychającą krowę! A i to drżysz przed jej raciami. Rycerzu, którego nawet wrony tłuką kiedy zechcą...

— Wszy cię zjadają i twoje bohaterstwo nie może cię obronić! — doszczekiwał Rex, dojrawszy, jak puchacz bobrował dziobem pod skrzydłami.

— Milcz, parobku i nie zapominaj, że przestajesz z wolnym. Nie zapominaj, bydlę, że jesteś tylko rzeczą człowieka! Puszcza cię przytuliła, przypomnij sobie! A ja ci radzę, wracaj do bata, pełnego koryta i do ciepłego barłogu w chlewie. Żeby ocenić wolność, trzeba się wolnym urodzić. Precz mi z oczu, ty skóro parszywa!

Rex skoczył do niego i, nie dosięgnąwszy, spadł z jękiem na barłóg.

Puchacz wyfrunął z budy i huczał śmiechem, aż się rozlegało po lesie.

— Jeszcze poznać psa! Jeszcze poczuć kły niewolnika, wolni zbóje! — wył, szczękając kłami. Dusił go niepoohamowana wściekłość. Czuł się tak zelżony i sponiewierany jak nigdy i przez nikogo. A te uwagi o niewoli paliły mu wnętrzności i doprowadzały do szaleństwa. Prawdą były i dlatego nie mógł ich strawić.

I musiał wszystkiego wysłuchać! Kręcił się w kółko na barłogu, gryząc własny ogon

Pogarda

Człowiek, Wolność,
Niewola

Wolność

Wolność

Prawda, Niewola, Pies

Bunt, Buntownik

³⁰kobuz — ptak drapieżny z rodziny sokołów. [przypis edytorski]

³¹bajać (daw.) — zmyślać, kłamać. [przypis edytorski]

i pieniać się z bezsilnego gniewu. Dopiero te podle obelgi pokazały, jak mocno jest związany wszystkimi włóknami życia z tamtym dawnym światem. Jak to wszystko, co tak jeszcze niedawno wyklinał, jest mu bliskie i drogie. I zarazem czuł tę niezgłębioną przepaść, dzielącą go od puszczy, a że się jej bał, więc tym namiętniej zaczął ją nienawidzić i dzikim skowytom przeklinać. Ta rozpalona do szału nienawiść budziła w nim utajone instynkty bojowe i nieustraszone męstwo. Krwawe szyderstwa puchacza smagały go niby batami, że mimo osłabienia i niezagojonych ran, doczołgał się do jeziora i, zaszyty w nadbrzeżne trzciny, upolował dzikiego kaczora, nim ten zdążył zakwakać. To mu dodało sił i pewności, a tak rozzuchwaliło, że już dnie całe czatował w szuwarach i łowił brodzące ptactwo z taką sprawnością, że nawet najczujniejszy z żurawi nie dojrzał go wracającym do budy ze zdobyczą w zębach. A w miarę przybywania sił i powodzenia w łowach, zaczął się zuchwale nie liczyć z panującymi prawami. Wyzywał je po prostu, zabijając w biały dzień, na ślepiach wszystkich, a jego wielki, lwi łeb podnosił się coraz wyżej i dumniej. Zaczęła go otaczać jakaś złowroga cisza, nabrzmiewająca burzą. Czuł, że tysiące ślepiów chodzi za nim, że w gąszczach, w jamach, w dziuplach i w powietrzu ważą każdy jego postępek, że otacza go coraz ciaśniej koło niebezpieczeństw i że lada chwila uderzą na niego. Nie darmo puchacz jurzył³² puszcę. Wciąż było słychać jego obmierzłe pohukiwania i lot, jakby podartej pierzyny. Co pewien czas wietrzył przemykające się tu i ówdzie młode wilczki, to lis wałęsał się z nosem wystawionym na zwiady, to ryś, przyczajony w konarach, zamigotał krwawym ślepiem. Nawet głupie wiewiórki jakby trzymały nad nim straż, płacząc się ustawicznie koło budy. A na niebie wysokim, ledwie dojrzone, krążyły jastrzębie. Niepodobna się było schronić przed ich diabelskim wzrokiem. Nawet bory i drobny naród ptasi zdążyli się należeć do powszechnej zмовy przeciwko niemu. Wrony, chociaż im łaskawie pozostawiał obfite resztki, otaczały go wrzaskiem zachwy-
tów, a zmierzchami leciały do wilków z nowinami. I płatanina jeżyn przytrzymywała go niekiedy ostrymi kolcami; to jakieś zwisające gałęzie chlastały boleśnie, a młode zagajniki stawały się nieprzebytymi. Wiatry psuły mu tropy i rozwiewały powietrzne poszlaki. Ale pomimo wszystkiego, Rex z pozorną i chytrą lekkomyślnością i brawurą jakby umyślnie narażał się coraz bardziej.

Zdumiona puszcza, lękając się jakichś nieprzewidzianych zasadzek, zaczynała się wahać przed tak zdeterminowaną odwagą.

On zaś, jakby wyzywając śmierć, zaczął się któregoś dnia w świętym miejscu na sarny. O zmierzchu przyszedł całym stadem do wody i, czując się bezpieczne, piły długo, baraszkując wdzięcznie na brzegu. Rzucił się na smukłą, ledwie wyrosniętą; sarna, wydarłszy mu się z kłów, szalonym susem skoczyła na głębię, dopadł jej w połowie jeziora, wywłócił na brzeg, i nie bacząc na jej żalosne beczenie, zamordował. Ucztował długo, wrony zbierały się gromadą, wyczekując na swoją kolej, gdy z gąszczów zagrały wilcze skowity. Rex, podniósłszy okrwawiony łeb, odpowiedział groźnym warczeniem.

Kulas, wysunąwszy się z brzeziny, zaskowyczał, żądając podziału.

— Przyjdź i weź!

— Podziel się albo wezwę cię na sąd za mordowanie w świętym miejscu.

— Przyjdź i weź! — zawył głucho, obnażając kły aż do korzeni.

Wilk, odurzony zapachem świeżej krwi, jął przeciągle nawoływać towarzyszy, ukrytych gdzieś niedaleko...

Rex już nie czekał, porwał się na nogi, sprężył do skoku i, potoczywszy ślepiami, wybuchnął strasliwym yciem walki.

Kulas cofnął się przezornie i pomykał brzegami na drugą stronę jeziora, Rex zaś był z taką potęgą dumy, mocy i gniewu, aż puszcza zagrała zębami od krańca do krańca i przed grozą tego głosu wszystko, co żyło, przytajało się po norach, gniazdach i niedostępnych borach. Nikt nie stanął do walki. Stchórzyli przed wyzwaniem. Więc jakby otrąbiwszy zwycięstwo, zawłócił triumfując resztki sarny do budy i rzucił się na barłóg, srodze wyczerpany.

Była to pierwsza noc w puszczy, jaką przespał spokojnie i bez trwogi.

O świtanu poszedł pić i, wytarzawszy się w jeziorze, przyległ pod sosnami w słodkim brzęku pszczoł, wyruszających z barci na robotę.

³²jurzył (daw.) — podburzać, waśnić. [przypis edytorski]

Dzień podnosił się bardzo cudny; pod drzewami leżał jeszcze mrok orosiały i przejęty ciężkim, duszącym zapachem żywicy i grzybów; mgły ruszały z nocnych legowisk i przysłaniając porębę modrawą chmurą, biły w niebo przejrzystymi kądzielami; zawiąło tchnienie zbliżającego się słońca; drgnęły budzące się drzewa i deszcz perlistej rosy spływał na ziemię; wśród niepokojącej, sennej cichości jęły się prząść pierwsze szmery i szelesty, trzepania skrzydeł i świergotania. A kiedy noc zbladła, ukazując coraz wyraźniej zarysy drzew, puszcza zadrgała życiem. Do jeziora zaczęły nadciągać nieprzeliczone stada ptactwa. Rozfalowały się trzciny, przez które wydeptanymi ścieżkami śpieszyły do wody sarny. Zarechotały dziki, tłoczące się całymi stadami. Wilki przemukały się bez szelestu, w powietrzu jeno pozostawiając ślady swego przejścia. Szczekały lisy, kręcące się niespokojnie. Z drzew spływały drapieżniki, ledwie poruszając skrzydłami. Krzyki dzikich gęsi i kaczek roznosiły się w powietrzu wraz z głośnym pluskiem wody.

Na samym końcu nadciągnęły żurawie. I te gęste ciżby wielkich i małych drapieżników, grzebiących i trawożernych — wszystek³³ naród puszczy, z radosną wrzawą swobody nasycił pragnienie i kąpał się bezpieczny pod osłoną praw odwiecznych, zabraniających pod karą śmierci polowania przy wodopojach.

Rex leżał pod sosną widną dla wszystkich i złowrogi swoją wielkością i zbrodnią, jaką był wczoraj popełnił w tym miejscu. Nikt go jednak nie zaczepiał.

Wymijano go, jakby nie spostrzegając. Ani jedno ślepie nie błysnęło w jego stronę. Przechodzili spokojnie, jakby go tam nie było.

Przejęło go to niepokojem, nie dowierzał tej obojętności, musiał się w niej kryć jakiś podstęp. Zwłaszcza postawa wilków nakazywała największą czujność. Ale kiedy zorze zagrały purpurą na wodach, leśny naród rozplynął się tak prędko i niedosłyszalnie jak resztki mgieł. Pozostały tylko żurawie. Zasiadły nad jeziorem wielkimi stadami, a otoczywszy się gęstymi czatami, rozpoczęły nauczanie młodzieży. Co pewien czas zrywało się jakieś stadko z przodownikami na czele i, zataczając kręgi, wznosiło się coraz wyżej nad bory, pod zróżżone chmury i tam, sformowawszy trójkątne klucze, zdały się ginać gdzieś w przepaściach nieba, że tylko przeciągły klangor³⁴ znaczył ich niebosiężne szlaki.

Powracały w takim samym porządku, żeby po odpoczynku zaczynać na nowo.

Reksowi zamarzyła się zemsta za niedawne upokorzenia, więc skoro noc zapadła i mgliste zawoje spowinęły całą porębę, zaczął się czołgać ku stadom, próbując przeróżnymi podstępami prześlizgnąć się przez kordony stojące na jednej nodze i z głowami podwiniętymi pod skrzydła. Lecz zanim dosięgnął linii, na której stróżowały, zerwał się krzyk przeciągły i ciężkie jak maczuga dzioby spadły mu na grzbiet.

Spieniony, nienasycony zemstą, zagrzebawszy się w barłogu, zasnął prędko.

Noc już była późna, księżyc płynął nad borami, wody drgały świetlistym, nieustannym skrzieniem, mgły srebrną przedzą motały się na trawach i niskich krzaczach, gdy nagle, gdzieś znad jeziora, wytrysnął rozelkany śpiew żurawia.

Puszcza oniemiała w zdumieniu i zachwycie. Ucichły naraz walki i gonitwy, bór znie-ruchomiał i zaszuchał się, zaczarowany śpiewem, wynoszącym się z niezamąconej cichości czarem nieukozonej tęsknoty i marzenia. Jakby coś przenajświętsze, ukryte w głębiach wszystkich dusz, dawało znać o sobie, budziło i porywało.

Rex ani wiedział kiedy, doczołgawszy się do czat żurawianych, przywarował w trawach i, nastawiając uszu, zapomniawszy nawet o własnym bezpieczeństwie.

Żurawie zalegały brzegi jeziora z szyjami wtulonymi pomiędzy skrzydła, zaś jeden z nich, snąc wódz i bard zarazem, stał z podniesioną do księżycy głową i śpiewał przeciągłym, rwanym a tak melodyjnym głosem, że zdawał się być ze skrzeń srebrzystych i zapachów. Niekiedy podnosił skrzydła i, bijąc nimi, okręcał się dookoła siebie w jakimś hieratycznym³⁵ tańcu, śpiewając coraz górniej, uroczyściej i tęskliwiej. Śpiewał rapsody o dalekich, dalekich wędrówkach pod zachód słońca! O ziemiach ogromnych, górach niebotycznych i morzach szumiących. Śpiewał potem uroki złotej pustyni, rzek niebieskich, palmowych gajów i palącego słońca. Śpiewał o ziemiach, gdzie nie ma człowieka

Zemsta

³³wszystek (daw.) — cały. [przypis edytorski]

³⁴klangor — charakterystyczny odgłos wydawany przez żurawie. [przypis edytorski]

³⁵hieratyczny — doniosły, uroczysty. [przypis edytorski]

i gdzie wszelkie stworzenie żyje wolne, szczęśliwe i nieśmiertelne. Jakieś baśnie, zasłyszane od praojców, zebrane po pustyniach i wyrwane z tęsknot serc strapionych, śpiewał.

Rex zadrżał, poczuwszy wilczy swąd: spod sosen migotały zielone ślepia, lisy kręciły się niespokojnie i, bijąc ogonami, czołgały się coraz bliżej; rysie wisiały na konarach. Nawet pługawe dziki zaległy całym stadem i leżały z ryjami podniesionymi na księżyc. Gromada jeleni z lasem rogów na łbach potężnych, nadsluchiwała jakby wrośnięta w ziemię. Chmary skrzydlatych obwieszały wszystkie nasienniki i krzaki. Niemały cały lud leśny cisnął się ze wszystkich stron i w jakimś modlitewnym skupieniu zdawał się śnić na jawie czarodziejskie wizje utraconych rajów. Omdlewała w nich pamięć codziennego bytowania — pamięć walk, głodów i mordów. Nieśmiertelne tchnienie tęsknoty jednoczyło wszystkie te uwieszone dusze i porywało w zadumy przyszłych istnień.

Wódz śpiewał niestrudzenie, a czasami do wtóru biły suche kłaskania dziobów lub długi, żalorny krzyk zrywał się spośród stada.

Przed świtem, gdy księżyc zaszedł i chłód powiał z mrocznych głębin, pieśń umilkła i poręba wnet opustoszała. Żurawie posnęły, mgły zaciągały się nad nimi białawymi płachtami, bory stanęły milczące, że tylko z linii czat odzywał się od czasu do czasu ostry krzyk czuwających.

Rex nie mógł wrócić do równowagi. Nie potrafił sobie znaleźć miejsca, wciąż go coś ponosiło, że ledwie doczekawszy się dnia, popędził w pola na jasny, szeroki świat. Gnął do swoich. A taką poczuł w sobie odmianę, że wymijał spłoszone zające. Serce miał przepełnione radosną miłością. Zaszczekał przyjaźnie do spotkanych kuropatw. Tarzał się po orosiałych zbożach. Na chłopskich pastwiskach rozerwał pęta koniowi, niemogącemu się wydostać z rowu.

„Na wschód słońca! Na wschód” — brzmiały mu strzępy zasłyszane.

Właśnie stawał się cud wschodzącego słońca. Wnosiło się ogromne i czerwone, widomy znak łaski, strzeliste oko miłosierdzia nad światem.

Zrodziła się w nim wtedy jakaś myśl jeszcze ciemna, rozchwiana, lecz niedająca mu spokoju i przerażająca ogromem zuchwalstwa. Myśl wywędrowania tam, gdzie odlatują żurawie, do tych ziem błogosławionych, gdzie nie ma człowieka, i panuje wolność i szczęście.

Przebiegał znajomą wieś, psy przyjmowały go nieufnie, ten i ów zaświecił kłami, ale skoro zawarczał przyjaźnie, odprowadzały go do dworskich gruntów.

Przysiadłszy na kopcu granicznym, w porywie radości zaskomlał tajemniczo.

— Przyleciałem wyprowadzić nasz ród z człowieczej niedoli. Szykujcie się. Niechaj który czeka na mnie na górze pod lasem. Wyłożę obszernie.

Skoczył naraz w zboża, drogą nadciągały zaprzęgi wołów, ciągnące ciężkie, skrzypiące wozy naładowane zbożem. Baty ustawicznie spadały na ich grzbiety.

Przed podwórzem na drodze zobaczył, jak starego osła z workiem na łbie batożyli chłopcy, napędzając go do dołów z wapnem. Osioł ryczał wniebogłosy.

— Nie daj się! Pomogę ci! — zaszczekał uniesiony gniewem i współczuciem.

I zerwał mu worek. Osioł, rozjuszony cierpieniem i pomocą, rzucił się gwałtownie na chłopaków, wierzał, tratował i chrzypiał³⁶ jak zardzewiałe wrótne.

Rex, nie słuchając jego dziękczynień, wdarł się chyłkiem w podwórze, do budy Kruczka, który ze strachu nie śmiał mu bronić wstępu. Rex wyłożył mu swoje zamiary. Stary pies, po dłuższym rozważaniu, zawarczał.

— Wyprowadź wszystkich, to się ludzie powściekają ze złości. Przecież wszystkich jednakowo żre nędza, baty i praca!

— Wszystkie rogi, wszystkie kopyta i wszystkie ryje? — zdumiała go taka perspektywa. — Ale czy rozumieją i pójdą? — powstały w nim głębokie wątpliwości.

— Kto nie pójdzie, niechże zdycha pod batami, przecież będzie musiał pracować za tych, którzy odejdą. Trzeba im to wyłożyć. Daleka droga?

— Za góry i za morza, tam gdzie zimują żurawie, daleko, daleko...

Kruczek zerwał się, aż mu zabrzęczał łańcuch, i gniewnie warknął.

— Mówili żeś wściekły, ale widzę, żeś tylko głupi. Wynoś się!

Nadzieja

Przywódca, Buntownik

Bunt, Buntownik

³⁶chrzypieć (gw.) — rzezić, kaszleć, chrzypieć. [przypis edytorski]

— Gadaj do baraniego łba. Lej świni miody a będzie przekładała pomyje, bo w nich się jeno nauczyła smakować. Żebyś nie żałował — ostrzegął, dotknięty jego sądem.

— Wynos się. Zobaczą cię, a na mnie się skrupi³⁷. Pójdą za tobą, to i ja nie zostanę.

— Tak przyrosłeś do łańcucha, że wolność cię przeraża. Nie potraficie się nawet zbuntować! — narzekał, powtarzając za puchaczem.

— I twojej papudze zachciało się wolności, uciekła i wczoraj na pół żywą wydarli ją jastrzębiom. Ma połamane skrzydła. Słyszałem, jak biadoliła!

Przyjął tę wiadomość z gorącym współczuciem, żal mu było przyjaciółki. Poleciał zaraz do niej, ale zastąpiła mu drogę dziewczka, grożąc kijem. Przewrócił ją i srodze poturbował, aż całe podwórze zbiegło się na jej ratunek.

Przepadł w zbożach i, rozgniewany, krążył dookoła zabudowań, jeno nie chyłkiem, nie nocami, ale w biały dzień, jak prawdziwy mocarz, siłą nakazujący sobie posłuszeństwo. Opętany tą wielką myślą, oddał się jej wszystek, i całą mocą gorącego serca i gwałtownego temperamentu. Poza tym wielkim celem już nic nie istniało dla niego. Psy uwierzyły w niego i, słuchając we wszystkim, miały go za swego pana i wodza.

Zawsze kilku najmocniejszych towarzyszyło mu z daleka dla ochrony i pomocy. Bo-wiem nie poznawali go, tak się był przemienił na wolności. Swoim ogromem, maścią i kształtem sprawiał wrażenie prawdziwego lwa. I głos miał lwi, bo kiedy zaryczał gniewnie, wszelkie stworzenie przypadało do ziemi z trwogi; żywił się na koszt dworu, nie dbając o jego opinię. Stał się dumny, wyniosły i okrutnie mścił się na dawnych wrogach, nie przepuszczając nikomu.

Obrał sobie na stałą siedzibę górę na pastwiskach pod lasem, nazywaną przez ludzi Zamkiem. Była to ogromna kupa gruzów, połamanych ścian i rozsypujących się baszt, zarośnięta gąszczem leszczyn, brzeziny i jeżyn. Tam w jakiejś sklepionej, wpół zasypanej izbie, chroniącej jednak od deszczów i wiatrów, przyjmował swoich pomocników, nara-dzał się z nimi i wysyłał na agitację po całym kraju. Zwykle siadywał wysoko, na jakim złomie, rozpatrując po polach orlimi ślepiami, a gdzie jeno dojrzał jaką krzywdę — już tam spieszył.

— Nie daj się! Brońcie się! — to było hasło, jakie rzucał on i jego towarzysze zwierz-
rętom tyranizowanym przez ludzi. Budziło też wszędzie jednakowe następstwa.

I dziwne rzeczy zaczęły się stawać. Konie za każdy bat odpowiadały kopytami, woły rwały uprzęże i porozbijawszy wozy czy pługi, najspokojniej szły wypasać się w zbożach; świny nie chciały opuszczać pól kartoflanych; psy, raz pospuszczane, nie pozwalały się już brać na łańcuchy, nawet głupie owce przepelniały powietrze buntowniczymi bekami. Tylko stary osioł, mimo szczęśliwie udanej próby, nie śmiał się więcej bronić i po każdych plagach ryczał coraz żałośniej.

— Kiedy się boję! Strasznie się boję!

Bunt szerzył się z niezwykłą szybkością, bo wszędzie psy stawały za pokrzywdzonymi, rzucając się na ciemiężycieli. Powstawały ciągłe walki, lała się krew, trzaskały kije o grzbie-ty, świstały baty, nie ustawały przekleństwa i głosy katowanych rozbrzmiewały po całym kraju złowrogim jękiem rozpacz. W tej zaciętej walce padało dosyć zwierząt, lecz i wielu ludzi dogorywało, pobitych rogami, lub wziętych pod kopyta. Walka zaostrzała się z dnia na dzień, bo przyszły żniwa, zwózka z pól, podorywki, a konie i woły odmawiały po-słuszeństwa. Zrozpaczeni ludzie przypisywali tę krnąbrność panującym upałom i jakiejś epidemii.

Rex wysłuchiwał relacji o tym, co się dokonywało, z niewzruszonym spokojem. Pew-ność zwycięstwa rozpierała mu serce. Podnosił dumnie łeb i, obejmując czuciem troski świat cały, miał się już za jego władcę, i pana. Więc dla przyspieszenia chwili powszech-nego szczęścia, sam zaczął obiegać wsie i miasteczka.

Niejedną noc przepędził w chłopskich stajniach i oborach. I niejedną raz musiał ucie-kać przed kijami, ale wracał uparcie i kiedy pogasły chałupy, wsuwał się jak lis, głosząc niedaleki dzień wyzwolenia. Sławił to szczęście z żarliwością niezłomnej wiary, lecz pomi-mo tego, szło mu bardzo ciężko. Czasem słuchano go, jakby z ufnością i odpowiadało mu głuche, apatyczne milczenie. Niekiedy podnosiły się ciężkie, rogate łby, błyskały ślepia i przemawiały kopnięcia racic.

Niewola, Bunt

Przywódca, Buntownik,
Wolność, Przemiana

Przemiana

Bunt, Walka

³⁷na mnie się skrupi — na mnie spadnie niesprawiedliwa kara. [przypis edytorski]

— A do budy, psie! Nie przeszkadzaj spać!
— Zerwał się z łańcucha i myśli, że to wolność!

Wreszcie w jakiejś oborze wysłuchano go z uwagą, i po długich stękaniach, głamiąc³⁸ nieustannie, odpowiedziała jedna krowa sennym pomrukiem.

— Po co mamy szukać paszy tak daleko? A któż nam da gorącego picia? Kto podrzuci siana? Kto wymości oborę świeżą słomą? I jedna po drugiej sławiły dobroć swoich gospodarzy i rozkoszne obory.

— Doją was za to i zabierają cielęta! — warknął niecierpliwie.
— Cielęta! Cielęta! — przypominały sobie z trudem, wzbierając nagłą tęsknotą.
— A potem zabijają was i pożerają!

Trwoga śmierci zadrgała w ich cielskach, w przyćmionej pamięci zamajaczyła ruda broda i białe szpony, które porywały ich dzieci, ich matki, ich rody i wiodły na zatracenie, że naraz ryk strachu zerwał się jak huragan i leciał z obory do obory, aż cała wieś się przebudziła i ludzie przybiegli z kijami.

— Nie daj się! Broń się! — zaszczał zajadle, wskoczywszy do sadu.
Ale kije zrobiły swoje, zaległa cisza, przerywana bolesnym stękaniem.
Pienił się na ich bierne tchórzostwo.

— Przegryź mój łańcuch, a pokażę co potrafię!
— Głupi — podjęła druga. — Na swojego gospodarza się rzucę, co? Głupi!
— Kopnęłam kiedyś gospodynię i trzy dni stałam przy pustym żłobie, trzy dni.
Z wyrozumiałą cierpliwością rozpoczął znowu swoje nawoływania.

— Nie puszczą nas — przerwała mu jedna. — Rwałam się kiedyś do buraków, nie dali, próbowałam do kapusty i już płot zламаłam, kulas mi przetrzęcili. Nie wypuszczą nas. Psu pozwolą latać gdzie mu się podoba, bo cóż to jest — pies?

Zadumały się nad tym, głamiąc wciąż i porykując tęsknie za pastwiskiem.

Na szczęście w oborach, gdzie stadniki, zgoła inne znalazł przyjęcie. Zrozumiano go w lot. Rozpalily się dziko oczy, krótkie łby jęły³⁹ targać łańcuchami, a chrapliwe, rwane ryki wstrząsały ścianami.

— Prowadź! Zerwij nasze łańcuchy! Dosyć mamy obór, jarzma i człowieka! Prowadź, stada pójda za nami. A kto nam stanie na drodze, tego na rogi i pod kopyta!

Ryki grzmiały coraz potężniej, racice darły ziemię, bojowy szal migotał w ślepiach, a szorstkie ozory miłośnie polizywały Rekxa.

Skrzepiony taką gotowością, zaczął oblatywać stajnie. Odważnie wczolgiwał się do zagnojonych, ciasnych i dusznych komór, gdzie więziono końską zbieraninę, spędzoną wypadkiem, gdzie głód, bat i praca zrównały wszystkich w niedoli.

Ale trafiał na tłuste, proboszczowskie klepy, które ani słuchać nie chciały, bo jegomość co dnia im dawał po kawałku cukru lub chleba. Były i wypasione chłopskie mierzynki, śniące jeno o szaflu kartofli z osypką. Reszta to były jeno końskie łachmany, kupy potrząskanych gnatów i podartych skór, wywłoki koślawe i poodbijane do żywego mięsa, ślepe, pełne gnijących ran, ze łbami kościotrupów, prawdziwie hyclowski towar, dogorywająca padlina, wspaniały obraz ludzkiej podłości.

Kiedy Rex skończył, odpowiedziały mu łzy, spływające z zaropiałych ślepiów i przesmutne rżenia, podobne do rozdzierających szlochów.

— Za późno! Dla nas nie ma już ratunku, nie ma nawet nadziei! Nie dziś, to jutro rozwłoka nas wilcy i wrony rozdziobią! Przekłete niech będzie życie!

Ale odnajdywał po stajniach większych gospodarzy i jaśnie pańskie resztki, w tych przemówiła szlachetna krew, dały się porwać nadziejom, pamięć dawnego życia rozprężyła zastygłe kości, a posmak wolności słodszy był, niżli owies.

— Prowadź! Prowadź! — rżały gwałtownie i, dumnie podnosząc wynędzniałe łby, chwyciły nozdrzami powiewy wiatrów.

— Pamiętam świat szeroki — rżał, stary siwy ogier. — Przepląwałem morza! Kopytami podgarniałem ziemię! Z wiatrami chodziłem w zawody! Ni huk armat mnie płoszył, ni przerażały kule, ni dzid błyszczące ostrza! Niech trąbka da sygnał! Gotowym na bój!

Bunt, Przywódca

Wspomnienia, Bunt,
Buntownik, Starość

³⁸głamać (gw.) — mlaskać. [przypis edytorski]

³⁹jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Z drogi! Rozniesiem wrogów na kopytach! — I pomimo dychawicy i starości, rwał się naprzód na wolność.

Były jeszcze inne, wysłużone po dworach, pałacach i miastach, które los zepchnął na samo dno nędzy i cierpienia; trafiały się wyścigowce, posprzedawane przez zbankrutowanych panów i wraz z nimi staczające się w otchłanie: znalazł się i jakiś czysty anglik⁴⁰ okulaławy, z opuchniętymi stawami, który całe lata chodził w kieratach, że teraz nie umiał już chodzić prosto, a jeno wciąż zawracał w kółko, ten zgoła jakby oszalał na Rek-sowe wezwania.

— Gończe grają! Hop! hop! Na przelaj! Z kopyta prędzej! Galopem! — rżał dziko, galopując po ciasnej stajni i odbijając się o żłoby i ściany. Odsadził wyleniały ogon, sprężył grzbiet i, potrząsając grzywą, cwałował wciąż w kółko.

Rex uciekł jak od oszalałego, i w jakiejś następnej stajni natrafił na zwyczajne, chłopskie szkapy. Mocne były i zdrowe, przywykłe do pracy i bata, chytre i w miarę leniwe, a w potrzebie umiejące się przeżyć choćby słomą zdartą ze strzechy. Słuchały go cierpliwie, obwąchując przy tym starannie.

— A cóż nam przyjdzie z tej psiej wolności? — postawiły kwestię bardzo trzeźwo.

Z uniesieniem pokazywał cudne miraż przyszłego szczęścia.

— Za darmo nie dadzą nigdzie i garści gołej sieczki!

— I człowiek mami: orzcie, koniki, skończymy, to dostaniecie po opalce owsa.

— Pasibrzuchy, chamy! Niedowiarki! — wrzał zagniewany i stropiony.

— Spokojnie! Tylko głupie źrebięta z zadartymi ogonami pędzą w cały świat! Człowiek jest gałgan, tyran i morderca, wiadomo. Baty, bóle, praca ciężka i chude obroki. Ale kto nas będzie żywił na wolności?

— Wszystkie stogi wasze! Wszystkie koniczyny wasze! Wszystkie zboża wasze!

— I nam się już nieraz zdawało to samo, a skończyło się bardzo źle, batami.

— Zostańcie z człowiekiem, jak wszyscy go opuszczą, będzie miał się na kim pastwić! Da wam takiego owsa, że zęby pogubicie.

Chytre były i ostrożne, ale nie głupie, więc zaprzysięgły stawić się na wezwanie.

Rex powracał do swoich ruin, wstępując jeno po drodze tu i ówdzie, żeby przypominać porę i miejsce, gdzie się mieli zbierać, gdy napotkał ogromne stado trzody pasącej się w dworskiej koniczynie. Z przyzwyczajenia rozsrożył się na szkodników, lecz, ochłoniwszy, zaczął im swoje prawić.

Zbiegły się z maciorami na czele i, otoczywszy podniesionymi ryjami, wpierały w niego szare, mądre ślepia. Chrzękały niekiedy i, przestępując z nogi na nogę, cisnęły się coraz bliżej, aż go zamgliło od ich fetorów i zaniepokoiły ryje błyskające białymi kłami.

— Czegóż ten chce? — przerwał mu brutalnie stary ogromny kierda⁴¹. — Zbrakło⁴² ci gnatów do obgryzania i przyleciałeś nas buntować? Jakaż ci to bieda u człowieka? Żresz, aż ci kałdun⁴³ spęczniał; wylegujesz się, całe dnie latasz za sukami, gdzie ci się podoba. Czegóż ci więcej?

— Szczęścia i wolności wszystkich uciemiężonych! — zaskomlał uroczyście.

— I to tak szczeka pies! — oburzył się kierda — który na rozkaz człowieka wszystkich gryzie, szarpie i wygania! Gorszy od niego samego. Pewnie zmówił się z wilkami i chce sobie z nas zrobić spiżarnię! Znamy takich dobroczyńców! Mnie któryś z twoich ogon oberwał i zagryzł dwa prosięta. Rozprułem mu brzuch. Pilnuj no swoich flaków i głupich nawołuj do wolności, od świń ci wara! Mądrała, a nie pojmuje, że na świniach opiera się prawda świata, jego spokój, ład i rozsądna progresja. A człowiek jest panem, bo jest głową wszystkiego! On myśli, pracuje i zabiega, żebyśmy wszyscy mieli co żreć, żebyśmy istnieli. Ty ze swoim rozumem możesz tylko zgubić nas wszystkich. Świat urządzony jest mądrze, każdy powinien być na swoim miejscu i słuchać, co mu człowiek rozkaże.

— Was tylko pożera, lecz drudzy całe życie cierpią i męczą się okropnie.

— Milcz, bo ci flaki wypuszczę i pamiętaj, że przy maciorach nie mówi się o śmierci.

Człowiek

Ofiara, Tajemnica

⁴⁰anglik — potoczne określenie konia pełnej krwi angielskiej, rasy sportowej, pochodzącej z Anglii. Konie angielskie uważane są za najszybsze na świecie. [przypis edytorski]

⁴¹kierda (daw.) — knur. [przypis edytorski]

⁴²zbrakło — dziś popr.: zabrakło. [przypis edytorski]

⁴³kałdun (gw.) — brzuch, określenie pogardliwe. [przypis edytorski]

To nasza tajemnica! Dobrowolna ofiara składana za istnienie całego naszego gatunku. Odejdź prędko i omijaj nas z daleka, ty przygłupku psi.

— Maciory, warchlaki, prosięta i wy mężowie rodu! — zawył nagle Rex.

Szyderczy rechot zgłuszył jego patetyczne naszczekiwanie.

— Pies bezpański, włóczęga, złodziej.

— Twoja wolność warta jest ogryzionego gnata.

— Podły, kasa ręce, które mu dawały chleb.

— Chce nas wygnać z chlewów i wydać wilkom!

— Głupi, z człowiekiem chce wojować! — pokwikiwała rozjątrzona tłuszcza, potrącając go ryjami i cisnąc się do niego coraz groźniej. Zrozumiał, że jeśli się im w czymkolwiek sprzeciwi, to strącą go i rozerwą na kłaki. Więc, zapanowawszy nad sobą, zaczął udawać sennego, kiwał głową, odganiał muchy ogonem i wreszcie rozciągnął się na ziemi jak długi.

Dały mu wreszcie spokój a ponieważ południowe słońce mocno dopiekało, rozłaziły się po bruzdach i rowach, szukając chłodu dla swoich tłustych kaldunów.

— Za dużo świń na świecie! — rozmyślał, wyrwawszy się z tego towarzystwa. — I ciężko im ryje podnosić do słońca! — Stwierdzał z pewnym smutkiem, przemykając się do swej siedziby. Nie martwił się tym epizodem dopiero co przeżytym, będąc pewnym, iż większość pójdzie za nim. Bowiem idea przeniknęła już do mas i szerzyła się jak pożar. Odwieczne cierpienia uprawiły serca pod zasiew wiary i ślepego posłuszeństwa temu, który im ukazywał kraj obiecany. A do porywającej idei dołączała się i ta granitowa pewność, że życie na wolności to nieskończone lata wypełnione jeno żarciem, mnożeniem się i wypoczynkiem. Donosili mu, że już wybuchały spory i kłótnie o to, kto i jakie pola będzie objadał. Wysłuchiwał tych relacji z wyrozumiałą pobłażliwością.

— Już się niecierpliwią, trzeba wyruszyć jak najprędzej — rozważał.

Od sceny ze świniami dwa potężne owczarki nie opuszczały go już ani na jeden krok.

A później przyłączyła się do nich cała sfora zdziczałych samotników i bezpańskich włóczęgów, więc żeby ich wyżywić, Rex musiał z nimi robić wyprawy w bory i pustoszyć je bez miłosierdzia. Załatwiał przy tym swoje niezapomniane jeszcze krzywdy, wyzywając mściwie cały naród leśny do walki. Juści, że nikt nie przyjął wyzwania, nawet dziki nie chciały zadzierać z rozzuchwalonymi zbójami. Zasię drapieżne ustępowały chytrze pola, krążąc jeno z daleka i wciągając ich niepostrzeżenie coraz głębiej. Tymczasem stawała się lupem najeźdźców cała puszcza.

Nieraz całe dnie rozlegały się w lasach dzikie naszczekiwanie, budzące śmiertelny popłoch i zgrozę. Rozbestwiona horda mordowała bez litości i potrzeby. Bek rozszarpywanych saren i jeleni wybuchał w coraz innej stronie. Co tylko mogło, kryło się lub uciekało w najdalsze ostępy. Puszcza zamierała w trwodze, nawet ptaki śpiewały lękliwie, a dopiero nocami, pod osłoną ciemności wrzały żalosne skargi i zawodzenia. Zwłaszcza puchacze huczały złowroźnie.

— Śmierć dokoła! Biada! Biada! Biada!

— Ginie wolność! Ginie puszcza! Ginie świat! Biada! — lkały głosy przerażeń.

A wilki gdzieś w niedojrzanych głębiach były przeciągle i coraz dalej, że psy, porwane bojowym szałem i niesyte jeszcze mordów, krwi i sławy, goniły zaciekle, pragnąc się z nimi spotkać i rozprawić.

— Uciekają niby zające! Hańba im i śmierć! — skowyczał Rex, nie ustając w pogoni.

I pędziły ze wszystkich sił, wściekle, spienione, prawie oszalałe do samego dna puszczy, aż tam, gdzie już nie było dróg, ni ścieżek, ni gęstego podszycia, a stał jeno prawieczny, niebotyczny i zwarty, czarny bór, gdzie już nie przenikało słońce a panował wieczny mrok i martwe milczenie; gdzie nie było traw zielonych ni kwiatów, a ziemię pokrywały jakby rude liszaje i białawe strupy, a tu i ówdzie z mroków polśniewały zaropiałe oczy stawów. Psy zwolniły biegu, z trudem przedzierając się przez zwały odwiecznych drzew, groble suszu i nasypiska pokruszonych skał. Zielonkawy zmierzch jakby dna morskiego, w którym wszystko stawało się nieuchwytnym majaczeniem, przejmował lękiem, że przemykały się z podwiniętymi ogonami, wietrząc podejrzliwie i co chwila przystając.

Głosy wilków rozwiała się w oddaleniu, a jeno niekiedy przeleciał górą krzyk orla lub powiewały z szumem niedojrzane wierzchoły drzew.

Jakiś przykry a nieznany swąd zawiercił im w nozdrzach.

— Stać! Czyj to ślad? — zaniepokoił się Rex, wietrząc na wszystkie strony.

Sprężyły się grzbiety, ten i ów zaszczykał kłami. Wielu chciało zawracać.

— Naprzód! Jeśli tam wróg, śmierć mu! — zdecydował mężnie Rex.

Ruszyły ławą⁴⁴ z nosami przy ziemi, a nastawionymi słuchami.

Bór rzedniał, skał było coraz więcej, świt podnosił się w głębiach i rozwidniał. Wreszcie odsłoniła się jakby wielka polana, sterczały z niej potężne, białe skały, niby ostre kły wymierzone ku niebu i dźwigały się olbrzymie buki, jakby kowane⁴⁵ z zielonawego brązu. Strumień spadał z bełkotem po kamieniach. Jakieś wielkie, czarne ptaki siedziały na skałach. Niebo wisiało wysoko i przygrzewało południowe słońce.

Psy z rozkoszą chleptały wodę i, wytarawszy się po trawach, leży na spoczynek.

— Wytchniemy i wracamy! — decydował Rex, nie przestając podejrzliwie węszyć.

Wszyscy posnęli, tylko jeden z owczarków, natrafiwszy na jakiś niepokojący trop, poleciał za nim, i biegając w różne strony z nosem przy ziemi, warczał trwożnie.

— Nie wilczy... nie rozumiem... strzeżcie się! Wróg w pobliżu!

Naraz głuchy, potężny ryk wstrząsnął powietrzem.

Psy zerwały się jak jeden, gotowe do walki lub ucieczki.

Niedźwiedzie przechodziły rzeczkę po wystających z wody kamieniach: przodem szedł piastun, przyciskając do piersi dwoje małych, a za nim samica.

Psy, zobaczywszy takie potwory nigdy niewidziane, cofały się bezwładnie z żalonym skowytom. Zbiły się w kupę, szczękając kłami i dygocąc w febrze przerażenia. Rex orał ziemię pazurami, rozpatrując ze drżeniem nieznanego wroga.

Piastun, przeszedłszy strumień, oddał matce niedźwiadki, zaczęła je popychać nosem i oglądając się trwożnie, zaganiała je prędko w jakąś szczelinę skalną, zarośniętą krzakami, a sam wspiawszy się na zadnie łapy i zaryczawszy potężnie, ruszył z wolna ku psom... Ogromny był, wzrostem przechodził człowieka, rudawy z białym podgardlem, z otwartej paszczy połyskiwały rzędy białych zębów.

Psy zakręciły się nagle skotłowanym wirem, rwała je chęć ucieczki, obezprzytomniał strach, a zarazem gniew i zapalczywość wydobywała z nich wściekłe skowity.

Tylko Rex nie poruszył się z miejsca, stał na przedzie cały w dygocie straszliwej żądz walki. Przyginał się do skoku, sprężał, napinał grzbiet, zbierał wszystką moc, pochylał coraz niżej łeb, wpijał się w niego rozgorzałymi ślepiami, aż w jakimś mgnieniu cisnął się w jego pierś niby kamień. Cios był tak niespodziany i potężny, że niedźwiedź przewalił się w tył jak kłoda. I porwał się na nogi błyskawicznie, ale Rex nie rzucił się na niego, a jeno zaczął obiegać dokoła, dopadać i szarpać gdzie się dało, że niedźwiedź z rykiem obracał się na wszystkie strony, nie mogąc go osiągnąć łapami.

Wtedy, jakby na znak wodza, cała sfora rzuciła się na niego. Sto kłów i pazurów chwyciło się jego skóry, drąc ją bez miłosierdzia. Zawrzała nieubłagana walka. Niedźwiedź co chwila stawał na tylnych łapach i co chwila jakiś pies wylatywał w powietrze, i ze złamanym grzbietem i pogniecionymi żebrami padał głucho na ziemię, reszta tym zajadłej wżerała się w olbrzymia.

Nawet ranni walczyli do ostatnich drgawek śmierci tak zaciekle, że niepodobna mu było się obronić. Na próżno ze straszną siłą i przerażającym rykiem rzucał się na całe stado i jednym uderzeniem łapy gruchotał grzbiety i zabijał; na próżno gryzł i dusił, rozmiążdżał stopami, przygniatał sobą i rozrywał pazurami.

Psy nie ustępowały. I niby dąb miotany wichurą, chwiały się na wszystkie strony, darty kłami rozwścieklonej hordy. Nie myślał o ucieczce, broniąc się z rozpaczliwym męstwem, ale już poczuł kły we wnętrzościach, już mu obdzierano boki, wrywano uda i łamano żebra, że raz po raz przewracał się na ziemię i, zrywając się na nogi ostatkami sił, cały w ranach i strzępach, brocząc obficie juchą, z oczyma przymglonymi bielmem śmierci, walczył do upadłego.

W jakimś mgnieniu, kiedy się zrywał po raz ostatni, Rex skoczył mu do gardzieli, padli obaj na ziemię, a reszta runęła na niego. Zwarli się w jeden kłęb nierozpłątany pazurów, kłów, łbów, okropnych ran i skowytów, taczających się po murawie ze strony

Strach, Tchórzostwo

Odwaga

Walka

⁴⁴ławą (daw.) — tu: szeregiem. [przypis edytorski]

⁴⁵kowane (daw.) — kuć, kowane — kute, ukute. [przypis edytorski]

na stronę, który, bluzgając krwią, rozbijał się o drzewa, krzaki i kamienie, znacząc swoje ślady trupami i ciężko rannymi.

Jeno⁴⁶ kruki spływając ze skał i drzew, krążyły coraz niżej.

Wreszcie wybuchnął ostatni, chrapliwy ryk konającego niedźwiedzia.

Rex wydarł mu serce, ociekające krwią i chciwie pożerał, a towarzysze, chlepcząc gorącą jeszcze posokę, nasycali się do woli drgającym jeszcze mięsem.

Rex przynaglał do odwrotu, trwożnie oglądając się na skały.

Zawyły psy pieśń zwycięstwa, aż rozlekały się echami bory i popędziły z powrotem.

Na pobojowisku pozostały jeno trupy konających i chmara kruków, wron i jastrzębi, rzucających się na obfity żer.

Pomimo wyczerpania walką pędziły co tchu starczyło, pozostawiając za sobą osłabionych i ciężiej rannych, aż o świtanu dopadły swego legowiska.

Niewiele ich powróciło, najdzielniejsze padły w walce lub konały po lasach.

— Za drogie zwycięstwo! — skamlał Rex, przeglądając żalosne resztki, ledwie już dyszące z wyczerpania i upływu krwi. Zwłaszcza żałował owczarków, oba padły w pierwszym zaraz natarciu na niedźwiedzia.

Zwlekały się posępnie do sklepionej izby, ale żaden nie potrafił zasnąć, gdyż z lasów nadpływały jakieś złowrogie wrzawy. Bowiem lotem błyskawicy leciała wieść o śmierci niedźwiedzia: śpiewały je ptaki ptakom, szemrały drzewa drzewom, a wiatry roznosiły, że po całej puszczy lkał jęklivy, żalobny krzyk:

— Pan zabity⁴⁷! Biada puszczy! Śmierć zbójom! Śmierć!

— Mocarz to był. Prawdziwy król! — rozważał Rex, wspominając jego siłę i ryki. Wzdrygnął się zimnym dreszczem i nasłuchując tych żalnych zawodzeń leśnego narodu, poczuł, że wszyscy zapragną na nich wziąć zemstę.

— Niepodobna stawać przeciw całemu światu! — zaskomlał trwożnie, gdyż głosy wzburzenia napływały falą coraz gorętszą i gwałtowniejszą.

Dzień przy tym wstawał chmurny i wietrzny, a jemu zdawało się chwilami, że wraz z wiatrem powstają drzewa, rwą się naprzód i poświstując dziką pieśń walki, runą na niego. Czuł się tak śmiertelnie zmęczonym, że padł na barłóg i zasnął, budząc się jednak co chwila, za każdym głośniejszym poszumem wichury, gdyż słyszał w nich przeciągłe wycia wilków, krakania i dalekie, dalekie ryki niedźwiedzi...

— Jeden zabity, a ilu jeszcze zostało? — z tym uciekł w pole, żeby się przespać.

Potem, już kiedy odpoczął i nieco się uspokoił, rozesłał gońców na wszystkie strony z przypomnieniem o dniu zbierania się na dworskich pastwiskach pod lasem.

Miało to być w niedzielę, po południu, kiedy zadzwonią po kościołach.

Pod grozą przeróżnych obaw czekał na tę chwilę z największą niecierpliwością.

— Na wolność! Pod słońce! Daleko! Daleko! — majaczył we snach i na jawie.

A te parę ostatnich dni wyczekiwania spędził w dręczącym podnieceniu. Gorączka rzucała go z miejsca na miejsce. Kręcił się bez celu po ruinach. Wybiegał w pola, to wczółgawszy się w gąszcza lasów, godzinami węszył i wypatrywał z ledwie pohamowanym niepokojem. Na domiar złego i noce nie przynosiły mu odpocznienia, gdyż jakby z rozmysłem sowy i puchacze krzyczały z drzew takie nowiny o gniewie puszczy, że aż zamierało serce i kły szczękały ze strachu. We dnie znów wrony, unosząc się nad ruinami, nie przestawały złowrogo krakać. I coś musiało się tam dziać w głębiach i mrocznych pustkach, bowiem wysłańcy, posyłani na zwiady, przynosili trwożne wieści o jakichś tajemniczych zebraniach wilków i lisów. Zdarzało się też dojrzeć stada jeleni przebiegających niedaleko ruin. I dziki przedęptywały sobie ścieżki do pól również niedaleko. Całe zaś chmary skrzydlatych drapieżników trzymały jakby straż, kołując ustawicznie nad ruinami. A chwilami wyraźnie słyszeć się dawały echa wstrząsających ryków.

Był przekonany, że się to szykuje jakaś wielka wyprawa na niego.

— Jeszcze dwa słońca i dwie noce! — krzepił się nadzieją, widząc się już na czele niezliczonych gromad, dążących na wschód, na wolność.

Przedostatniej nocy chłodnej i zadeszczonej, że niepodobna było zwietrzyć i na parę kroków, wilki rzuciły hasło pokoju, wzywając na porozumienie.

Serce, Zwycięstwo

Król, Pan

⁴⁶jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

⁴⁷zabity — dziś popr.: zabity. [przypis edytorski]

Rex wyskoczył na złom, wystający nieco nad rumowiskiem i zatopił ślepią w gąszczu, gdzie błyskały zielonawe światelka i słychać było stąpania.

— Czego chcecie? — zawarczał dumnie.

Wilki przyciągnęły przed niego kawał sarny, a Kulas zaszczekał pokornie.

— Chwała zwycięzcy i oto łupy.

— Czego chcecie? — odwarknął zdumiony i wietrząc jakąś zasadzkę.

— Składamy ci hołd i daninę! — zaszczekały lisy, stożąc⁴⁸ mu u stóp poduszone kuropatwy, bażanty i młode zajaczki.

— Czego chcecie? — zawył, groźnie wyszczerzając zęby, że Kulas jakby się rozpląszczył ze strachu i czołgając się ku niemu, zaskowyczał błagalnie.

— Ratuj nas, niepokonany, ratuj puszcze!

— Wasze sprawy nie są moimi sprawami! Szczekaj dalej! — mruknął łaskawie.

— Zwycięzco! Zabijeś niedźwiedzia, pana puszczy, bierz po nim władzę i broń nas.

— Co wam grozi? Może niedźwiedzie? — zdradził się z tą piękną troską.

— Gorzej, bo ludzie wielką obławą idą od strony wielkiej wody, jadą na koniach, jadą na kołach, idą pieszo, a z nimi ciągną nieprzeliczone hordy psów. Śmierć idzie wraz z nimi i zagłada. Zabijają piorunami, tępią ogniem, łowią sieciami, a zwłaszcza pastwią się nad moim rodem — załkał, drąc pazurami ziemię z rozpacz.

— I nad moimi znęcają się bez miłosierdzia — płakał lis, zakrywając oczy ogonem.

— Obława, teraz? Chodziłem na nią kiedyś, ale to było zimą, po śniegach, za tropami.

— Wpadli teraz niespodzianie i mordują wszystkich! Ratuj nas! Ratuj!

— Myśmy niewinni! Niewinni! — zaskowyczały wraz lisy z wilkami. — To złość ludzka, pragną naszych skór! To zbóje i złodzieje, żyją tylko naszą krzywdą! — jęczały płaczliwie.

— Łacno⁴⁹ wilk znajdzie na barana winę! — zaśmiał się naraz puchacz, siedzący na baszcie. — A któż to wydusił całe stado źrebiąt? A któż to wybrał z owczarni wszystkie owieczki? Mają się za co mścić! — huczał, nieubłaganie wypominając ich grzechy.

— Na swoich prawach żyjemy! Któż nam śmie zaprzeczać? — zakłapał Kulas z wściekłością.

— Mów wilkowi pacierz, a woli kozia macierz! — szydził dalej puchacz. — A ludzkie szczenię kto porwał sprzed chałupy? — wypominał zjadliwie.

— Chodź bliżej i powtórz to nam do ślepiów, ty wszawa pierzyno, ty szczurolapie!

— Milcz, pyskaczu! — zagrmiał Rex. — Całe noce plotki roztrząsa po lasach! O prawach puszczy prawi! Precz mi z tym plugawym pomiotłem!

Puchacz wyniósł się pośpiesznie w lasy, a wtedy Kulas wyłożył szczegółowo całą sprawę obławy, dając przerażający obraz ludzkich mordów i gwałtów.

— Waż się na wszystko, znam ich dobrze! Ale jak was obronię? — zadumał się głęboko.

Znalazł się sposób bardzo prosty i lehcący jego dumę.

— Daj hasło swoim, którzy pomagają ludziom, niech ich odstąpią i cała ich moc pryśnie. Cóż poczną bez koni i psów?

— Zostaną im jeszcze pioruny! Straszni są w potężde! Potrafią osiodłać wichry i wody zaprząć do swoich wozów! Widziałem ich moc! Nienawidzę ich, jak i wy, nienawidzę...

— Niezwyciężony, na twój głos powstanie wszystek naród pól, chat i puszczy. Rozkazuj, a wszystkie rogi, wszystkie kopyta, kły i pazury runą na dwunogich, stratuja i rozpędzą. Nie oprą się naszej nawale! Wytepiamy ich do nogi! Uratuj puszcze. Uratuj świat od człowieczej zarazy. Staniesz się nieśmiertelnym. Przyszłe pokolenia będą cię wysławiały. Zapanujesz w każdym sercu. Wstań, rozkaż i poprowadź, a ujrzysz takie zwycięstwo, jakiego jeszcze nigdy nie oglądało żadne ślepie. Prowadź na naszych wspólnych wrogów! Wytepiamy go! Niech jego pamięć przepadnie. Niech przeklęte będzie jego imię za wszystkie jego zbrodnie, jakimi pokalał ziemię — chrypiał Kulas, przejęty strasliwą nienawiścią. — Wszystko zabija dokoła! Wszędzie mu ciasno! Plugawi wody, morduje lasy i zostawia za sobą pustkę, śmierć i te obmierzłe, nieskończone pola! Nie mamy już gdzie polować, nie możemy się już wyżywić! Najlepsza zwierzyna ginie z głodu! A teraz

Człowiek, Złodziej

Przywódca

⁴⁸stożyć (daw.) — układać w stóg, kopiec. [przypis edytorski]

⁴⁹łacno (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

wyciąga drapieżne pazury po puszcę, po ostatni nasz schron, po nasze legowiska, gdzie od prawieków, gdzie zawsze żyły nasze rody — zapłakał, dusiła go rozpacz i strach przed jutrem. — Czekają nas śmierć głodowa! Już łosie uciekły, nie mogą się bezpiecznie kąpać i mnożyć! Jelenie szukają nowych pastwisk. Sarny szukają zbawienia po polach. Ostatnie borsuki zginęły, połapane w żelaza. Nawet niedźwiedzie niepewne już są swoich barłógów. Zagłada powszechna, zagłada! Prowadź nas, ratuj puszcę! Damy ostatnie kły, byle jeno przyszłe pokolenia miały znowu nad łbami szumiący dach puszczy, by się rozpadły w proch ich nory, a pola znowu porosły lasami. Ratuj nas! — zaskamlały jękliwie, liżąc go po łapach i bokach.

— Człowieka nie wytępiimy — wyznał z głęboką pewnością. — Niepodobna nocy rozpalić do białości dnia. Ale mścić się — to prawo pokrzywdzonych! Znam dwunogich, nagie to, nędzne, bez kłów i pazurów, a straszniejsze od wszystkiego! Mają niepojętą moc w swoich łbach! Można się przeciwko nim zbuntować, ale niepodobna ich zwyciężyć. A kto z nimi się zadaje, musi w końcu być ich niewolnikiem. Ja zerwałem już pęta, niezadługo i reszta ludu polnego podniesie rokosz i pójdzie za mną! — podniósł dumnie łeb, ślepia mu rozgorzały i porwany swoją ideą, rozsnuwał obrazy niedalekiej szczęśliwości.

Wiedzieli już o tym, ale dopiero kiedy skończył, Kulas zaskomlał.

— Przysięgniemy ci na wierność i pójdziemy z tobą!

Spojrzał podejrzliwie, ślepia ich wyrażały taką szczerą prawdę, że uwierzył.

— Ale teraz daj nam pomoc! Poprowadzę stronami, znam wszystkie przesmyki. Znam miejsca gdzie obozują. Uderzymy na nich w nocy, kiedy powyprzegają konie. Ty runiesz pierwszy ze swoimi, bo konie nam nie uwierzą, mają do nas jakieś dawne uprzedzenia. Na księżyc przysięgniemy ci wierność i posłuszeństwo, tylko ratuj.

Zaszyli się w gąszcze, żeby mu zostawić czas do namysłu.

Wprawdzie nie zawierzył im we wszystkim, ale postanowił ratować puszcę, żeby przy tej sposobności nasycić głodną zemstą.

— I niech się moi zaprawią uderzać na człowieka bez strachu — rozważał.

Zwoławszy z okolicy kilkadziesiąt co najdzielniejszych psów, wyruszył z nimi o samym południu. Kulas poprowadził wyprawę tylko sobie znanymi przesmykami na przełaj borów, reszta wilków biegła na flankach. Zagłębiwszy się w bory, przepadli w nich ze szczętem, gdyż biegli w najgłębszym milczeniu, tylko lecące za nimi nad lasami jastrzębie i kruki zdradzały ślady ich przejścia. Odpoczywali niekiedy, krzepiąc się tym, co im znosiły wilki i lisy. Dopiero o późnym zmierzchu wynurzyli się na kraj skalistej polany, dobrze pamiętnej Reksowi, i zapadli w gąszczach.

Polana rozżarzona blaskami ognisk i nakryta dymami, wrzała głosami ludzi i zwierząt. Drażniące zapachy mięsów roznosiły wieczorne powiewy. Konie chrupały owies z płóciennych torb, a psy puszczane ze smyczy kręciły się pomiędzy wozami, naszczekując wesoło i gryząc łaskawie rzucane im gnaty. Myśliwi rozwalali się przy ognisku. Ogromne udźce jelenie piekły się, uwieszone do skrzyżowanych drągów. Brzęczały szkła i wrywały się hulaszce piosenki. Wszyscy, pomimo przemęczenia obławą, zdali się dyszeć dziką radością łowów.

Rex, spenetrowawszy obozowisko, rzucił hasło dobrze już znane polnemu ludowi. Psy zaskomlały radośnie i przymilkły, a konie, pozrzucawszy ze łbów torby z obrokiem, grzebały niecierpliwie kopytami. Cała puszcza zapadła w głuchą ciszę.

Chwila walki zbliżała się z wolna i nieubłagane.

A kiedy ludzie, obżarłszy się i opiwszy, przylgnęli spać pod kozuchami, kiedy ogniska niepodsypane zaczynały przygasać i dymić, padł krótki rozkaz Reksa.

— Tratować i rozpędzać! Naprzód! Za puszcę, za legowiska! za wolność!

Wilki zaśpiewały swoją pieśń bojową, tak straszną i wyzywającą, że rozjuszony tym stado runęło na obozowisko. Podniósł się niesłychany wrzask rzeń i szczekań. Konie z dzikim skowytym biły kopytami w ludzi i ogniska, aż głównie rozlatywały się na wszystkie strony. Psy, prześcigając się w męstwie z wilkami, osaczywszy nagankę i strzelców, rzuciły się na nich ze wściekłym wyciem. Pogasyły zdeptane ogniska.

W ciemnościach i grozie niespodziewanego napadu, ludzie wyrwani z pierwszego snu, biegali nieprzytomni, a nie pojmując co się dokoła dzieje, uciekali w bory lub krzycząc wniebogłosy i opędzając się przed napastnikami, szukali ratunku na drzewach i skałach.

Człowiek, Wróg, Bunt

Walka

W strasliwym zamięcie tylko z rzadka huknął strzał, gdyż strzelcy, rozproszeni gwałtownym napadem i zdziśniętymi, nie mogli trafić do swoich strzelb. A walka toczyła się coraz dziksza i coraz okrutniejsza. Krzyki rozpacz rozdzierały powietrze. Jęki rozszarpywanych żywcem konały w ogłuszającym zgiełku szczekań, wycia, skowytów i rzeń. Dopiero po jakimś czasie, ludzie, ochłoniwszy z przerażenia, zaczęli stawiać jakiś opór. Tu i ówdzie walczone pojedynki z całymi stadami, broniąc się jeno gołymi pięściami. Wilki atakowały z furją, rozdzierając ludzi na szmaty i włócząc ich po boju. Jakiś strzelec w podartej liberii, z twarzą poszarpaną i cały w okropnych ranach, bronił się głownią przeciwko całemu stadu wilków. Inny znów krzyczał przeraźliwie spod kopyt trafiających go koni. A jakiś skoczył na wierzchowego ogiera, który go ponosił oszalały, rozbijając o drzewa i skały. Jakiś olbrzymi chłop, pochwyciwszy wilka za zadnie kulsy, grzmocił nim napadających. Wreszcie z buków i ze skał odezwały się gęstsze salwy, w blaskach wystrzałów dawały się widzieć rojowiska psów, wilków i ludzi szczepionych ze sobą i tarzających się po ziemi. Rozszalałe konie tratowały zarówno wszystkich.

Rex z Kulasem przy boku, kierował wszystkim, sam prowadził do ataków, ostrzegał przed niebezpieczeństwem, szczerzył wymykających się z pogromu, to obiegając walczących grzmiał w ciemnościach groźnym, lwim głosem, zagrzewającym do boju.

Ale Kulas, nie mogąc pohamować swojej okrutnej natury, rzucał się niekiedy w odmęty najzjadlejszych walk i nasyciwszy wiecznie głodne żądze mordów, powracał ubroczony krwią i często z kawałem mięsa w zębach.

— Połóż! Przecież nie będziesz żał człowieka! — gromił go Rex z jakąś niewysłowioną grozą.

I coś, jakby żal zatargało jego sercem. Wprawdzie z chłodną i czujną rozważą prawdziwego wodza pilnował dalszego przebiegu bitwy, lecz pod wpływem naglej odrady do wilków zaczął swoich hamować i bardzo oszczędzać.

— Chcesz zwyciężyć naszymi gnatami — zawarczał Kulas srodze tym zaniepokojony.

— Walczycie o swoją wolność i istnienie, a my tylko dla honoru! Pamiętaj, że pomagamy wam. A jeśli ci się nie podoba, swoich odwołam — groził, wyszczerzając kły.

Kulas, zbiesiony zapachami krwi, jękami rozszarpywanych, znowu rzucił się w bój.

Rex zaś, przystając tu i ówdzie na stronie, wsłuchiwał się w bitewne wrzaski z coraz większym rozdrażnieniem. Bolały go już te rozpacz przejęte głosy ludzi, budząc w nim jakieś boleśnie męczące wyrzuty. Na próżno uciekał przed nimi, goniły za nim, nie milknąc ani na chwilę. W jakimś miejscu, napotkał człowieka czołgającego się do strumienia, był jeno resztką mięsa, szmat i pogruchotanych kości, ociekających krwią i przeokropnie jęczących. Reksowi wspomnił się jego dawny pan, którego kiedyś na polowaniu poraniły dziki, tak samo odszukał go wlokącym się na czworakach do wody. Więc pod wpływem dziwnej tliwłości, przypadłszy do rannego, zaczął go lizać po twarzy i wyć. Jakież przebiegające wilki chciały dogryźć konającego, ale Rex odpędził je z wściekłością. Już nie mógł więcej słuchać ludzkich rozpacz.

Teraz, kiedy patrzył na pokonanych i wijących się bezsilnie w pazurach wilczych jak zające, zaskomlał żałośnie nad ich pohańbieniem. Zapomniał o zemście i nienawiści.

Zadręgało w nim na nowo odwieczne przywiązanie do człowieka, niewolniczy strach przed jego wszechmocą i ta dziwna solidarność z jego dołą. Czuł chwilami najgłębiej, że są mu najbliżsi, że po ich stronie powinien walczyć i wraz z nimi ginąć. Wraz też rozrastała się w nim nienawiść do wilków i do ich ohydnych okrucieństw.

Walka już przechodziła w bezładną, strasliwą jatkę; krzyk rozszarpywanych żywcem wzmagął się z chwili na chwilę. Obląkane szaleńcem mordów stada pastwiły się nad ludźmi, padającymi z ran i wyczerpania. Wycia triumfów rozlegały się na poboju wraz z chrzęstem łamanych kości i rżeniem konających.

Tylko jakichś paru śmiazków cudem wyrwawszy się z klów, dopadło wozów i pochwyciwszy za topory, oszczepy i widły, bronili się jak lwy, otoczone zgrają wilków, skaczących na nich ze wszystkich stron. Ten niespodziany opór i migotanie żelaz, bijących bez wytchnienia, jeszcze bardziej rozwściekłał napastników. A przy tym i z drzew zatrzaśkały kule, bijące już coraz częściej i celniej.

Rex, skorzystawszy z tego momentu, zawył na przerwaniu walki.

Zastąpił mu drogę Kulas i skacząc do gardła, zaszczekał z furją.

— Zdrajco! Odstępujesz nas! Ale my będziemy się żarli do ostatniego ludzkiego gnata.

Walka, Honor

— Jeśli ci szkoda trupów, to je pożeraj! Mamy ważniejsze sprawy niżli duszenie zdychających. Zrozum, głupi barani łbie, że mają się czym bronić! Zobacz, ile już naszatkowali waszego ścierwa! Słyszysz, jak grzmia! Sporo też uciekło w lasy, mogą sprowadzić pomoc. I cóż wam przyjdzie z tych niedobitków? Ostatni czas się wycofać.

— Kły i pazury naprzód! Morduj, szarp, rozdzieraj! Morduj! — zawył rozszalały Kulas i nie zważając na przestrogi, rzucił się wraz z drugimi na wozy.

— Jeszcze dzisiaj obłupią cię ze skóry, bydlaku — zawarczał z politowaniem Rex, nawołując swoich do zaprzestania bojów i odwrotu. Lecz sporo upłynęło czasu zanim go usłyszano, zanim się psy wycofały z walki, a zwłaszcza zanim spędzono rozpierzchłe konie. Tymczasem jakiś niesamowity brzask jał⁵⁰ rozsiewać w głębiach borów.

Jakby wschodziło słońce, jeno to było dziwnym, że zdawało się wschodzić naraz we wszystkich czterech stronach świata, bo krwawe zorze rozsączały się dokoła i wybuchając z ziemi, sięgały aż wierzchołków drzew płomienistymi jeziorami. Niebo przy tym było czarne, bez gwiazd, schmurzone, drzewa stały bez ruchu, a jakiś rozdrzany, głuchy szum huczał coraz potężniej.

Rex, zwietrzywszy gryzący zapach dymów, zmartwiał z przerażenia.

— Za mną! Ze wszystkich sił! Za mną! — zawył naraz i opanowany śmiertelną trwogą, rzucił się instynktownie w najciemniejszą jeszcze stronę, a za nim ruszyły psy, tylko konie ujrawszy ogień, powróciły na polanę z kwikiem, tratując wszystkich i wszystko.

Brzask rozszerzał się, wynosił i zbliżał się z szaloną szybkością, już widać było walczących, jakby w krwawej mgle, już najbliższe drzewa pokazywały się czarne i wynioślejsze, a już tu i ówdzie wychylały się zrózowione czuby skał.

Naraz zakrzyzczały ptaki, zerwał się wicher i ogień skoczył jakby borom do gardła, tysiące błyskawic zamigotało po czarnych, olbrzymich pniach i przeskakując z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, wybuchały w górę, żrąc krwawymi kłami ciemności.

Ognista obręcz otoczyła polanę rozwichrzonymi grzywami. Stała się paląca jasność! Bór zapłonął nieprzeliczonymi pochodniami. Buchnęło morze płomieni, dymów i trzasków. Łuny zardzawiły niebo. Triumfalna pieśń ognia zahuczała w przestrzeniach. Zaczęły się z jękiem walić przepalone olbrzymy, tryskając krwawymi fontannami, a wśród tego orkanu zaledwie się dawały słyszeć rozpaczliwe skomlenia ginących zwierząt i ludzi.

IV

Noc była późna, ciepła i rozgwiazdzona⁵¹; od wsi dalekich dochodziły piania kogutów. Spokój leżał w przestrzeniach i cichością dyszały pola i lasy. Mgliste zasłony rozwlekały się nad ziemiami nieprzejrzanym, białawym i zastygłym morzem. Ni jeden ptak nie zaśpiewał, ni dał się słyszeć szelest przemykających na łowy drapieżników. Nawet bory pograżyły się w niezmaconym milczeniu. Cały świat zapadł w głęboki, ukojony sen. Nie przerwała go nawet spadająca rosa.

Tylko w ruinach pod lasem czuwano.

Na olbrzymim złomie murów siedział Rex, a przy nim drzemał Niemowa, odpowiadając niekiedy krótkim bełkotaniem. Rozumieli się doskonale.

— Ostatnia noc! — warknął Rex, wyteżając ślepie jakby w nadchodzące jutro.

— Kruczek już mi o tym szczeł. Byłem taki chory i małym zważał⁵²...

— Pójdiesz z nami — zdecydował stanowczo. — Możesz się nam przydać.

— Do ludzi należeć! Hale⁵³, nie głupim. Naprawdę idziecie? — nie mógł jeszcze uwierzyć.

Rex trwał w zadumie o tym niedalekim jutrze. Drżał w sobie z radosnych obaw i z cichego szczęścia. Nie mógł sobie tylko wyobrazić, jak to będzie? Wybiegał myślami naprzód i błakał się strwożony wśród jakichś pustek nieprzebytych i widm niepojętych. Nosił się już szlakami tęsknoty rozpierającej mu serce.

— Wyruszymy! Pójdziemy na wschód, do słońca, na wolność! — wybuchał i spiąwszy się, długo wietrzył na wszystkie strony. — Wilki są gdzieś niedaleko.

⁵⁰jać (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

⁵¹rozwiazdzona — dziś raczej: rozgwieżdzona. [przypis edytorski]

⁵²małym zważał — dziś popr.: mało zważałem. [przypis edytorski]

⁵³hale — ale. [przypis edytorski]

— Myślałem, że się popalili.

— Kulas mądrała, wyprowadził co ich zostało rzeką. Dużo zginęło, a reszta choć z popalonymi kudłami przeszła ogień. Ludzie wyginęli do cna.

— Nieprawda! Sam widziałem paru ocalonych, byli we dworze, rozpowiadali wszystko, aż plakano nad nimi. Zganiają całą winę na wilków. Mówili, jako zbiorą wojsko i pójdą taką obławą, że wilków nie zostawią nawet na nasienie. I we dworze zawzięli się na nich, bo paru dworskich z włodarzem nie wróciło z obławy.

— Nie bój się o nasze skóry — zaskomlał Kulas, rozciągając się przy nich. — My prędzej ich wydusimy co do nogi. Niech z nami nie zadzierają.

— Zaszczekaj im o tym! — zabelkotał wyzywająco Niemowa.

— Zbrzydło nam ich ścierwo śmierdzące — szczechnął, wzgardliwie trącając go nosem.

— Szczenie ludzkie tutaj? — wyszczerzył na nie kły.

— Na naszych prawach. Nie spadnie mu włos z głowy — ostrzegął Rex.

— Niech mnie tylko zaczepi! — pogroził Niemowa, błyskając długim nożem.

Kulas wytrącił mu broń z ręki, a przycisnąwszy ją łapą, zawarczał szyderczo.

— Kąsaj mnie teraz, szczeniaku!

Niemowa, błyskawicznie chwyciwszy go za ożór aż przy nasadzie, zabelkotał:

— Gryź mnie, osmalona skóro! A chcesz, to ci jeszcze skrzeszę ognia!

Rex wnet załagodził nieporozumienie, że leżeli obok siebie, jakby nic nie zaszło.

— Nie mamy już ojczyzny — jęczał wilk, z trudem obracając ozorem. — Nieszczęśliwi wygnańcy! Przyjmijmy wasze prawo i będziemy wam służyli wiernie. Pójdziemy, gdzie rozkażesz.

— W drodze mogliby stróżować przy rogatych — zauważył chłopak mimo woli.

— I policzone wilk bierze! — warknął Rex.

— Przecież i wy nie żywicie się trawą — postawił Kulas jasno sprawę.

— Mięsa starczy dla wszystkich! Mało to padnie w drodze! — rozstrzygnął bystro Niemowa.

Wilk polizawszy z ukontentowania Niemowę, zaszył się w gąszczach, by się przespać.

Noc szła niepowstrzymanie, gwiazdy już zaczynały blednąć, niebo mroczyło.

— A gdyby cię tak dziedziczka powróciła do dawnej łaski?

Pytanie było tak oszalamiające i padło tak niespodzianie, że Rex zadygotał i dopiero po długiej chwili odwarknął zduszonym głosem:

— Za późno! Czy wspominali o mnie? Nie, skończyłem z ludźmi na zawsze. Niepodobna wskrzesić umarłe. Nawet pamięć dawnego życia przekląłem. Już bym nie potrafił żyć w niewoli, zabiegać o ludzkie łaski, i spokojnie znosić krzywdy, głody i poniewierkę. Wszystek naród pól i chat czeka na mnie — wszystka krzywda żąda, abym się pomścił, wszystka niedola, bym ją przemienił na szczęście. Wodzem im jestem. Zawierzyli mi siebie i przyszłość swoich pokoleń. I wyprowadzę ich z domu niewoli, wyprowadzę. Za późno — jęknął, i przypadłszy łbem do ziemi, zaniósł się jakimś rozelkanym skowytem.

— Człowiek jest zły, podstępny i przeniewierny! Nie może żyć, żeby nie kłamać, nie zabijać i nie panować nad drugimi. Niechaj spróbują żyć sami, bo my się bez nich obejdziemy. Drogę mamy daleką, lecz na końcu czeka nas wolność!

— Jeśli po drodze nie pozdychacie z głodu — zabelkotał z pogardą.

— A mało to pól i stogów, i dzikiej zwierzyny! Stół zastawiony obficie.

— Prawda — poskrobał się po kudłach. — Ale jak ścisną mrozy, spadną śniegi, deszcze?...

— Tam zawsze zielono i zawsze grzeje słońce. Żurawie znają te krainy szczęśliwości. Opowiedziały mi wszystko i obiecały wskazywać drogę. Mają nas dogonić.

— Kiedy tam takie raje, to po cóż do nas przylatują?

— I wiatry lecą nie wiadomo dokąd. Mówili o mnie we dworze?

— Jak się rozniosło, że rozdarłeś niedźwiedzia, to sama dziedziczka zwymyślała gospodynię, że cię morzyła głodem i przymusiła do ucieczki. Bardzo cię żałowała.

Załkał cichutko i oddał się jakimś dumaniom.

Niemowa, wsunawszy się do sklepionej izby, krzesał ogień, i rozpaliwszy wielkie ognisko, napiekł kartofli przyniesionych ze sobą. Podzielił się z psami, za co mu któryś przyniósł tłustą gęś odebraną lisom. Ucieszył się bardzo.

Wygnanie

— Będzie wyzerka! — mrucał, i wypatroszywszy ją, oblepił gliną i przysypawszy grubo żarem, piekł dotąd aż glina się wypaliła, wtedy wyjął z niej wspaniale zrumienioną pachnącą gęś. Wszystkie pióra pozostały w glinie.

— Kto by choć raz w niedzielę dostał taką sztukę, nie gonilby po świecie za szczęściem! — wyznał się Kruczek, łakomie ogryzając swoją część.

— Tak, Kruczkom toby wystarczyło — warknął Rex, i odwróciwszy nos od drażniących zapachów, znowu zagłębił się w dumania.

Niemowa zasnął przy nim. Jenó Rekso słowa o dworze wzburzyły boleśniej, niżli sam przed sobą się przyznawał. Połknął je, niby kolczatą przynętę, że wyrwać jej nie mógł, choć szarpała mu wnętrzności. Ta przeszłość niedawna i tak już daleka, że zaledwie mógł wskrzesić w sobie jej kontury, wyrwała mu z piersi ciche skowyty tęsknoty. I nie chciał zapomnieć krzywd wycierpianych, przeciwnie, przypominał je, niżąc usilnie w długie, krwawe litanie skarg i żalów⁵⁴, a równocześnie wzbierała w nim jakaś bojaźliwa cześć dla człowieka. W tych chwilach wspominań wyrastali przed nim do nieograniczonej potęgi. Im więcej się od nich oddalał, tym stawali się zgoła już nie do pojęcia, jak słońce, jak góry, jak zimno i jak niebo.

— Czymże my przy nich? Czym? Stadem popędzanym niezaspokojonym nigdy głodem, niezliczoną kolonią mrówek, snującą się pod ich miażdżącymi stopami.

Zadygotał przed przepaścią nagle rozwartą i zionącą mroźnym tchem śmierci.

— Nikt jej z nas nie przekroczy! Nikt! Smutek śmiertelnie pokrzywdzonego, smutek żaby podnoszącej oczy na przelatującego orła ścisnął mu serce lodem rozpaczy.

I długo szukał przyczyn tej okrutnej nierówności. Protestował przeciwko niej, jakby głosem wszelkiego pokrzywdzonego stworzenia, głosem wszystkiego świata. Aż w końcu zdało mu się, że znalazł jedyny sposób zasypania tych przepaści.

— Już wiem, wiem! — wbijał w siebie odkrytą prawdę. — Nie trapi ich codzienna troska o istnienie, bo na nich pracuje tysiące tysięcy naszych pokoleń, pracują wody, powietrze, słońce, ziemia i cały świat. To jest kamień węgielny ich potęgi. Odebrać im niewolników, a skończy się ich wielkość. Zostaną bardziej nędzni i bezbronni niżli my. Wtedy zapanuje doskonała równość! — warczał triumfalnie.

— Dopóki człowiekowi nie odbierzesz rozumu, nic mu nie odbierzesz, bo zawsze sobie poradzi! — zabelkotał wyniosłe Niemowa i znowu zasnął.

Rozwiały się naraz tęcze i gmachy wydzwigane takim trudem runęły w proch, że Rex poczuł się znowu nędznym, wiecznie krzywdzonym stworzeniem, na próżno szarpiącym się w łańcuchach ludzkiej przemocy.

— Uciekać jak najprędzej i jak najdalej! — zaskomlał przez szczękające z bólu kły, i zatopiwszy ślepią w otchłaniach nieba i w drganiach nieprzeliczonych gwiazd, tak zapomniawszy o wszystkim, że nie poczuł nawet wilka, który się obok niego rozwalil.

Czekali w milczeniu nadchodzącego dnia.

I o pierwszym świtaniu, kiedy na wschodniej stronie zaczęły się mącić ciemności, i przecierać, i nieco blednąć, Kulas pociągnawszy powietrza, szczerknął cicho:

— Ruszyli! Jeszcze daleko.

Wrony pojedynczo, a później całymi stadami, zaczęły spływać z drzew i lecieć wysokim, cichym lotem ku świtającym zorzom.

Noc niepostrzeżenie mętniała. Pola jakby się zapadały, natomiast coraz wyraźniej występowały drzewa, pokazując na blednym niebie korony podobne zwitym kołtunom dymów. Na wschodzie przecierały się spod ciemności zielonawe zatoki, jakby stężałych wód, zasypywanych popiołem, który się z wolna rozżarzał zimnymi brzaskami. Słońce dawało już znać o sobie.

— Owce ciągną! Czuję konie, dużo, dużo — zaskowyczał wilk, bijąc ogonem.

— Jakby wozy jechały po grudzie — przytwardził przebudzony Niemowa.

Jakoż zaraz dały się słyszeć zgłuszone oddaleniem i przesyccone rosami tętenty, a nieco poniżej, kiedy już zorze rozpały całą wschodnią stronę nieba, na tle brzasków zamajaczyły nisko jakby kłębiące się chmury, pogrzmiewające dalekimi, przeciągłymi rykami.

Rex, sprężywszy się do skoku, z dygotem zniecierpliwienia wżerał się rozpalonymi ślepiami w przymglone dale, aż dojrzaawszy bezkształtnie toczące się masy, przypadł do ziemi

⁵⁴żalów — dziś popr.: żali. [przypis edytorski]

tak wyczerpany i obezsilony niewysłowionym szczęściem, że, położywszy zgorączkowany łeb na łapach, ledwie już dyszał ze wzruszenia.

Kulas kręcił się bezprzytomnie, wysyłał swoich na zwiady i raz po raz wyl z radości.

— Nie śpiewaj, kobyli słowiku, bo jeszcze ich spłoszysz — zgromił go Niemowa i rozpalwszy pod osłoną ruin ognisko, piekł w nim kartofle i jakoweś⁵⁵ ptaszki, jakich dostarczył mu Kruczek, nieodstępny przyjaciel. Gwizdał przy tym, naśladując wszystkie ptaki.

W rozkrwawiających się łunach świtania coraz wyraźniej majaczyły się czarne kłębowiska, toczące się ze wszystkich stron. Zdawało się jakoby wody ogromne wystąpiły gdzieś z brzegów i z dzikim bełkotem zalewały ziemię. I jakoby swarliwe zgiełki fal rwących przez zapory, rozbrzmiewały coraz bliżej i groźniej. Wzmagaly się porykiwania i huczący chaos rzeń, beków, tętent ów potężniał z minuty na minutę. Już dojrzał tysiące rogatych łbów, jakby płynących w odmętach. Powietrze zaczynało drgać i gorące tchnienia przewiewały niby palące wichry. Zdała się nadciągać straszna burza, grzmiąca nieustannie i raz po raz bijąca piorunami. Zadygotała ziemia, zatrzęsły się drzewa i wszystkie ptaki wybuchnęły wrzaskiem przerażenia, kiedy niezliczone stada runęły na pastwiska pod lasem i rozgrzmiały jednym, przeogromnym głosem.

Wraz też wyniosło się z otchłani czerwone, promienne słońce i zaświeciło nad światem.

W przyziemnych mgłach, zalanych słoneczną pożogą, bełkotliwiej zatargały się niezliczone stada, ciągnące za stadami, wśród niemilkących rzeń, ryków i naszczekiwania psów, usiłujących utrzymać jaki taki porządek. Co chwila wybuchały zgiełkliwe grzmoty głosów, i co chwila skłębione gromady niby bryzgi szalejącego morza, rozpryskiwały się na pastwiskach pod lasem. A zanim słońce wypilo przytające w nizinach zmierzchy, już nadciągnęło tysiące tysięcy. Jak okiem sięgnąć, nie dojrzał traw, zbóż i krzaków, a jeno chwiania się rogów, łbów, grzyw i ogonów.

A za szlakiem stad, wysoko, leciały z wszystkich krańców świata, nieprzebrane ciągi wszelkiego ptactwa. Podobne były ciężkim, ołowianym chmurom, chwilami zasłaniającym słońce, to dawały obraz czarnych, burzliwych rzek, płynących wskroś bladych jeszcze pól nieba; albo jak smugi rozwianych dymów bez początku i końca, które, zataczając kręgi, opuszczały się coraz niżej z dzikim, przesywającym krzykiem. Jakoby posępne, gradowe obłoki z szumem głuchym opadały na ziemię i bory, aż drzewa zaczynały się miotać pod straszną nawałnicą. Rozsrożyły się najdziksze nawet ostępy i wszystek lud puszczy oszołomiony spadającym huraganem, przyczął się w śmiertelnym jęku. Zdawało się bowiem, że poruszona ziemia zawala się z łoskotem.

Tylko Rex siedział nieruchomy na złomie murów i patrzył bez zmrużenia powiek w chaosy kłębiące się dokoła. W ogniach był cały, w drżeniach uniesień, a spokojny niby skała wśród wirów i odmętów. Mioty zgorączkowanych spojrzeń były w niego, jakby ulewa przenikających na wskroś błyskawic. Tumany wrzących oddechów i emanacje wszystkich uczuć i pragnień zwierzały się w jego sercu. Brał je, czując wzbierającą w sobie moc, dumę i pewność. A ryki, tętenty, bicia skrzydeł i rozpaczliwe szamotania się borów przewalały się nad nim glorią potęgi.

Oto wszyscy się stawili, oto nawet konający przywlekli się ostatkami sił; oto co było płaczem, cierpieniem i krzywdą, zebrało się przed nim, patrzy mu w oczy z miłością, czeka jego rozkazów i bezgranicznie mu wierzy.

Opadły potargane kajdany, zwyciężony prawieczny wróg, niewolnicy przemogli swoich tyranów i oto teraz, we wszystkich sercach i we wszystkich duszach drży tylko ten jeden święty okrzyk: wolność! wolność! wolność!

Rex to czuł, pogrążając się z wolna w głębokie rozważania dziwnych kolei losu.

Co teraz pocznie człowiek? Gdzież jest jego moc i wielkość? Czymże on przy tym ogromie? Pyłem, który rozniosą na kopytach i zapomną. Zapomną, że istniał gdzieś i kiedyś. Jak zapomina się o głodzie po nasyceniu, o śniegach w upale. Zostanie sam, goły i bezbronny, niby szczenię oderwane od piersi i wyrzucone do rowu. I nie znajdzie nawet psa, który by go polizał z litości. Pójdą na żer wronom i krukom. Na głód i beźmierną, nieskończony pracę — marzył mściwie. — Niech sobie teraz panuje! Nie

⁵⁵jakoweś — jakieś. [przypis edytorski]

zejdziemy się już nigdy! — dumał i nagle omroczyła go jakaś troska, coś jakby poczucie odpowiedzialności zaczynało się roić w przebudzonym sumieniu. Nawet — jakby lęk — chwilą się nikłym jeszcze cieniem nad jego duszą rozpromienioną szczęściem. Powlókł oczami po tych niezmiernych masach, porzucających na jego wolę odwieczne barłogi, ciężkie wprawdzie, ale zapewnione bytowanie! Czy ten tłum nieprzeliczonych wyzwolenców da sobie radę na wolności? Huragan rwie dęby z korzeniami i rozmiata po świecie, ale czy potrafi je zasadzić, żeby dalej rosły i zieleniały? — snuło mu się po mózgu. W takim momencie przysunął się bliżej Kulas i korząc się, cicho zaskomlał:

— Panie, mnie, którym się rzucał na ludzi, trzęsą się kulasy!

Rex spojrzał zdumiony w jego ślepie rozmiętane obłądnym strachem.

— Za wiele tego żywego mięsa! Niechaj ich poniesie byle trwoga, a roztrącają nas niby glisty — lkał przerażony. — Już mi od ich wrzasków pękają żebra. A od tych smrodów zupełnie straciłem węch. Śmierdzenie, zagnoją cały świat. Takiemu bydłu nawet wstyd panować. Niezwyciężony, weź władzę nad moim rodem, przysięgniemy ci wierność i posłuszeństwo. Moje córki nahodują ci szczeniaków. Porzuć to bydło i pójdziemy szukać nowej ojczyzny. Cóż cię z nimi łączy? Ciebie, któryś zamordował niedźwiedzia. Ciebie, któryś nabrał mądrości człowieczej! Czyż swój wielki ród wywodziś od ryjów i kopyt? Czy będziesz wraz z nimi pożerał trawę i lkał deszczówkę po kałużach? Ty, pierwsze kły puszczy, pragniesz żyć w stadzie zbuntowanych niewolników, ze ścierwem dla wszystkich? Zaprawdę, zapłaczą twoi przodkowie, którzy w pojedynkę chodzili na jelenie i dziki nad hańbą swojego potomka. Jeszcze pora się cofnąć. Znam wszystkie przesmyki, przemknijmy się bokami, zostawimy stada ich losom, a sami — w cały świat, gdzie nogi poniosą, gdzie zdobycz zapachnie, gdzie nas wola poprowadzi. Znajdziemy nowe, jeszcze większe bory, gdzie żeru będzie po kły, a o człowieku jeszcze nie słyszano. Czegóż ci, panie, więcej trzeba?

— Szczęścia wszystkich. Nie pojmiesz tego, nienasyty chleptaczu krwi — warknął wyniośle.

— Pojmuję, że jesteśmy zgubieni — jęknął rozpaczliwie. — Ciężko nam, panie, ale musimy pójść swoją drogą, drogą naszych praojców! Nie możemy służyć szaleństwu...

— Idź! — warknął gniewnie. — Opuść mnie i pamiętaj, że puszcza cię nie obroni przed moją zemstą. Przystałeś do mnie dobrowolnie, a teraz uciekasz ze strachu! Przeniewierco, choćbyś się skrył w lisich jamach, moi cię wytropią, a wrony wywloką za kudły! Wybieraj! Będziesz mi potrzebny! — zagrmiał rozkazująco.

— Łaski! Będziemy ci posłuszni — zawył, liżąc go pokornie po łapach.

— Będziesz stróżował na tyłach i popędzał wyciem opieszale.

— Twoja wola, panie. — Ale nasze, co padnie po drodze? — obliznął się długim jęzorem.

— Dla ciebie życie jest tylko nażarciem się, troską o pełny kaldun.

— A czymże jest dla ciebie? Czym dla tych bydła? Czym nawet dla człowieka?

Rex, nie znalazłszy odpowiedzi, machinalnie zeskoczył w ruiny, do Niemowy, na pieczone kartofle i resztki pozostałych kości. Chłopak, nakarmiwszy go, zabierał się do odejścia.

— Gdzie się to wybierasz?

— Do domu. Ty wędrujesz ze swoimi we świat, to i ja powrócę do swoich — mruknął wyzywająco.

— Przydasz mi się bardzo. Zostań, umiesz robić ogień i masz nóż. Zostań — prosił serdecznie.

— Ja człowiek i nic mi do was. Zachciało się wam we świat, to zadzierajcie ogony i lećcie. Tobie się chce włodarzowania bydłu, to włodarzuj. Powiadam jeno, że niedługo będzie twojego panowania. Prędko się ludziom sprzykrzy ta wasza swawola. Obacz jak to stratali pola. Ino patrzeć jak się zlecą z batami. Dużo tu juchy popłynię i gnaty trzaskać będą. Głupi, kto myśli, że ludzie mogą zostać bez inwentarza. Mądrzejszy byłeś we dworze. Zbuntowały się bydłaki i myślą, że cały świat przewrócą do góry nogami. Zeżreć to każdy potrafi — spojrzał znowu na wypasione zboża — jeno nie każdy potrafi zasiać!

Podniósł się zagniewany i ruszył do wyjścia z ruin.

— Stój, bo każę cię wilkom rozerwać i twoje ścierwo zanieść do dworu!

Pogarda, Głupota, Głupiec

Niemowa struchlał, dojrawszy w jego ślepiach straszny gniew.

— Puść mnie. A bom ci to był kiedy przeciwny? — rozplakał się z przerażenia.

— Rzekłem. Kiedyś, jak dojdziemy na miejsce, to cię wypuszczę — obiecywał łaskawie.

— Zdechnę przy was z głodu. Trawy z bydłem nie będę żarł! — bełkotał wzgardliwie.

— Nie zbraknie ci niczego. Psy będą miały o tobie staranie, jeszcze się wypasiesz.

— Juści, będę jadł surowe mięso i popijał świeżą juchę⁵⁶! Przecież nie zajdę tak daleko.

— Pojedziesz na dworskim ogierze! A teraz precz mi z oczu! — posłyszał surowy nakaz i nie śmiejąc się odezwać, wyszukał sobie pod murami ocienione miejsce i próbował zasnąć. Groza położenia nie dawała mu nawet zmrużyć oczu. Popłakując rzewnie a szorując nos rękawem, jał zbierać myśli a snuć przebiegłe sposoby wydostania się na wolność. Głównie na rozumieniu mowy wszystkich stworzeń zakładając pewność udania się ucieczki, wyjrzał na pola, żeby przepatrzyć najpewniejszą drogę i skamieniał na widok stad pokrywających ziemię i wciąż jeszcze przybywających.

Słońce dochodziło południa, wiatru nie było, cienie się pokurczyły i blade, rozpalone niebo tchnęło takim piekącym żarem, że stada wyjadłszy resztki stratowanych zbóż i traw, pokładły się na odpoczynek.

— Kiedy wyruszamy? — zwrócił się nagle do Rekxa, siedzącego na dawnym miejscu.

— Jak upał przejdzie, przed wieczorem, kiedy zabiją dzwony po kościołach.

Niemowa cofnął się na kraj boru pod olbrzymie dęby z obwisłymi nisko konarami.

— Przeczekam na drzewie — pomyślał chytrze. — Nie znajdą mnie! Mogą mnie tam na pożegnanie pocałować gdzieś! Niech mnie ściągną wilki albo psy! — podrwiwał, wybierając oczami najwyższe drzewo i naraz przysiadł ze strachu. Na gałęziach bowiem drzemały olbrzymie orły, jastrzębie, kobuzy⁵⁷ i chmary przeróżnego ptactwa. I gdzie powiódł oczami wszędzie było toż samo. A na ziemi i w cieniach drzew leżały porozciągane wilki, psy i lisy. Spało wszystko snem czatującym, w jakim się czuje i wie, co się dokoła dzieje — w gotowości do napadu i do ucieczki.

Chłopak, uspokoiwszy się, zaczął przedrzeźniać głosy różnych ptaków. Odezwały się gdzieś z niedalekich błot dzikie gąsiory, odkrakały mu ostrożnie wrony, nawet złudzony jastrzęb zakwilił porozumiewawczo, ale puchacz, poznawszy się na podstępnie i zły, że mu przerwano drzemkę, zahuczał groźnie z jakiejś dziupli.

— Kulas, uprzątnij to ludzkie ścierwo! Może zwieść całą puszcę.

Wilk podsunął się niedostłyszalnie, lecz chłopak, poczuwszy na karku jego gorący oddech, odwrócił się gwałtownie i skrzesał mu ognia przed ślepiami.

— Bliżej, kumie kuternogo! Bliżej! Umaluję ci pysk ogniem to się bardziej spodobaś swojej suce! — szydził i zapaliwszy suchych liści, rzucił nimi na wilka.

— Diabelski pomiot! — zakrzuszył się Kulas, odskakując przed ogniem i dymem.

— I was wykurzę stamtąd jak pszczoły! — pogroził ptakom, nakładając na ogień mokrej świerczyny, że duszący, ostry dym ogarniał dęby i czarną grzywą podnosił się do góry.

Wystraszone ptaki pouciekały na dalsze drzewa, zaś puchacz, szamocąc się w dziupli, zahuczał żałośnie:

— Przekłęte ludzkie szczenię! Duszę się!

— A będziesz mnie szczuł wilkami, ty ślepy dziadygo! — urągał złośliwie i osłonięty dymem, wdrapał się na wierzchołek, usadawiając się pomiędzy gałęziami jak najwygodniej.

— Na ogierze bym sobie paradował jak dziedzic — uśmiechał się słodko i zadrzemał.

V

Czas przesypywał się ognistym pyłem słońca! Wszystka ziemia stanęła w południowej połodze. Upał zapierał oddechy i skóry oblewał potem. Palące tchnienia wypijały ostatnie krople wilgoci! Spieczona ziemia dyszała pragnieniem! Ani jeden listek się nie poruszał. Ani jeden głos nie rozbrzmiewał. Niebo wisiało zasnuwane przepalonym, złotawym bielmem. Błękitnawe, ledwie dojrzone płomienie wrzały nad polami. Powietrze było już tylko suchym, pożerającym ogniem. Zapiekłe milczenie przygniatało niewydzwignionym

⁵⁶jucha (gw.) — krew zwierzęcia. [przypis edytorski]

⁵⁷kobuz — ptak drapieżny z rodziny sokołów. [przypis edytorski]

ciężarem. Wszystko zdawało się roztopiać, rozplywać i drżać falować w nieskończonościach. Ogniste migoty wyżerały wszystkie barwy. Wszelaka moc rozpryskiwała się, jakby pod ciosami młotów. I dusze omdlewały w bezwładzie. Więdnęły serca, niby liście drgające ostatkami sił. Tylko słońce u zenitu swojej potęgi, spowite wichrem własnych żarów, pędziło nieubłagane drogą swoich przeznaczeń.

Rex, jakby stężały w płomienistych lawach, siedział wysoko, na szczycie wałęsającej się baszty, dumnie wynoszącej się nad borami. Orły tam spoczywały w swoich podniebnych lotach i gnieździły się sowy.

Pół świata mieniło się przed jego ślepiami. Nieprzejrany obszar ziem, jakby zahaftowanych całym przepychem płodnego lata, podnosił się stopniowo na wschód aż po ubielone krawędzie gór śnieżnych: dziergały go liczne rzeki błyszczące szklivami litego srebra; nieskończone węzownice drzew nad szarymi drogami, zielone rozlewy lasów, długie jeziora w kształt liści palmowych wygięte i po brzegach szlakami żółtych piasków przystrojone, złotawe pola zbóż, nasadzone stertami; białe wsie przebłyskujące szybami spośród sadów; cmentarze modlące się wyciągniętymi do nieba ramionami krzyżów; dwory porozpierane po wielkich parkach; kościoły strzelające wysmukłymi wieżami z wieńców i zieleni, porozrzucone bezładnie, łyse kamieniste wzgórza; miasteczka podobne do rozwalonych kretowisk; a czasem, niby strażujące żurawie, fabryki z powyciąganymi w górę czerwonymi kominami. Pod niebem wysokim i spłowiałym, w rozedrganym powietrzu południowych godzin, cały ten widny świat potrząśnięty złotawym brzaskiem jawił się oczom jakby martwy; bez ruchu, bez dźwięku i prawie bez barw, niby wypełzły i zakurzony gobelin.

Słońce już zawisło pomiędzy południem a zachodem, kiedy zabiły nieszporne dzwony. I z wolna rozległy się spiże uroczystym, niebosiężnym hymnem, jakby wyrwane z serc i tęsknot wszelkiego stworzenia. Śpiewały wyniosłe, górnio i modlitwą uwielbienia sięgały coraz wyżej, ponad słońca i nieba, aż gdzieś pod stopy Przedwiecznego!

A równocześnie jakby do wtóru, z pól i lasów, z nizin, jakby z głębin ziemi, wybuchnął straszliwy w swojej potędze ryk wszystkich zwierząt, od którego zatargały się gwałtownie drzewa, opadły ulewy oberwanych liści, a ptactwo zrywało się chmurami.

I zaledwie przycichły te ryki, wilki zaczęły wyc przeciagle, łkająco i długo.

— Na wschód! Na wschód! Na wschód!

Ruszyły stada ku dalekim, siniejącym na wschodzie szczytom gór.

Parły się w milczeniu i prosto przed siebie na przelaj pól uprawnych i pustek; na wskroś wiosek i miast; wskroś borów, rzek, łąk i moczarów. Zdawało się jakoby jakiś niewidzialny wulkan wyrzucił ze siebie olbrzymią rzekę wrzącej lawy, toczącej się z ponurem, niemilknącym ani na chwilę grzmiotem — bo tam, gdzie przepłynęła, pozostawiała tylko kamienie, szkielety drzew i goły, stratowany step. I pozostawała śmierć.

Co pewien czas, nie wiadomo z jakiego powodu, z wędrujących stad wyrывała się jakby pieśń nieukozonej tęsknoty i mocy tak straszliwej, że od jej brzmień rozpadały się domy, waliły się zdruzgotane drzewa i padały przydrożne krzyże.

Ziemia się trzęsła od ciężkich stąpań na wiele mil wokoło.

Jakby wszystkie moce ziemi zwarły się w potęgę, jakiej świat jeszcze nie widział.

Rex na olbrzymim ogierze czarnym jak noc jechał na przedzie, za nim siedział Niemo-wa, bębniąc radośnie gołymi piętami po bokach konia. Nieprzejrzanym tabunem ciągnęły za nimi kłacz, żrebięta i wałachy, otoczone ogierami; ciągnęły krowy pod wodzą byków; ciągnęły posępne woły, a pod ich opieką niezliczone kierdele owiec z baranami na bokach. Na samym końcu tłoczyły się świny ze starymi maciorami na czele.

Psy były wszędzie tam, gdzie potrzeba było porządku i posłuszeństwa.

Wilki ciągnęły na ostatku, poganiając opieszale wyciem i łkami.

A gdzieś za wszystkimi wlokły się stada przeróżnych maruderów, pomiędzy którymi przewijały się rude kohorty lisów, kun i łasic.

Szły niestrudzenie aż do ciemnej nocy i padły na odpoczynek, gdzie kto stał, ze znużenia i wrażeń nawet nie czując głodu, ni pragnienia.

O świtanu wyjadły wszystko, co było na polach, w stertach, a nawet i w sąsiedkach, wypili rzeki, aż do błota i ruszyli dalej. Posuwały się już znacznie powolniej, lecz z jed-

nakim⁵⁸ uporem szaleństwa, z oczami utkwionymi w dalekie szczyty gór, parły się niepokonanie coraz dalej, na wschód, na wolność.

I tak przechodziły dnie za dniami, w trudzie i w nieopisanych znojach upałów.

Na próżno biły na trwogę dzwony wszystkich kościołów; na próżno ludzie próbowali powstrzymać burzę pustoszącą świat, na próżno zabiegali drogę, przekopując pola, zalewając doliny, paląc lasy i sypiąc szańce nastroszone ostrokołami; falangi toczyły się z jednakim spokojem, nie dbając o śmierć ni rany ponoszone przy przewyciężaniu przeszkód. Wzmagala się tylko wściekłość na dawnych tyranów, budziła się pamięć krzywd i poczucie wolności, że z rykiem gniewu rzucały się naprzód, wypełniając doły własnymi trupami, zalewając ognie własną krwią i moszcząc doliny swoimi kośćmi.

I płynęły dalej, niczym niewstrzymaną, przeogromną falą.

Zrozpaczeni ludzie wystąpili zbrojnie, usiłując armatami i karabinami rozbić tę straszną nawałę i powstrzymać. Zawrzał nieprzeblagany bój. Armaty grzmiały cały dzień, ryjąc w stadach długie i głębokie bruzdy. Karabinowe salwy sypały się gęstym, śmiercionośnym gradem. Dymy zakryły ziemię i słońce. Jęki konających były pod niebo. Powstało zamieszanie: dymy, nieustające błyskawice wystrzałów, huczących jak gromy, jęki rozdzierające i ryki pogubionych w zgiełku tak przerażały, że zaczęto przystawać, cofać się, klębić i deptać jeden drugiego. Coraz gęstsze trupy zaścielały ziemię, coraz celniej strzelały armaty i kohorta jakichś olbrzymów rąbała strasznymi toporami.

Wtedy Rex na czarnym ogierze, przelatując jak wicher pobojowisko, zawył dziką pieśń śmierci lub zwycięstwa. Odpowiedział mu wstrząsający ryk zapалу i nienawiści, a po chwili zwarte na mur falangi, głuche, ślepe i rozszożone — uderzyły.

Resztki nieprzyjaciół pierzchnęły w nieładzie i popłochu, kryjąc się po drzewach, górach i zamykając w obronnych miastach. Całą ludzkość ogarnęła beznadziejna rozpacz.

Zwycięskie stada, przemęczone strachem i niepokojami bitwy, rozłożyły się na pobojuwiskach, obojętne i głuche na śmiertelne chrapania i ryki konających. Jeny tu i ówdzie jakieś luźne kupy byków, macior, wilków i psów rozdzierały napotkanych ludzi, pastwiąc się nad nimi z wściekłością. Całymi milami, jak okiem sięgnął wszcz i wzdłuż, widniały rogate łby, ryje, grzywy i machające ogony, a pomiędzy nimi ciągnęły się również nieprzejrzane zwaly i groble trupów, rannych i zdychających. Straszliwa jątka spływająca w rzeki, stawy i jeziora krwi już krzepnącej na powietrzu. Poszarpane, okrwawione łachmany szczątków wały się wdeptane w ubroczone juchą błoto. Poprzewracane i jeszcze gorące armaty leżały niby martwe rekiny, otoczone podartymi zwłokami ludzi. Zasię z tych zwalów i z dolów, z gąszczów, z rowów, z traw, i z ruin domostw zrywały się niekiedy obłąkane kadłuby zwierząt i ludzi, i wyły okropnymi głosami męki — głosami śmierci.

W Niemowie zatargało się serce, ale wstydząc się tego, zamamrotał.

— Za wiele ścierwa, słońce przygrzeje, to się cały świat zaśmierdzi.

— Zaraz tu będą rakarze. I Rex wskazał uchem na niebo.

— Gradowe chmury czy co? Dopiero tu zacznij prać, Jezu! — obleciał go strach.

— Posłuchaj, jak gadają te chmury! — nastawił oba uszy i przechylił głowę.

Jakoż spod słońca, wysoko, od tej czarnej chmury, lecącej z szaloną szybkością, jał spływać bełkotliwy, poświstujący szum, jakby wichury wzmagającej się z chwili na chwilę i coraz wyraźniej stawał się przerażającym wrzaskiem ptactwa. Chmura drapieżników zakotłowała się nad stadami, zakrywając słońce rozmiotanymi skrzydłami a wirując niby liście porwane huraganem, zaczynała pękać i prześwitywać szczelinami, z których połyły się rozdygotane strumienie orłów, sępów, kruków, wron i jastrzębi. Po chwili całe pobojuwisko nakryło się skołtunionym, pierzastym dachem i zawrzało rozjuszonymi piskami. Nieustannie łomotały niezliczone skrzydła i niezliczone szpony i drapieżne dzioby zaczęły kuć zawzięcie, szarpać, drzeć i pożerać.

Strach obleciał stada i ponad szumy skrzydeł i złowrogie kapele krakań, jęły się wyrwać wylękle ryki, zwłaszcza owce zabeczały nieutuloną skargą, zbijając się w trwodze w nierozpłątane kupy. Groziła powszechna panika, mogąca wybuchnąć lada chwila, gdyż te nienasycone dzioby rzucały się na oślepi, nie rozróżniając w tłumie żywych od zabitych, że już niejeden grzbiet spływał krwią i niejeden ryj bronił się przed szponami.

Bunt

Walka, Wojna

⁵⁸jednaki (daw.) — taki sam. [przypis edytorski]

Wilki z niemalym wysiłkiem przepłoszyły na jakiś czas napastników, z czego korzystając Rex odprowadził wzburzone stado o parę mil dalej, w okolicy jeszcze niestratowane, pełne żywności, bogatych wiosek, zielonych łąk i srebrzystych strumieni, na podnóża gór jeszcze dalekich, ale już coraz potężniej wynoszących się śnieżnymi szczytami na błękitach nieba.

— Poczekamy tutaj na żurawie, obiecały poprowadzić przez góry i dalej, na wschód.

— Lada dzień się zjawią, pora odlotu nadchodzi — mruczał Niemowa i zająwszy jakiś opuszczony dom, warzył przy ogromnym ogniu jadło dla siebie, Rekxa i Kruczka, nieodstępnego przyjaciela, który rozwałił się na łóżku pod ogromną pierzyną.

— No i któż górą? — warknął Rex, wyciągając się po staremu przy ognisku. — I ludziom można dać radę! — przechwalał się, nagrzewając sobie boki.

— Każde bydlę mocniejsze od człowieka, ale was naszatkowali, że strach!

— Nie rachujemy poległych za wolność! — odwarknął dumnie.

— Nasze przeznaczenie ginąć lub zwyciężać! — zaskowyczał Kulas, zjawiający się w progu.

— Upasłeś się na tych bojach niczym wieprz — kopnął go Niemowa w tłusty kałdun.

— Każda władza żywi się rządzonymi — zawył, obлизując ubrozoną mordę.

— Wszyscy mają prawo do szczęścia — szczechnął Kruczek, wysuwając nos spod pierzyny. — Wszyscy są sobie równi! — i wyzywająco potoczył ślepiami.

— To ja jestem równy baranom? — zawrzał Kulas. — Niechże który tu przyjdzie i spróbuje mnie zeżreć, to ci uwierzę. Uczone osły naklepały bajek o równości, drugie osły uwierzyły, jak i o szczęściu. Dla ciebie był szczęściem gnat, wyrzucony z dworskiej kuchni, dla konia pęk koniczyny, albo pełny żłób owsa, mnie zaś nie wystarczało i stado żrebiąt, gdzież tu jest równość, skowyrku jeden! Nauczyłeś się od swoich panów szczebrać byle co. Nie rozumiesz, że i oni na swoim prawie żyją, że i dla nich chodzi o jedno — o życie.

— Urodzeni muszą umierać, reszta szumy wiatru — warknął wzgardliwie Rex, zabierając się do michy mięsa i ziemniaków, jaką przed nim postawił Niemowa.

— Za bardzo tu śmierdzi człowiekiem! — otrząsnął się Kulas, wynosząc się przed dom.

— Zadufany jeno w swoje kły i pazury — mruknął chłopak, pojadając z garnka.

Kruczek pokornie czekał na resztki, a kiedy wszyscy zjedli, zmorzył ich ciężki sen.

Noc zapadła, ale niedługo spali, gdyż zerwały się jakieś przerażone ryczenia i kwiki.

Rex skoczył na nogi, przed nimi całe niebo krwawiło się w lunach pożaru i spłoszone stada rozlatywały się na wszystkie strony. Pałił się ogromny bór, kłęby dymów wiły się nad nimi czarnymi kołtunami. Drzewa pałyły się jak pochodnie, powietrze drżało od trzasków.

Całe kierdele⁵⁹ owiec z głupim, przeraźliwym bekiem cisnęły się do pożaru. Kwiczały konie.

— Chcą nas usmażyć na skwarki — zaopiniował Niemowa, przecierając oczy. — Ścierwa ludzkie, jak się to bronią i napastują. Jeszcze nam nieraz gorącego sadła zaleją za skórę — zwrócił się do Rekxa, lecz ten skoczył na swojego ogiera i pognał uspokajając wystraszonych.

Las pałił się długo w noc i coraz gęstsze dymy przysłaniały ziemię duszącym obłokiem.

Ledwie nad ranem zeszli się w rozwalonej chałupie, gdy znowu podniósł się gwałt.

Kilkadziesiąt potężnych, burych owczarków pędziło między sobą jakąś gromadę dwunogich stworzeń, wyjących wniebogłosy obłąkanymi skowytami.

— Ludzie! Jezu miłosierny, to ludzie! — zaniósł się Niemowa, martwiąc się z przerażenia.

— W borach chroniły się od skwarów matki z jagniętami — zginęły; klacze ze żrebiętami — zginęły; krowy i maciory z małymi — zginęły. To oni zrobili ogień, który wszystkich pożarł, a do nas, broniących, bili swoimi piorunami. I wielu naszych padło. Pomsty na nich żądamy. Pomsty! — zawył ponuro owczarki.

— Czemuście jej sobie nie wzięli! — zaskowyczał zniecierpliwiony Rex.

— Nakazano nam jeno strzec i oganiać, a twoja sprawa sądzić, władco nasz i panie.

Ludzie prawie nadzy, osmaleni pożarem, ociekający krwią, na pół przytomni, patrzyli

Równość, Szczęście

Śmierć

Współczucie, Strach

⁵⁹kierdel (gw.) — stado. [przypis edytorski]

poprzed⁶⁰ siebie, nie oczekując już niczego prócz dalszych męczarni i śmierci.

— Uciekajcie na drzewa! — zabełkotał naraz Niemowa, poruszony ich widokiem.

Nie zrozumieli, obzierając się⁶¹ po tłumach zwierząt, cisnących się dookoła.

Kulas przyleciał spieniony, ślina mu ciekła z pyska, ślepie skrzyły się zielonymi ogniami.

— Rozpraw się z nimi po swojemu! — rozkazał Rex.

Kulas zawył bojowe hasło, owczarki cofnęły się na stronę i utworzył się pusty plac, w którego środku skupiła się ludzka gromadka. Zaszeptali coś do siebie, oczy im latały dokoła, coraz częściej czepiając się wielkich lip rosnących za domem, ale zanim się zdecydowali, zatętniła ziemia i stado zjuszonych wilków rzuciło się na nich.

Wybuchnął w niebo rozdzierający krzyk i po chwili zostały tylko zakrwawione szczątki.

— Kazałeś im uciekać na drzewa! — warknął groźnie Rex, kiedy zostali sami.

Chłopak wlepił w niego nieulekłe, błękitne oczy, wyciągając zarazem długi, ostry nóż.

— Jesteś z nami, a wrogom chcesz pomagać?

— Za co kazałeś ich wilkom rozerwać? — głos mu przesiąknął rozżaleniem.

— Słyszałeś za co! Mogli się obronić! Nie patrz we mnie! — sprężył się już do skoku.

— Takiś sam wściekły bydlak, jak i Kulas! — wybuchnął chłopak i uciekł do izby pod pierzynę, gdzie go Kruczek próbował uspokoić przyjacielskim lizaniem, ale, kopnięty, wyleciał na ziemię, a Niemowa, zagrzebawszy się w barłogu, wybuchnął spazmatycznym płaczem. Płakał nad ludźmi. Obudziła się w nim dusza i człowiecze nieszczęścia zatargały sercem. A chociaż znaczył pomiędzy nimi mniej, niżli jego przyjaciel Kruczek, poczuł w swoich katach rodzonych braci. Bowiem dotychczas nie przyznawał się do żadnej z nimi wspólności. Spłodził go jakiś pijany przypadek, nikczemność podrzuciła pod dworską kuchnię, a wyniańczyła nędza, poniewierka i wzgarda.

Każdy kopął i krzywdził to pokraczne, obmierzłe brzydkie stworzenie: z gęby był podobny do buldoga, nogi miał koślawe, rudą sierść na głowie wzdętej niby bania, ręce do ziemi jak małpa, żabi skrzek zamiast głosu, a tylko zastanawiającej piękności oczy błękitne, promienne i mądre. Zepchnięty na samo dno, pomiędzy podwórzowe zwierzęta, żył się i pobratał z nimi, jak z rodzonymi. Chętnie dawały mu przewodzić, uznając jego wyższość nad sobą. I dopiero w czasie tej wędrówki z nimi zaczynał się czuć obcym a nawet wrogiem. Nawet na Rekxa spoglądał innymi zgoła już oczami, bo z wysokości człowieczych rozważań. I zaświtała w nim myśl ucieczki.

— Zrozum, że ludzie nam przeszkadzają — Rex wsunął łeb do izby. — Więc musimy ich tępić.

— Będziesz jeszcze skamlał o kawałek chleba proszalnych dziadów, ty psi królu.

— Czemuś nie został w domu z osłem? Byłaby w sam raz dobrana para.

— Pewnie, że kto się zadaje z plewami, tego świnię zjedzą — odpowiadał płacząco.

— Wejdź na drzewo i zobacz, czy się nie palą lasy przed nami. Ptaki stamtąd uciekają i zalatuje swąd spalenizny — rozkazywał.

— A poślij wrony, niech zobaczą — upierał się, wylażąc jednak z barłogu.

— Prędej, ludzki pomocie, pókim dobry! — zawrzał zniecierpliwiony.

Chłopak niby wiewiórka wdrapał się na niezmierzonej wysokości drzewo, a że oczy miał jastrzębie, na wiele mil widzące, jął krzyzczeć co zobaczył.

— Pali się las, ogień posuwa się ku nam, nie przejdzie, przegradzają szerokie błota.

— Trzeba będzie obejść stronami. Co tam za lasem?

— Żółto, może piachy, a może zboża i dużo małych gór.

— Nie czekaj o tym ogniu nikomu; stada płoszą się byle czym, a mamy drogę jeszcze daleką.

— Kiedy wyruszamy? — zesunął się z drzewa na ziemię.

— Żurawie mają nas przeprowadzić przez góry, lada chwila mogą nadlecieć.

— Za parę dni wszystko będzie już wyżarte do korzeni. Z drzewa widać jeno strato-
wane pola i w rzekach a stawach samo błoto. Do gór trafimy i bez żurawi.

— Lecę zobaczyć pastwiska — i ruszył otoczony olbrzymimi owczarkami.

Współczucie

Krzywdza

⁶⁰poprzed — przed. [przypis edytorski]

⁶¹obzierać się (daw.) — oglądać się. [przypis edytorski]

A Niemowa, zagwizdawszy na Kruczka, poszedł wałęsać się po miasteczku, w jakim kwaterowali. Białe domy stojące w ogrodach, niektóre piętrowe, obrośnięte kwiatami, puste były, i bez okien i drzwi, a tu i ówdzie z wywalonymi ścianami, pełne porozbijanych sprzętów i straszliwie zapaskudzone przez wilki, psy, świny i splądrowane do szcztetu. Po sadach pozostały tylko połamane pnie, a po warzywnikach goła, stratowana ziemia. Stada wystraszonych gołębi błękały się po czerwonych dachach i wielkich przydrożnych drzewach.

Niemowa, uzbroiwszy się w znaną siekiere, zaczął rozbijać zamkniętą spiżarnię, szafy i piwnicę, i znalazł tyle przeróżnej żywności, że starczyło dla całej sfory przywołanej przez Kruczka. Zwłaszcza na chleby i słoninę rzucały się z chciwością.

— Zbrzydła wam już surowa chabanina⁶² i gorąca jucha! — przedrwiwał, przymierzając znalezione buty. Były to jego pierwsze buty, więc je upieścił, wycalował i z radosnym biciem serca wciągnął na nogi. Potem odszukał jakieś czerwone ubranie, również w sam raz na swój wzrost i figurę, że zewłókłszy z siebie parciane portczyny i koszulę, przyodziął się i zagwizdał.

— Podobnyś do pańskiego szczeniaka — szczekał Kruczek, obwąchując go ze wszystkich stron.

— A bom to co gorszego! — zaskrzeczał wyniośle, przeglądając się w zwierciadle. — Czyś to ty, Bękarciu? A może to twój panicz, Znajdo? A może który z dziedziców, Pokrako? — wypominał zapamiętanymi przezwiskami, krygując się przed lustrem i nie mogąc rozpoznać w tym wspaniale przybranym w czerwień i nowe buty, samego siebie. — A może to ty sam, Niemowo? — sprawdzał się w ruchach, wiernie powtarzanych przez zwierciadło.

— Ha! ha! ha! Małpa! Ha, ha, ha! — zaśmiał się ktoś, jakby z lustrzanych głębi. Kopnął zwierciadło aż się rozprysnęło w kawałki, śmiech jednak wciąż się zanosił. Na szafie siedział szpak, rzucił się ku niemu ze złością, ale ptak wyfrunął oknem na wysokie drzewo i dalej perlił się jego wyzywający, szydlivy śmiech.

— Co takie bydlę rozumie! — zagwizdał jego głosem, lecz ptak nie dał się zwabić.

Cisnął w niego kamieniem i poszedł penetrować dalsze domy. I aż pokrzykiwał z uciechy, znajdując w nich takie rzeczy jakie, był tylko przez okna widywał we dworze albo we snach.

Brał wszystko oczami niewypowiedzianego szczęścia, rozwalał się po kanapach, tarzał po łóżkach i dywanach, przeglądał w lustrach, przymierzał ubrania, stroił się w damskie suknie, wylegiwał w głębokich fotelach, tłukł pięściami po klawiaturach i deptał z rozkoszą po stosach poduszek, atlasów i bielizny. Nacieszywszy się do syta, wybrał dla siebie jakiś kordelas w pochwie i z pasem, rewolwer, uzdeczkę na swojego ogiera, ciepłą derę i skarb najcenniejszy, wspaniałą szpicrutę, taką właśnie, jaką był nieraz brał po grzbiecie od panicza. Obładowany zdobyczą, powracał już na swoją kwaterę, gdy zobaczył za wybitą szybą jakiegoś sklepu konia na biegunach. Wielki był jak cielę, siwek w czerwonej uprzęży, prawdziwą końską skórą obity. Oglądał go z zamarłym sercem, bez tchu, przemieniony w podziw i niezgłębioną radość, wreszcie skoczył na niego, cmokał, poklepywał po karku, bił piętami po bokach, prał szpicrutą i kolebał się zapamiętane. Jakby oszalał, tak krzyczał, płakał i śmiał się na przemiany. Pokładał się na końskim karku i przymykał oczy: zdało mu się, że pędzi na złamanie karku, aż koniowi zagrała wątroba i wiatr zaświstał w uszach. I leci bez pamięci w cały świat, a coraz prędzej, coraz ogniościej.

Zmęczony wreszcie tą jazdą, zeskoczył na ziemię, konia poklepał i naraz jakby przytomniejąc, cofnął się i pomyślał zawstydzony.

— Laboga, jaki człowiek głupi. Przecież mam prawdziwego ogiera! I mszcząc się za własną głupotę, konia rozbił i wyrzucił przez okno. Powrócił niezadowolony z siebie i powłókszy oczami po sklepie, zadrzał z jakiejś świętej trwogi, jakby się znalazł przed ołtarzem. W wielkiej szafie wyłożonej lustrzanymi szybami na półkach siedziały lalki postrojone i przeróżnej wielkości, niedźwiedzie białe i rude, konie, pajace i baranki, a poza tym pełno było szabel, fuzyjek, bębnow, trąbek i tysiące cudowności pierwszy raz przez niego widzianych. Żegnał się i przecierał oczy, nie wierząc własnemu szczęściu. Pożerał te

⁶²chabanina (pot.) — nędzne mięso. [przypis edytorski]

cuda rozpalonym wzrokiem, bez tchu i z lękiem, żeby się nie rozwiały jak mgły; patrzył i lzy mu pociekły ze wzruszenia i zdumień.

— Mój Jezu kochany, takie cudenka! — łkał zduszonym niewypowiedzianą radością głosem.

W rogu sklepu w osobnej szafce siedziała lalka wielkości pięcioletniego dziecka, brunetka z szafirowymi oczami, matowo biała, wargi miała krwawe, włosy gładko rozdzielone nad czołem, twarz pociągła, prawie surowa i przecudna. Przystrojona była w suknię żółto-czerwoną i w zielone pantofelki. Byłby przysiągł, że żywa i przystąpiwszy do niej, coś zabelkotał. Uśmiechnęła się! War go obleciał⁶³ i strach ścisnął za gardło, zrobiło mu się jakoś strasznie. Odsunął się nieco na stronę, patrzyła za nim, włosy mu stanęły na głowie, nie śmiał się poruszyć, nie śmiał oddychać, dusza mu padła w proch w modlitewnej pokorze. Padł na kolana i złożył rękę, modlił się do niej skowytami zachwytów i ubóstwień, bełkotem niewyrażonej słowami ekstazy.

Wpadł Kruczek i dalejże szczekać i doskakiwać do niej, chcąc ją pochwycić za suknię.

— Na kogo ty szczekasz, bydlaku? — rozsrożył się, chwytając go za kark. — Na kogo? — i tak go zbił szpicrutą, że pies z żalonym skowytami wyleciał jak oparzony.

— To ino⁶⁴ głupi pies! I nie ze złości szczekał, nie! — usprawiedliwiał przyjaciela i przysunawszy się bliżej, prawie mimo woli pociągnął ją za rękę.

— Mama! Mama! — zaszczebiotał dziecinny głosik i wyciągnęła do niego rękę.

Ani wiedział, kiedy i jak znalazł się na swojej kwaterze, gdzie właśnie Rex odbywał naradę z Kulasem i Owczarkami, wcisnąwszy się na barłóg, schował głowę pod pierzynę i z wolna przychodził do przytomności, otrząsając się ze śmiertelnego strachu, z jakim uciekał.

O zmierzchu opowiedział Reksowi całą przygodę.

— Musi być żywa, przemówiła, wyciągała rękę, patrzyła⁶⁵ — zapewniał go uroczyście.

— Takiej samej kiedyś we dworze ugryzłem kulasa i posypały się trociny.

— Śmieję ją tknąć, a kaldun⁶⁶ ci rozpruję — groził, błyskając mu przed ślepiami kordelasek.

— Weź ten kiel i nie skrzecz! Żurawie już lecą, krzyczały o tym orły! — obwąchał go. — Masz nową skórę. Mówię ci, nieżywa, ledwie kły wyciągnął z niej, śmierdziała przy tym.

— Co ty tam możesz wiedzieć o ludzkich sprawach — zabelkotał ze wzgardliwą wyższością i poszedł na barłóg, lecz nie zasnął, myślał o lalce i niebezpieczeństwach, jakie jej mogły grozić od psów i wilków, a zwłaszcza od Kruczka, który przez zemstę mógł ją zadusić.

Zerwał się, nie wiedząc jak postąpić. Wybiegł przed dom, patrzył w księżyc, nasłuchiwał, wreszcie kiedy stada przycichły, że tylko czasami rozbrzmiewały senne porykiwania lub strażnicze ujadania psów, wydobyl z pochwy kordelas i poleciał.

Noc była jasna, księżycowa i cicha. Lalka siedziała jak był ją zostawił, nieruchoma, z otwartymi szeroko oczami, zanurzona w srebrzystej poświacie księżyca. Długo się wahał, aż przemógłszy wrażenie, porwał ją na ręce i przycisnął do serca. Stała się wówczas rzecz mroząca w żyłach krew — objęła go rączkami za szyję, a z warg polały się jakieś ciche, czarowne dźwięki.

Przysiadł przed domem i pomimo strasznego lęku, nie wypuścił z objęć i słuchając coraz uważniej, uspokoił się nieco. Zrozumiał jako przemawia do niego jakimś pszczylnym brzękiem.

— Nie rozumiem twojej mowy! — jęknął zrozpaczony, przyciskając zgorączkowaną twarz do jej piersi.

Znowu wytrysnęła przesłodka, upajająca melodia, zdała się być zapachem jaśminów w nagrzaną noc wiosenną; to księżycowego światła dźwiękiem albo dalekim, echowym wołaniem duszy trzepocącej się w ciężkich okowach ciała. I rozkołysała mu serce niby dzwon zapomniany, aż zajęczało tęsknotą przebudzonych nagle marzeń.

Lalka

Kradzież

Muzyka

⁶³war go obleciał — war — wrzątek, tu przenośnie, jako uczucie gorąca w silnych emocjach. [przypis edytorski]

⁶⁴ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

⁶⁵patrzyła — dziś popr. patrzyła. [przypis edytorski]

⁶⁶kaldun (gw.) — brzuch, określenie pogardliwe. [przypis edytorski]

— Matulu! — wyrwał mu się z głębi okrwawiony krzyk broczący głuchym żalem, a gorzkie i palące lzy wyżerały oczy. Zaskowyczały w nim ocknięte nagle krzywdy i ból niezblagany ciosami jął wykuwać mu duszę na obraz człowieczy. Ani wiedział, skąd to przyszło i za co go tak męczy. A po tym wszystkim została mu w sercu bezgraniczna tkliwość i pragnienie przywarcia do słabych, niesienia pomocy i rozsypywania nadmiarów uczucia.

Muzyka ucichła i lalka leżała z zamkniętymi oczami, a z bladym przyśmiejchem na ustach.

— Śpi sobie panienka! — rozczulił się i poniósł ją na rękach ostrożnie, niby dzieciątko.

Ułożył ją na swoim barlogu, przykrył pierzyną i z kordelasem w ręku czuwał. Czasami nasłuchując jej oddechów, niepokoił się, że leżała cicha, zimna i jakby martwa, wzbudzała w nim coraz większą trwogę i jakąś zabobonną cześć. Miał ją za żywą istotę, nie pojmując jeno, dlaczego jest taka inna, różna od tych, jakie widywał we dworze, aż nagle zrozumiał.

— Zakłęta! Musi być, co tak! — rozważał, wspominając te opowieści, jakich się był nasłuchiwał w dworskiej kuchni zimowymi wieczorami — o zaczarowanych księżniczkach, rycerzach i ludziach przemienionych w drzewa i zwierzęta. — Zakłęta! Żeby tylko trafić na to potrzebne słowo, powiedzieć je, a wnet ożyje — snuł gorączkowo, wyobrażając sobie, jak to ją odczaruje i zaprowadzi do króla, ojca, który mu ją potem da za żonę i będzie w złocie i srebrze chodził, będzie panem większym od swego dziedzica. I tak marząc, zasnął. Coś jeno krzyczał przez sen i zrzucił buty, gdyż go strasznie piekły, ale o świcie zerwał się na równe nogi.

— Zakłęta! Żeby tak trafić na to słowo! — kłopotał się, przyglądając się śpiącej.

Jakiś krzyk podniósł się nad stadami i grzmiał coraz rozgłośniej i potężniej.

— Żurawie! Żurawie! — wrzały głosy jakby wszystkiej ziemi.

Jakoż od strony zachodniej głośniały z minuty na minutę przeciągłe klangory, a potem zaczęły kołując opadać coraz niżej olbrzymie żurawiane klucze. Krążyły jakiś czas nad stadami i, sterując groty swoich kolumn na wschód, wzbity się w błękity i popłynęły, jęklivymi głosami znacząc swoje podniebne szlaki.

Wszystkie stada ruszyły za nimi w jakimś uroczystym skupieniu.

Fala na wiele mil szeroka potoczyła się z dzikim szumem wskroś pól i lasów, wskroś miast i wiosek, pozostawiając za sobą jeno stradowane pustki, ciszę i śmierć.

Kraj stawał się górzysty i suchy; wyniosłe, dalekie jeszcze szczyty grające śniegami w słońcu, przepadły, przysłonięte łańcuchami wzgórz porośniętych lasami, pełnymi głębokich dolin i wąwozów, że tylko krzyk żurawi, jakby nieustająca pieśń chmur, prowadził ich przez te labirynty prawie ciemnych puszczy i oślepiających wyżni.

Niemowa, przewiesiwszy buty na karku ogiera, usadził w jednej z cholew swoją „zakłęta księżniczkę”, że z daleka widniała jakby stojąca na koniu. Psy radośnie czekały na widok jej uśmiechniętej twarzy, a ptaki sfruwały ze szczebiotem na jej wyciągnięte rączki. Odganiał wszystkich zazdrośnie, strzegąc jej jak własnej żrenicy. Ochraniał od skwarów i w upalne południe okrywał jej głowę zielonymi gałązkami. Nocami zaś, na odpoczynkach, kiedy nikt nie widział, na klęczkach szeptał jej coś tajemniczo do ucha, ze drżeniem wyczekując odpowiedzi.

— Żeby jeno znaleźć to słowo — męczył się ustawicznie. — Żeby ją odczarować, a zaraz bym porzucił to bydło. Przecież jestem człowiekiem! — upewniał się, przeglądając niezliczone lby towarzyszków. Czuł się pomiędzy nimi coraz więcej obcym i zupełnie innym. Srożył się na nich za ten bunt przeciwko ludziom, powodów bowiem nie uznawał, a cel miał za szaleństwo.

— W jarzmie czy na wolności, bydło zostanie bydłem — myślał surowo, ale z nieodczuwanym dotychczas współczuciem zaczął spostrzegać cierpienia jakie znosił. Droga bowiem stawała się coraz cięższa i znojnniejsza. Szły dnie okropnych skwarów; słońce paliło bez miłosierdzia od wschodu do samego zachodu, nie przewiewał chłodzący wiatr, powietrze było płynnym, straszliwym ogniem, parzyła ziemia, górskie rzeczki ledwie się tu i ówdzie srebrzyły chudym pasmem wody. Doliny były nalane jadowicie parzącym wrzątkiem. W lasach na spalonych mchach i trawach nie było ochłody, drzewa nie dawały cienia. Spotykali coraz mniej pól uprawnych, wioski były coraz rzadsze i coraz skąpsze

Lalka, Zabobony

Marzenie

Słowo, Czary

pożywienie. Były dnie, w których nie starczyło dla wszystkich. Dziesiątki tysięcy waliło się na odpoczynek głodne i śmiertelnie znużone. A noce przychodziły równie znojne i nieugaszoną spiekotą przejęte, rozgwieżdżone niebo wisiało niby rajski ogród, rozkwitły srebrzystymi kwiatami, ale ziemia stawała się piekłem, nie dając ukojenia ni snu. Wyszchnięte, spragnione gardziele dyszały męką. Głód skręcał wnętrzności. Tysiące padało bez życia. Ciche jeszcze skargi, szemrania i jęki mrowiły się w ciemnościach. Ale wiara w przyszłość była mocniejsza nad nędzę życia, mocniejsza nawet nad śmierć. I skoro o świcie zawyły wilki codzienną pobudkę, a krzyki żurawi zaśpiewały spod obłoków, ruszali w dalszą wędrówkę, niestrudzeni, niezmordowani, ani się oglądając na tych, którzy coraz gęściej znaczyli drogę swoimi szkieletami — na tych niezliczonych, których porwał głód, wyczerpanie, choroby i jacyś srodzy nieznani nieprzyjaciele. Toczyli się spowici w kurzawy niby w szary, ciężki obłok, kłębiący się nisko nad ziemią i jak wzbierająca burza huczący głosami porykiwań, rzeń i tętentów.

Po wielu, wielu dniach bezprzestannego wędrowania dostali się na jakieś nieprzejrzanne płaskowzgórze. Ośnieżone, zawsze dalekie szczyty gór ukazały się znowu w majestacie ogromów. Wnosiły się na niebie jakby ołtarzem straszliwej potęgi ukrytej w chmurach. Powitał je ryk powszechnego wzruszenia. Wszystkim cierpieniom zamarzył się kres, a wszystkie zgorączkowane oczy widziały już za tymi niebotycznymi szczytami wolność i szczęście. Radość skrzepiła serca ufnością. Ścichły narzekania. Fala gorącej nadziei przepełniała serca. A przy tym powiały chłodniejsze wiatry i dnie przyszły znacznie ostygle, a ogromna rzeka płynąca w głębokich brzegach pełna była lodowatej, czystej wody. Straszyl tylko step rozciągający się dokoła niby stół nieobjęty, poznaczony tu i ówdzie zsypankami zwietrziałych skał, grupami drzew i zaroślami ciernistych krzaków. Rdzawą i spękaną ziemię pokrywały trawy podobne do szarych, splątanych liszajów i niskie, krwawe mchy. Jakies nieznane zwierzęta przemykały się płochliwie, a nocami chłodnymi z upragnionych słodkich snów budziły głuche, straszliwe ryki podobne do grzmotów podziemnych. Bały się ich wilki i psy przed nimi chroniły się pomiędzy rogatych. Ale żadne ze zwierząt nie dojrzało już człowieka, nawet ptaki krążące wysoko nad ziemią. I ani śladu siedzib, ni dróg, ni nawet zapachu dymów. Otoczył ich świat zupełnie nowy i straszny przez swoją obcość.

Przyszły głody, zbrakło zapasów gromadzonych przez ludzi, musieli się żywić twardą jak szczecina trawą i kolczastymi roślinami gorzkimi niby piołuny.

— Nie ma łąk! Nie ma kartofli! Nie ma zboża! Nie ma koniczyn! — zajęczały stada.

Bezgraniczne zdumienie rodziło w nich przestraszanie i niepokój. Nie pojmowali tego. Byli pewni, że wszędzie zebrane są zapasy niewyczerpane i przeznaczone dla nich, a których im wzbraniała nikczemność człowieka. Gdzie się więc podziały pełne stodoły? Gdzie pola kartoflane? Gdzie zboża? Gdzie tłuste pastwiska? Co się z nimi stało?

Ludzie już nie wzbraniają, bo ich nie ma! I nie ma także zapasów! Wrzały głuche, szarpające uczucia, niepotrafiące się wychylić spoza tych straszliwych dla nich faktów.

I Rex się szarpał, nie pojmując tego, natomiast Niemowa mamrotał zjadliwie.

— Macie wolność, to po cóż wam pasza. Jak ludzie nie zasieją, to wy nie zeżrecie. A oni dadzą sobie radę bez was. Nikt się z tym jeszcze nie wyznaje, ale wszyscy chcieliby wracać do pełnego żłobu. Wilkom porosły kałduny, a i to mają już tego dobrego dosyć!

— Choćbyśmy wyzdychali z głodu co do jednego, nikt dobrowolnie nie wróci do jarzma.

— Zdechniecie niedługo. Ja też z wami — dodał smutnie.

— Stado dzikich daje sobie radę bez pomocy człowieka, poradzimy sobie i my. A o powrocie milcz, bo cię każę zatratować. Zresztą mamy już niedaleko.

— Ty wiesz dobrze, boś przecie królem nad tym bydłem, ale mnie wyklekotały bociany...

Nie chciał go więcej słuchać i warknąwszy na ogiera, popędził nad rzekę, gdzie stada rozłożyły się na odpoczynek, skubiąc nędzne, kolczaste trawy. Niepokoila go coraz głębiej ta przedłużająca się wciąż wędrówka. Dzień przechodził za dniem, a ten przeklęty, jałowy step zdawał się nie mieć końca. Nieraz wybiegał naprzód, daleko i wdrapawszy się na jakieś skalne rumowiska, próbował dojrzeć krańce równin. Na próżno jednak, jak sięgnął ślepiami, leżała nieprzejrzana pustka, niby rdzawy całun poznaczony nędzną roślinnością

Wolność

i kamieniami, a nad nią wisiało puste, szarawe, bezchmurne niebo. Tylko olbrzymi łańcuch śnieżnych szczytów zamykał horyzont. Leżały w poprzek ich drogi niby zwalone bezładne kupy — szczątki jakichś potraskanych planet i słońc, grających widmowym światłem wiecznych lodów. Cofał się przed tym widokiem w niepojętym lęku.

Któręś nocy dopadł żurawi lecących zawsze o parę godzin przed stadami.

— Daleko! Daleko! Daleko! — zaśpiewały mu w odpowiedzi.

Polecał błąkać się pomiędzy swoimi gromadami. Odpoczywały nad urwistym brzegiem rzeki. Księżyc świecił w pełni. Leżały ciche i senne, jeno tu i ówdzie wyrwały się stłumione jęki. Ciche były i zagłębione w siebie, przeżywając niestrudzenie nędną paszę, lecz na jego widok budziły się z trupiego odrętwienia i ciężkie, tępe spojrzenia przeprowadzały go z bezgraniczną miłością. Ciche były i jeszcze w spokoju znosiły wszystkie nędze. Cierpiały z rezygnacją niewolniczych przyzwyczajęń, bez jęku i skargi.

Odczuł jednak, że gonią ostatkami sił i długo już nie wytrzymają.

Kiedy powrócił na swoje legowisko, Niemowa podjął przerwana rozmowę.

— Bociany mi wyklekotały: do gór całą niedzielę drogi, potem góry, potem znowu ziemia, a potem morza będzie ze trzy dni. Pod górami mają być wielkie łąki, wody i lasy.

Skoro zaświtało, Rex rozkazał wilkom poganiać stada ze wszystkich sił.

— Na wschód! Naprzód! Prędzej! — wył, przebiegając na swoim ogierze. — Już niedaleko.

Potoczyły się jak gradowa chmura unoszona wiatrami. Popędzała ich wzmożona nadzieja, popędzał głód i popędzała śmierć, która zdawała się poświstywać nad nimi straszliwymi biczami, od których padało tysiące. Nikt na to nie zważał, lecieli oślepli niedalekim już szczęściem i strachem, gdyż wilki z nakazu Rekxa wyły, następując coraz bliżej i pozostających w tyle rozdzierając na strzępy. Na domiar złego wpadli w szeroką strefę ciągłych burz i huraganów. Podnosiły się takie wichry, że kurzawy zakrywały słońce, rwały kamienie, obalały najtęższe woły, miotały owcami i spowijały w rozszałale, szarpiące na wszystkie strony tumany. Spadały okropne ulewę, iż step stawał się wzburzonym jeziorem, tysiące potoków rozrywało zeschniętą ziemię w głębokie rozpadliny i bruzdy. Przy najpiękniejszej znowu pogodzie nagle cichość przejmowała powietrze, niebo spadało na ziemię czarnymi, opitymi chmurami, rozlegały się dzikie świsty i tętent, jakby tysiące rozszałanych tabunów, a potem trzaskały grady piorunów wśród błyskawic i wstrząsających grzmotów.

Oblędny strach porywał najmężniejszych. Kulas ze swoimi kamratami zaszywał się w gąszczach, lisy zakopywały się w jamy, psy chowały się po skalnych rumowiskach, a nawet Rex chronił się pod urwistymi brzegami rzeki, tylko stada wystawione na wszystkie okropności burz, nie mogąc sobie poradzić, rozbiegały się w obląkanym popłochu na wszystkie strony i ginęły tysiącami.

Niemowa z księżniczką, ze swoim ogierem i Kruczkiem, zawsze potrafił się zabezpieczyć przed gwałtownością nawałnic. I pierwszy potem zwoływał rozproszonych i prowadził, zanim się zjawili prawowici wodzowie. A że miał nieco ludzkiego rozumu, więc później, przewidując nadciągające burze, znajdował dosyć skuteczne sposoby jakiego takiego zabezpieczenia stad od klęski. Zaczęli mu ślepo ufać i zanim minęli tę straszną strefę, właściwie on stał się panem i wodzem niezliczonych gromad. Na niego podnosiły się strwożone ślepie i tylko jego szukały w chwilach niebezpieczeństwa. Rządził jak urodzony władca i posłuch wymuszał rewolwerem.

Rex zaczynał się bać, zwłaszcza jego gniewne, błyszczące spojrzenia przejmowały go drżeniem.

— Człowiek! — warczał w bezsilnej złości, nie mogąc wytrzymać tych spojrzeń władczych.

— Gotuje nam zdradę to ludzkie szczenię — wrzał Kulas, przysuwając się do chłopa.

— Jeszcze jeden skok, ty odrzykoniu⁶⁷, a będzie ostatni! — zabelkotał Niemowa, podnosząc broń.

Rozeszli się w pozornej zgodzie, lecz od tej chwili wilcze ślepie chodziły za nim nieustannie. A jemu ani postać w głowie władza i panowanie, miał dosyć tego tułactwa

Przywódca

⁶⁷odrzykoń — tu jako wyzwisko: Niemowa zdaje się nawiązywać do wilczej natury Kulasa, który polował na różne zwierzęta, również konie czy cielęta. [przypis edytorski]

i postanowił powrócić do ludzi. Już jego ogier i Kruczek byli namówieni. A chodziło mu, żeby jak najwięcej stad zbuntować i z nimi wrócić do ludzi.

— Giną marnie, a tam jesień i tyle roboty w polach. Milsza im przecież będzie robota, pełny brzuch i dach nade łbem, niżli zdychanie z głodu — zwierzał się przed „zaczarowaną księżniczką”. — Jeszcze mnie zaprosi na pokoje, jak jej tyle bydła przyprowadzę! — rozmarzał się z dziwnie słodką tęsknotą o swojej dawnej dziedzicze.

A kiedy wydostali się znowu w kraj spokojny, chociaż równie jałowy i pusty, stada rozłożyły się na parodniowy odpoczynek i Niemowa jął się wałęsać po obozowiskach. Nastawiał pilnie uszu na wszystkie głosy wyrzekań, jakich podnosiło się coraz więcej. Wdawał się w długie gawędy i skarżąc się wraz z nimi, płacząc nad wspólną niedolą, posiewał myśli o powrocie do ludzi. Przyjmowali je czasami z gniewem i pomrukiem, niekiedy z osłupieniem, a najczęściej z długim, żalosnym wzdychaniem. Cóż ich czekało dalej? Nędza, głody i śmierć. Przecież już wyglądali na szkielety obciągnięte podartymi, obwisłymi skórą! Ledwie się trzymali na nogach. Śmiertelne wyczerpanie i apatia rzucały całe tysiące na ziemię, że woleli zdychać z głodu niżli znowu trudzić się poszukiwaniem nędznego pożywienia. Przeciagle jęki konających słychać było we wszystkie te dnie i noce. Gromady zmniejszały się z przerażającą szybkością. Wyzdychała wszystka młodzież. Wilki mogłyby powiedzieć, czemu tak prędko wyginęły owce. I świń pozostało niewiele. A co zginęło kopyt i rogów, tego by nie obliczył i ubywało ich coraz więcej w miarę, jak gasły w nich nadzieje. Prawie codziennie, gdy słońce wynosiło się spoza śnieżnych szczytów ogromne, promieniejące, rwał się i bił w niebo ryk.

— Nigdy tam nie dojdziemy! Nigdy! Nigdy! — wrzał chór ponurej rozpacz i żalów.

Na próżno Rex uspokajał i krzepił, wyjąc swoje hymny o szczęściu, jakie tam na nich czeka. Słuchali w powinnym milczeniu, a gdy poleciał dalej, wybuchały coraz cięższe bładania.

— Niechby i w jarzmo zaprzęgli, niechby i bili — jęczały woły, przeżuwając gorzkie raniące osty — byle dali jeść do syta, jeść! jeść!

— Wiedziałem, że do dnia nasypią obroku⁶⁸ — wspominał marząco jakiś koń — potem wyprowadzą na robotę.

— A potem spiorą batami, aż skóra popęka — szydził z niego sąsiad zuchwały ogier.

— Ale w południe znowu był obrok, wiadro czystej wody, odpoczynek.

— I baty w dodatku! — rżał tamten, bijąc kopytami w ziemię.

— Ale na wieczór była ciepła stajnia; pół żłoba owsa i za drabiną koniczyna — wzdychał żalownie.

Skończyło się to przypominanie przeszłości zacieklą bójką, aż trzaskały kopyta, pękały gnaty i połała się krew bratnia. I było tych zwad, awantur i krwawych rozpraw coraz więcej. Jakieś mściwe, zaczepne rozdrażnienie zaczęło się szerzyć niby wścieklizna. Każdy rad był odbijać swoje nędze i zawody na drugich. Już całe dnie i noce przechodziły w namiętnych, nieustępliwych swarach, z czego korzystając, Niemowa namawiał usilnie do powrotu, rozjątrząc obolałą duszę mirażami straconego szczęścia. Wielu ogarniętych szalem nagle przypominanej przeszłości chciało powracać natychmiast, rycząc na wszystkie strony.

— Wybaw nas! Prowadź! Ludzi chcemy! Panów chcemy! Jeść chcemy! Prowadź!

Dużo było jednak takich, którzy nasłuchawszy się namów, odrzucali je z pogardą.

— Nie wrócimy pod baty. Wolimy głody niżli sytą niewolę. Nie potrafimy już być niewolnikami. Pragniemy żyć dla siebie. Mięsem dla ludzi nie będziemy. Wracaj, ale do zdrady nie namawiaj.

I źle skończyły się dla niego te buntowania, gdyż któregoś ranka Kruczek mu zawarzał:

— Rex z Kulasem i ze starszymi radzą o czymś na skałach. Szczekają coś na ciebie, słyszałem.

— Nie bój się. Mam się czym obronić — pokazał rewolwer i kordelas ostry jak brzytwa.

— Zabijesz paru, a reszta cię rozedrze. Uciekajmy zaraz — zaskamlał trwożliwie.

— Daj znać naszym, niech się zbierają w kupy i zostają w tyle, nieznacznie — rozkazał. Nie zdążył, bowiem opadła go nagle kohorta wilków, a Kulas zaszczekał.

Głód, Rozpacz

⁶⁸obrok — karma, pasza dla koni. [przypis edytorski]

— Wypędzamy cię z gromady! Rex daruje ci z przyjaźni życie. Nie groź swoimi pionurami, bo każe cię rozerwać. Przyjęliśmy cię z łaski, a zapłaciłeś nam zdradą i buntem, precz!

Chłopak obejrzał się za ratunkiem, ale zobaczywszy dokoła wyszczerzone kły i rozjuszone ślepie, wsiadł na swojego ogiera, którego mu podpędzili. Z księżniczką przyciśniętą do piersi i z rewolwerem w drugiej ręce, jechał tęgim klusem otoczony wilkami. Kruczek go nie opuszczał, siedział przytulony do niego, szczękając zębami. Pędzili tak całe dwa dni, zaledwie parę razy odpoczywając. Wreszcie dosięgnąwszy miejsca przeznaczenia, zawyli, żeby zsiadał. Konia i Kruczka pozarli w mgnieniu oka.

— Jakbyś chciał ludzi naprowadzić na nas, zginiesz — ostrzegał któryś i popędzili z powrotem.

Stał oszołomiony, rozglądając się ciężkimi oczami; teraz dopiero ważył całą okropność ciosu, jaki w niego uderzył. Został sam jeden w głuchej, jałowej pustyni, o parę tygodni drogi od najbliższych siedzib ludzkich, bez żywności, bez pomocy i bez konia. Włosy mu powstawały na głowie, lecz nie upadał na duchu, nawet nie zapłakał. Pozbierał manatki, buty przerzucił przez ramię, księżniczkę ukrył w cholewie, w krzakach wyciął tęgi, sękaty kij i ruszył śmiało prosto na zachód. Trzymał się rzeki, wędrując szlakiem pełnym szkieletów, kości, padliny, na której z wrzaskiem żerowały olbrzymie sępy. Niekiedy z głodu odbierał ptakom zuchwale swoją część i siedł zbrojny głęboką pewnością, że nie dziś to jutro, a przecie znajdzie to potrzebne słowo i odczaruje swoją księżniczkę.

— A wy pozdychacie co do nogi — pogroził na wschód. — Zdechniecie prędzej niżli ja.

I wędrował naprzód bez trwogi. Żywił się, czym się dało, a że zmyślny był nadzwyczajnie, rzeka była rybna, i miał krzesiwo i hubkę⁶⁹, więc głody niezbyt mu dokuczały. A kiedy zdarzyło mu się złapać większą sztukę, piekł ją na rozpalonych kamieniach, mył księżniczkę, usadzał ją przy ognisku naprzeciw siebie i sprawiał sobie bal. Częstował ją, przemawiał jak do żywej, całował po rękach i nogach, przyciskał głowę do jej serca i słuchał nabożnie tych niebiańskich głosów muzyki, jakimi wtedy przemawiała. Modlił się do niej niewysłownym szczęściem. I, nasyciwszy serce i brzuch do woli, znowu ruszał dalej.

Był jak ziarno piasku toczące się zuchwale wskroś tych nieobjętych obszarów. Był taki mały, nędzny i słaby na tle ogromów, że nie zaczepiały go nawet dzikie zwierzęta. Szedł, ani troszcząc się o niebezpieczeństwa, nawet nie myślał o nich, wysypiał się przy wielkich ogniskach, jakie rozpałał, a dojrawszy ciągi ptaków lecących na zimowe leże, zaśpiewał ich głosami. Opadły go nieprzeliczoną chmarą i zanim się poznały na podstępie, miał już zapasów na parę dni, a piórkami co najpiękniejszych przystrajał głowę księżniczki. Po dwóch tygodniach takiego prawie wesołego życia, zaczął się nagle niepokoić, gdyż pewnej nocy bardzo się oziębiło i nad ranem podniósł się mroźny wiatr. Lodowate tchnienie powiało ze wschodu. A kiedy wstał dzień, blade, przemarznięte słońce zaiskrzyło się w szronach. Niemowa zdumiał się, wodząc zatrwożonymi oczami po zbieleńskich ziemiach. Nie myślał bowiem o zimie i na śmierć zapomniał o jej kłach straszliwych. Głęboka troska zatargła mu sercem. Drapał się frasobliwie po kudłach i po krótkich medytacjach naciągnął buty na boscie nogi, obwinął się derą i, przepasawszy się sznurkiem, przycisnął do piersi księżniczkę i spiesźnie ruszył w dalszą drogę. A popędzał go strach, coraz zimniejsze dnie i wichry dmące od wschodu. Przy tym zaczynał mu doskwierać głód. Ptaki się gdzieś pochowały, a do ryb ciężko się było dobierać przez omarzniete brzegi rzeki. I chociaż przemarznięty, wynędzniały i ledwie już wlokący nogi, wędrował niczym niezmożony i wciąż wymyślane jakieś słowa szeptał do ucha księżniczki.

— Nie bój się, przecież natrafię i odczaruję cię! — mamrotał. — Ożyjesz, zjawi się koń czarny jak kruk i pojedziemy! Loboga, żeby jeno prędzej! — Wzdychał rozpaczliwie, dnie bowiem przychodziły zimne, targane wichurami, smutne, że nieraz krył się po ciemnych jamach, żeby je przeczekać. Cóż, kiedy noce następowały jeszcze gorsze — ciemne, lodowate, burzliwe i pełne jęków i ryków jakby całych stad szalejących w ciemnościach. Włosy mu powstawały na głowie i nie sypiał ze strachów i zimna, lecz o świtaniach, kiedy

Wygnanie

Wygnanie, Słowo,
Samotność

Lalka, Miłość platoniczna

⁶⁹hubka — materiał łatwopalny, wytwarzany z huby (odmiany grzyba rosnącej na pniach drzew). [przypis edytorski]

się nieco uspokoiło, przewyciężając głód, zimno i znużenie, szedł znowu z tą niezamarłą jeszcze nadzieją, że może dzisiaj, może już za chwilę dojrzy gdzieś dymy ludzkich siedzib, a choćby tylko bory, które by dały mu schronienie. Na próżno jednak, jak mógł dosięgnąć oczami, rozciągała się nieprzejrzana, straszliwa pustka; step poznaczony plamami krzaków i przerźnięty pasmem krętej rzeki płynącej, zdawało się, aż w to sine niebo, leżące na skrajach horyzontu zielonawymi zwałami chmur jakby potrzaskanymi bryłami lodów. Groza tych pustych obszarów, śmiertelnego milczenia i samotności chwyciła go nagle za gardło takim strachem, że załamał się w sobie niby nędzne źdźbło i, ryknąwszy rozpaczliwym płaczem, zaskowyczał błagalnie:

— Ratuj Jezusieчку! A to ci już wystrugam całą mękę, a to ci śpiewającego kosa w klatce zawieszę przed ołtarzem! Ratuj mnie, Panie! — lkał, żegnając się raz po raz. Nazajutrz ścisnął tak wielki mróz, że ziemia zadzwoniła pod nogami, rzeka zamarzła i niepodobna było złapać oddechu. Ustały wiatry, zrobiła się złowroga cichość, przerywana jeno głuchymi trzaskami pękającej ziemi. Nie było już mowy o dalszej wędrówce, tyle tego dnia zrobił drogi, że znalazł miejsce, gdzie rzeka, wrzynając się głęboko w brzegi, utworzyła bagnistą zatokę porośniętą szuwarem i krzakami.

— Oparzeliska i niezamarzła woda, muszą tu przylatywać ptaki! — pomyślał i nożem a pazurami wygrzebał pod stromym brzegiem sporą jamę na schronienie. Przysłonił ją gałęziami, wyścielił liśćmi, a usadziwszy w głębi księżniczkę, zakopał się na dno barłogu i, poczuwszy błogie ciepło, zamamrotał sennie pod adresem mrozu.

— Całuj mnie gdzieś, dużo mi zrobisz. — I zasnął mimo szarpiącego głodu.

A rankiem, pookręcawszy się w suche trzciny, zasiadł w krzakach i cierpliwie oczekiwał, chociaż mróz przenikał go do szpiku. Na szczęście, sprawdziły się jego przypuszczenia, gdyż wkrótce po wschodzie słońca pokazały się sznury dzikich kaczek i jęły spokojnie opadać na zwierciadła niezamarzniętych wód. Zakwakał niby stary na małe w porę niebezpieczeństwa, wystraszone ptaki zaczęły się zrywać, lecz większa część momentalnie zasyłała się w suche trawy. Nabił ich kijem i nałapał rękami tyle, że ledwie je doniósł do swojej nory.

— Będzie wyżerka, reszta skruszeje na mrozie! — chwalił się przed księżniczką, rozpalając przed jamą duży ogień.

Najadał się już do syta i wysypiał, odzyskując utracone siły, ale i coraz lękliej rozmyślając o dalszej wędrówce. Mrozy bowiem wzmagaly się z dnia na dzień, i szrony grubości największych gradów pokrywały stopy puszystą wełną, zapadającą się pod nogami. Stopniowo też zamarzały bagniska i marły oczy żywych wód, przysłaniane bielkami lodów, i coraz mniej przylatywało ptaków. Dnie otwierały się niby groby rozpraszające posępne, gromniczne światło w tych okropnych cichościach obumarłej ziemi. Przez gęste, skołtunione mgły przesączały się krwawe brzaski słońca, niby umęczone spojrzenia konających oczu. Zmierzchy opadały nagle czarnymi, nieprzeniknionymi kirami. Zaś noce pokazywały się fantastyczną baśnią — prawie czarne niebo zasypane srebrzystym piaskiem gwiazd grało miliardami skrzep, migotów i cichych, lodowatych błyskawic, wyżerających oczy: wszystko stawało się jednym morzem rozdręganego światłości. Którejś takiej nocy, gdzieś niedaleko rozległy się jakieś złowrogi wycia.

— A może to wilki? — pomyślał Niemowa. — A może to Kulas ze swoimi? Rażniej byłoby nam powracać. — Ucieszył się niezmiernie i, łowiąc chciwie zbliżające się odgłosy, pomimo strasznego zimna wdrapał się na wyniosły brzeg, żeby się rozejrzeć po stepie. Jakoż dojrzał sznury cieniów, posuwających się ku rzece, a na przedzie umykającego olbrzymiego jelenia, który, położywszy rogi na grzbiecie, pędził jakby ostatkami sił, potykając się coraz częściej, aż dobiegłszy stromego brzegu, przystanął i rozpaczliwie zabeczał. Już go dobiegały, już dziki skowyt triumfów zatargał powietrzem, gdy jeleniec stoczył się na dół i, olbrzymimi susami dopadłszy bagniska, gnał ze wszystkich sił wskroś zarośli, zapadając się tu i ówdzie, wyrwał się jeszcze i rzucił całą mocą rozpacz, aż wpadł po brzuch w jakieś niedomarznięte oparzelisko, i, zanim zdołał się z niego wydobyć, już całe rozjuszzone stado runęło na niego. Zawrzała rozpaczliwa walka. Jeleń wyrwał się z błota, bronił się rogami, tratował na śmierć, uciekał, zapadał się w bagna, walczył do ostatka, nim padł żywcem rozrywany.

— O ścierwa, czekajcież! — zamamrotał wzruszony Niemowa i strzelił w skłębioną kupę. Błask ognia i huk jakby gromu zatargały powietrzem. Stado rzuciło się do ucieczki.

Strzelił za nim jeszcze parę razy i z bronią w ręku poleciał do jelenia. Leżał martwy, z powrywanymi bokami i przegryzionym gardłem, ale i parę wilków tarzało się splątanych we własne, poszarpane trzewia.

— I mnie się tu coś należy — zdecydował chłopak i, nie zważając na skowyty zdychających, wyciął z jelenia ogromny kawał mięsa. Zaledwie je zaciągnął do swojej nory, kiedy dojrzał powracające wilki. Przypędzał je głód i zapach świeżej krwi. Pożarły resztki jelenia i pożarły rannych i zdechłych towarzyszy, aż gnaty trzaskaly w ich potężnych szczękach. Wylizaly nawet śniegi zbroczone i, skończywszy ucztę, jęły węszyc za śladami Niemowy. Wtedy, aby je odstraszyć, zawył na trwogę, jak umiał najlepiej. Zatrzymały się, strzygąc uszami na wszystkie strony, lecz po chwili, snąc niewyprowadzone w pole, ruszyły znowu ostrożnie pod górę, były coraz bliżej, zaroily się w krzakach strasznym mrowiem.

Chłopakowi zrobiło się gorąco i zadygotało mu serce.

— To nie Kulasowe kamraty! Rozerwą mnie jak zająca! — obejrzał się za jakimś ratunkiem i naraz nagromadzone zapasy gałęzi, szuwarów i suchych traw jał zwała gorączkowo na kupę, a kiedy wilki podczołgały się tak blisko, że poczuł ich obmierzły swąd i dojrzał w krzakach ślepią migocące niby świętojańskie robaczki, skrzesał ognia i stos podpalił.

Stado, spłoszone płomieniami buchającymi coraz wyżej, uciekło na stepy.

— Jutro niechybnie wrócę — zwierzał się księżniczce, nieustannie podsycając ogień. — Jak się raz zwiedziały, to ich ciężko odgonię — zafrasował się głęboko. — Musimy zostać, boć uciekać nie sposób — obtarł spoconą twarz. — Całe noce trzeba się będzie bronić ogniem. A wyjść, to jak nie zmarzniemy, podusz nas niby jagnięta. Co tu robić?

Strach zajrzał mu w nieulekłe oczy. Opadła go moc, poczuł się bezradnym dzieckiem, porzuconym na łup każdego przypadku. Zapłakał głośno jak niegdyś, kiedy go niesprawiedliwie wytlukła gospodyni. Wspomnił mu się daleki dom, ciepła kuchnia, gary z warzą na kominie, buchające zapachami. Płacz wstrząsał nim coraz boleśniej i dzika żalność ścisnęła serce. Czynił sobie gorzkie wyrzuty. Po co zadawał się ze zwierzakami. Nawet w chlewach miał lepiej niżli teraz. Zginąć mu przyjdzie marnie. Nie zjedzą go wilki, to mróz go zakatrupi. Ma to nad nim kto politowanie! I, rozszlochany, zbołały, zakopał się w barłóg o samym świtanie i zapadł w kamienny sen. Obudził go późny dzień i taki straszny mróz, jakiego jeszcze nie było. Powieki miał obmarzniete, ciało zdrętwiałe i ledwie oddychał. Z wysiłkiem rozpalil ogień i, podjadłszy sobie, wziął się do ściągania paliwa na noc następną. Przychodziło mu to z niezmiernym trudem, przewracał się, w głowie mu się męciło. Poty uderzały na niego, i rozpalala gorączka, to znowu trząsał nim taki ziać, że nawet przy ognisku nie mógł się go pozbyć. A w końcu, już o samym zmierzchu poczuł się tak śmiertelnie znużonym i sennym, że pomimo świadomości niebezpieczeństwa, wysłał sobie legowisko pierzem pozabijanych ptaków i, zwinąwszy się w kłębek, zadrzemał.

Późną nocą przebudziły go wycia i naszczekiwanie. Wilki walczyły między sobą o resztki gnatów jelenia i, zjadłszy co jeszcze pozostało, pociągnęły ku jamie. Odpędził je ogień, ale krążyły do rana, wyjąc z głodu i wściekłości.

Czuwał dalej, nieustannie podsycając ogień, chociaż przychodziło mu to bardzo ciężko, gdyż czuł się słabym i wielce znużonym. Chwilami, jakby tracąc przytomność, nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. To znowu wszystko stawało mu się obojętnym, i nawet wilcze skowyty i jakieś podejrżane ich gonitwy nie zwracały jego uwagi. Nawet nie smakowała mu świeżo przypieczona jelenina, odrzucił ją ze wstrętem. Z niemałą też ulgą powitał dzień i wsunął się do swojej nory, spać jednak nie mógł, męczyło go nienasycone pragnienie, pił wodę, połykał lodowaty szron i nic mu nie pomagało. Cały dzień przewalał się, nie wiedząc co począc ze sobą, trapiła go nuda, że machinalnie nagromadził zapasy szuwarów i gałęzi, a potem oskubywał złapane ptaki. Wzdychał coraz ciężej, wybiegał na step i przez zamarzające lzy rozglądał się za jakąś ludzką istotą. Zaciężyła mu nagle samotność i tęsknota straszliwymi skrętami — niby wąż — okręcała mu serce. Z zapomnianych głębin jęły wypelzać wspomnienia. Wydawały mu się cudowną baśnią prześnioną kiedyś, może przed wiekami. Boże, jakżeby się znowu wcisnął w ciemny kąt za piec, wieczorem zimowym, gdy dworska kuchnia zapelniała się ludźmi i gwarem. A niechby tam dostał przez łeb polanem za drażnienie psów. Przecież gospo-

Strach, Wspomnienia, Sen

Samotność, Wspomnienia

dyni dawała mu potem jakąś kość do ogryzienia, gorącego mleka, albo i chleba z masłem. Jezus, a co tam były za śmiechy, przekpinki, wesołości, a jakie bajki opowiadała świniarka! A kiedy dworki zasiadły z kądzielami, a dziedziczka zajrzała, to już nie było końca opowiadaniom przeróżnych historyj⁷⁰, od których strachem trzęsło i włosy powstawały na głowie. Właśnie o zaklętych księżniczkach, smokach i królewiczach.

Ledwie się otrząsnął z tych majaczeń, poczuł się znowu chory, samotny i bezsilny.

— Zamrę czy co? — myślał i, skuliwszy się w kłębek, przysunął się do samego ognia i z wolna grążył w jakieś niewypowiedziane błogości, jakoby w matczynym objęciu. Przeszywały go na wskroś jakieś palące ognie, szumiało w głowie i słodka senność, kolebiąc pięściwie, przywierała mu oczy gorącymi pocałunkami.

Już gwiazdy zaglądały mu w pobielaną twarz i zaskrzyły się w oszroniałych włosach, kiedy huk pękających ze strasznego mrozu lodów wyrwał go na chwilę z tej błogiej topieli. I, dojrawszy cienie snujące się w nadbrzeżnych zaroślach, rozdmuchał ognisko i, wyniosłszy księżniczkę, usadził ją obok siebie. Zapatrzył się w nią z natężeniem.

Siedziała uśmiechnięta, różowa od brzasków, cudna i patrząca nieodgadnionymi oczyma. Rzucił na ogień całe naręcza szuwarów i gałęzi, że płomienie z wesołym trzaskiem i szumem strzelały coraz wyżej, a jemu robiło się cieplej, jaśniej i radośniej. Naraz zaświeciły mu oczy, twarz zapalała i gwałtownie załomotało serce — znalazł wreszcie to słowo!

— Zaraz ci powiem! — zamamrotał. — Wymówię i wszystko się odmieni — potoczył zwycięskimi oczami. — Samo mi przyszło do głowy! Co mi teraz wilki, mrozy i biedy! Jezus, zaraz, tak mnie roztrzęsło, zaraz. Wreszcie, szepnąwszy jej coś do ucha, odskoczył w tył przerażony.

— Jezus! Maria! Jezus! Maria! — powtarzał, żegnając się instynktownym odruchem.

Rosła w jego oczach i stanęła przed nim w złotej koronie i w płaszczu czerwonym, a za nią wrony ogier bił kopytami, dzwoniąc złotym wędzidłem i strzemionami.

Serce mu zamarło w podziwie cudu, w uniesieniu i w jakiejś świętej zgrozie.

Przemówiła tym samym głosem muzyki, którego nigdy nie mógł zrozumieć.

— Na koń, królewiczu! Na koń! — każde słowo zagrało mu w duszy jak dzwon na Zmartwychwstanie.

Skoczył w siodło, zebrał lejce, trzasnął piętami ogiera i ponieśli się z wichrami w zawody. Siedziała przed nim, trzymał ją mocno, nie przestając popędzać konia.

Jeno wichry szumią w uszach i chlaszczą po twarzy, jeno dech zapiera i koniowi gra śledziona, jeno w oczach przelatują jakieś ziemie, jakieś bory, jakieś rzeki, aż rozśpiewała się w nim jakaś pieśń nadludzkiego szczęścia, lecz pędzą wciąż, pędzą coraz prędzej, pędzą wszystkim światem, pędzą do króla ojca, na weselne gody...

Słowo, Czary, Lalka

⁷⁰historyj — dziś popr.: historii. [przypis edytorski]

CZĘŚĆ II

VI

Ogromne, podobne rdzawym głazom, chmury sklepiące niebo, jęły naraz pękać, rozwalać się na kawały i rozsypywać się w podruzgotane rumowiska. Ginęły pod tym zalewem błękitne roztocza. Złowrogo mroczyły się dale. Przygasały światłości. Slepnięce oczy dnia zasnuwały się bielmami. Niedościgły wicher zajączkał przeszywającym świstem. Zakrzyzczały straszliwie jakieś ptaki. Szumy niedojrzanych borów zahuczały niby morza targane przez huragany. Krwawe jęzory niemych błyskawic zamigotały w posępnej szarości. Jakiś obłądny, dziki ryk zrywał się raz po raz z ziemi. Zasię na stepie wyrastały jedna po drugiej trąby powietrzne i, zataczając się niby olbrzymie, niebosiężne wrzeciona, nawijały na siebie gasnącą przędzę dnia. Zapadło nagle dręczące milczenie. Majaki potwornych wrzecion wirowały pijanymi skrętami coraz prędzej. Zdały się borem nagich pni zwieńczonych jeno koronami rudych, zwichrzonych kołtunów. W jakimś mgnieniu zagrzemiała straszliwa kapela piorunów. Były tak gęsto, że stały się jednym przerażającym grzmotem, od którego runęły chmury i zasypywały ziemię piachem duszących ciężkich mgieł. Wszystko przepadło w nieprzejranej szarości, a ziemia pod huraganami niemilkących grzmotów zdawała się spadać w niezgłębione przepaście. Wszelka istota zamierała w śmiertelnym przerażeniu. Niepojęte potęgi tratowały rozdygotaną ziemię. Zagładę śpiewały jej pioruny. Zagładę wyły wichry, podnoszące się w mrokach, że zdawała się już jeno kupą piachów rozwiewanych w nieskończonościach.

Burza

„Nie ruszać się! Leżeć w miejscach!” — skowyczały komendy, gdyż stada zrywały się do ucieczki. Rex, wraz z owczarkami i całą sforą wilków, obganiał stada i już zębami nakazywał posłuszeństwo. Ledwie skomlał i ze spienionej paszczy rwały mu się tylko przekrwione piany. Spracował się niesłuchanie i, opanowawszy powszechną trwogę, padł na jakimś wzgórzu z wywieszonym ozorem, ledwie już dysząc z utrudzenia. Stada kładły się dokoła wzgórza kręgiem nieprzebranym. To niepojęte, stojące się na niebie i ziemi, torturowało je obłądnym strachem. Powietrze drżało od przeciągłych żalosnych porykiwań i jęków! Konie ze rżeniem biły się o ziemię. W szarych odmętach coraz jaskrawiej strzelały szmaragdowe ślepie owiec i skarżyły się rozdzierające beki. Rozdygotane trwogą wycia wilków wybuchały w różnych stronach. Psy, jak oszalałe, z nosami przy ziemi tropiły nieustannie nie wiadomo za czym. Tęskliwe porykiwania krów i wołów huczały ponurym basem. Nawet świnię, tak zwykle mądrze obojętne, pokwikały zaniepokojone. Wszyscy bowiem cierpieli jednako. A na domiar niedoli, te suche mgły oblepiały skórę lodowatymi płachtami, przenikliwie dojmując aż do gnatów. Więc też co chwila unosiły się ciężkie lby i przelawione oczy błąkały się w mrokach. Ale nic jeszcze nie zwiastowało na przemianę. Dzień nie powracał, a mgły jeszcze gęstniały. Jeno Rex nie tracił spokoju i panowania nad sobą. Przeżył już niejedną burzę. Wspominał właśnie straszną śnieżycę, jaka go kiedyś błąkała przez trzy dni po polach. Przepędził ją o głodzie pod jakimś kamieniem.

— Im w oborach zawsze było ciepło i cicho — warknął zniecierpliwiony jękami.

— I wilkom nie w smak taka pogoda! — odwarknął któryś z owczarków, strzygąc uszami.

— Niech poszukają sobie lepszej — gniewały go te ustawiczne narzekania.

— A jak się ta pomroka nie skończy! — westchnął któryś, drapiąc się przy tym zajadłe.

— To zdechniesz razem ze swoimi pchłami. Na nic mędrkowania! A teraz spać!

Rozciągnął się, jak mógł najwygodniej i próbował zasnąć.

Huragan przewalał się w inną stronę; trzaski piorunów stawały się już coraz dalsze. Ścichaly też i głosy stad. Odlatywały wichry, bijąc omdlewającymi skrzydłami. Z wolna zapadało lute, martwiejące milczenie. Ogarniał wszystkich kamienny spokój, serca były coraz ciszej, ginęły trwogi, a potem jawił się łaskawy brat sen i niewolił cudami zapominać, że spadały zgorączkowane powieki, zgaszone lby waliły się na ziemię, i słodka lubość rozbiegała strudzonych. Wreszcie i Rex zadrzemał, miarkując jeno przed zaśnięciem jako noc prawdziwa już nadeszła. Często się jednak budził, strzygł uszami, przeciągał i węszył,

lecz, pociągawszy nozdrzami ostry posmak przymrozku, chował nos między łapy i spał dalej.

Najłżejszy szmer nie zagrał w tej śmiertelnej cichości. Zsypiska mgieł leżały martwe jak kamienie pomarłe i czasom na łup wydane. Rytm życia zgłuchnął i przytail się w bezwładzie. Mogło być już po północy, w porze, kiedy zawsze pieją po wsiach koguty, gdy Rex porwał się nagle ze zjeżoną sierścią i nastawionymi uszami. Wyraźnie słyszał znajome wołanie, głos Znajdy. Nie mógł tylko rozeznać, w której stronie. Wyskoczył z miejsca i szalonymi susami latał, zataczając szerokie kręgi. Bełkot Niemowy długo pobrzmiwał gdzieś przed nim czy nad nim, ale jego samego nie mógł dopędzić, że zaziąjany powrócił na legowisko.

— Nie zostało już po nim ani gnata! — gasił rozważaniem nagłą tęsknotę za przyjacielem. — A może wrócił do swoich i wołał na mnie? Miał odpowiedzi, pamięć wywarła na rozcień swoje czarodziejskie spichlerze i zasypała go żywymi szczętami dawnych przeżyć. Wywalonymi szeroko a ślepymi oczami zajrzał w te cudowne zwierciadła. Jakby skoczył w minione i zdało się pomarłe czasy i przeżywał je na nowo. Zaszczekał radośnie na widok dworu; bił się ogonem bo bokach, przebiegając pokoje; sprężył się do skoku, dojrawszy jamniki; gnał po rżyskach za młodym zajączkiem; łasił się, skowycząc, do nóg swojego pana; to drzemał na lwiej skórze wpatrzony sennie w dogasający na kominku ogień. Wreszcie rzucił się tak gwałtownie na jakiegoś wroga, że spadł na grzbiety śpiących obok owczarków. Majaki pierzchnęły — była jeno szara noc, cisza i śpiące stada. Nie zatęsknił jednak za przeszłością. Stawała mu się już nienawistną.

— Na wschód! Do słońca! — zaśpiewały w nim z nową siłą wszystkie jego wiary i nadzieje. Troski o stada wróciły, absorbując całą uwagę i wszystkie siły. Prężył się w sobie na dalszy czyn wybawienia.

— Wiosna nadejdzie, a tam ani jednego konia, ani jednego wołu, ni psa nawet. Pozdychają z głodu. Kto będzie za nich robił? Strumieniem gorącej krwi, wytoczonej z wroga, przepływały przez niego te słodkie uczucia zemsty nad ludźmi. Wzdrygnął się naraz, odwracając nozdrza w inną stronę, gdyż fala straszliwych fetorów zawiąła od stad.

— Podusimy się! Pilnować, żeby się tak blisko nie kładli.

— Ludziom to nic a nic nie śmierdziało. Nie zbierali to na kupy i nie wywozili? — zawarczał któryś.

— Ludzie nawet żrą wszystko, czego by nasz brat i nie powąchał.

— Kiedyż się pokaże dzień, już pora! — i wodził zatroskanymi oczami po ciemnicach, lecz nic jeszcze nie zapowiadało nawet świtania. Czuł przecież nieomylnym instynktem, że powinno już było wschodzić słońce. Owczarki wiedziały to samo. Kręcili się niespokojnie i skowyczeli pod bramą tej nieskończonej nocy, której gospodarz nie otwierał i słońca nie wypuszczał.

— Może się gdzieś w tych niebieskich polach zabląkało!

— A bo to raz się zdarza, że gospodarz zaśpi... Szczekało się pod drzwiami, aż się przebudził.

— Wracało się z nocnej stróży prosto pod komin. Ziemniaki perkotały w garnku, słonina skwierczała, ogień dogrzewał, a na dworze mróz i śnieg! Raje to były! Raje — wspominali cichutko. Przerwał im te wspomnienia grzmiący głos Rekxa.

— Na wschód! Ruszać! — leciał rozkaz nad tysiącnymi rzeszami, póki nie spłynął aż na krańce obozowiska. Stada podnosiły się leniwie; ociężałe były, przemarznięte i wygłodzone. Posłuszne z biernego przyzwyczajenia, ruszyły w dosyć karnym ordynku na przełaj przemglonych pustek. Wilcze wycia i kły przynaglały do pośpiechu.

— Gdzie słońce? Gdzie dzień? Gdzie? — szemrały smutne lamentacje.

Żurawie nie zaśpiewały im swojej codziennej pieśni porannej.

Wlekli się ze spuszczonej łbami, przystając z łada powodów i obgryzając gorzkie liście jakichś krzewów. Grube szrony trzeszczały pod nogami, zaś tu i ówdzie zarywali się na cienkich skorupach lodowych, raniących nogi jakby nożami. A przy tym ciągnęli zupełnie po omacku, w nieprzejrzanym na krok szarościach, bijąc się co chwila i potykając o jakieś kamienie, o jakieś drzewa i o siebie samych, że raz po raz wybuchały zlorzeczenia i bijatyki.

— Kulasy połamiemy! Gdzie nas pędzą? A zawsze było tak równo na polach! — pojękiwali.

Człowiek

Nie na wiele się przydawały popędzania, szli coraz niechętniej, trwożliwiej i apatycznie. Całe zagony wylamywały się z szeregów i, pozostając na tyłach, waliły się na ziemię niby podcięte kłody. Inni stawali nagle, obawiając się poruszyć z miejsca i rycząc wniebogłosy. Wilcze kły i pazury sprawiały jednak tyle, że chociaż z trudem dawało się jeszcze stado spędzić do kupy i wieść naprzód. Ale rwały się już wszelkie wiązadła i ciężko przychodziło wymuszać jakieś takie posłuszeństwo. Bowiem nieopisaną męką stawała się ta wędrówka. Zbrakło dni, zbrakło nocy i dobrze określonych pór dnia, więc wkładał się coraz większy nieporządek. Spali, kiedy im się zachciało i wstawali, kiedy się im chciało. Odpoczywali już coraz częściej i dłużej, a wyjadłszy nawet mchy i nędzne porosty, gasząc pragnienie lizaniem szronów, ruszali dalej tragicznym krokiem skazańców. Całe gromady wołały pozostawać i zdychać, niżli tak dalej cierpieć. Gasły w nich nawet nadzieje i dobiła ta śmiertelnie monotonna szarzyzna, nieustępująca ani na jedno mgnienie. Czas przy tym dłużył się niesłychanie i dorzynała ta przymusowa ślepotą. Tracili już nawet prawieczne instynkty. Już mało kto czuł noc nadchodzącą lub wstający dzień. Szli i szli bez końca, nie pojmując zali na tej wędrówce przechodzą im dnie, tygodnie czy lata! Zdawało się, jako błądzą już wszystką wieczność i zawsze tak wlec się będą w tym szarym, niezmierzonym grobie, głodni, śmiertelnie wyczerpani, ślepi, nieumarli jeszcze, ale na łup okropnej, powolnej śmierci wydani. A miłosierny dzień nie nadchodził i nie wyblysnął ani jeden litościwy promień, ani jeden. Cierpienia wzrastały się z dnia na dzień i wzrastała taka beznadziejność, że już cichły wyrzekania, milkły skargi, brakowało sił na protesty, wlekli się podobni niezliczonym korowodom sennych, apatycznych majaków, spośród których jeno⁷¹ niekiedy tryskał w niedojrzane niebo jakiś pojedynczy, wstrząsający ryk rozpacz.

Wreszcie Kulas poleciał na zwiady, nie było go dosyć długo; powrócił ze zgaszonymi ślepiami.

— Nie spotkałem słońca. Nie ma go nigdzie, nigdzie, nigdzie — skowyczał boleśnie. Leciałem na wschód; szukałem na zachodzie; i w stronie południowej przebiegałem mgławicę, i wszędzie ta sama okropna, nieprzenikniona noc. Nigdzie ani jednego promienia! — rozpacz.

Potem Rex poniósł się w świat na swoim czarnym ogierze, jak wichra trącając wszystko po drodze. I również powrócił z niczym. Krwawa piana ściekała mu z kłów, a ślepia ponuro świeciły. Rzucił się na ziemię przy owczarkach i długi czas jeno dyszał z utrudzenia. Wieść się piorunem rozniosła o jego wyprawie i pokrótce otoczyły go zniecierpliwione cizby, pragnące choćby nadziei.

— Na wiele marszów jeszcze noc przegradza — nie chciał i bał się wyjawiać całą prawdę. — Spotkałem żurawie... śpiewały jako za parę dni zrobi się jaśniej... widziały słońce... powraca na ziemię... Nie bójcie się... Jeszcze parę dni przetrzymać! Cierpliwości... Odwagi... — bełkotał uroczyście.

— Czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilcy zjedzą! — warknął jakiś niezadowolony z relacji.

— Tylko człowiek może nas wyprowadzić z tej matni — rozbrzmiał zuchwały ryk.

— Milczeć! Zginie, kto powtórzy tę nazwę — srożył się Rex wyszczerzając kły.

— Słusznie — przytwardził Kulas — a tymczasem giniemy, na stadach już skóra i kości...

— Tu cię boli — zaszczekano urągliwie. — Brakuje ci już tłustego mięsa.

— Gnaty wyschnięte, bez szpiku, to nędzne wióry.

— Wilki już kładunami zamiatają ziemię, a jeszcze się żalą — doszczekiwały psy.

— I wy nie żywicie się trawą! Marzycie o ochłapach z chałup, o śmietniskach...

— Bodaj ci ozór sparszywia! Musimy żywić się padliną i czym się da. Nie mordujemy.

— Nie bronimy wam resztek... Możecie sobie używać...

— Obrzydły śmierdzieli! Raczej głodowa śmierć niżli resztki, cuchną wami na pół dnia drogi. Może dobre dla lisów i sępów!

— Psom ani wilkom nie pilno do końca drogi.

— Naszym kosztem żyją! — podnosiły się głosy w różnych stronach.

— Gdzie jest słońce? — zerwały się naraz groźne ryki. — Prowadź nas! Dosyć mamy

Słońce, Ciemność

⁷¹jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

wędrowki! Nam zimno, ciemno, głodno i strasznie. Ratuj, bo zginiemy! Powróć nam dzień!

Rex, w obawie gorszych następstw, skoczył na ogiera i, otoczony potrójną szczecią wilczych i psich kłów, przedzierał się wskroś wzburzonych tłumów i uspokajał.

— Już niedaleki czas — szczełakał rozgłośnie. Słońce czeka nas za mgłami! I zanim przeżyjemy parę odpoczynków, zaświeci nam w oczy, ogrzeje i znowu cuda świata pokaże...

— Nim słońce wejdzie, oczy rosa wyje...

— Ta noc pożre nas co do kopyta... Gdzie są te raje! Obiecywałeś! Prowadź do nich.

— Są przed nami... Wkrótce dojdziemy do nich... Nagroda czeka wytrwałych i mężnych... Zginą jeno wąpiący i małoduszni. Którzy zaś wszystko cierpliwie przetrzymają, godni będą szczęścia...

— Daj nam jeść! Daj nam pić! Daj nam schronienie! Zdychamy!

— Wytrwajcie! — zawył ze wszystkiej mocy. — Wnet się skończy nasza niedola! A zapamiętajcie, że nieszczęścia, jakie nas spotykają, człowiecza podłość sprawiła. To oni zatopili nas mgłami, to oni przysłonili nam słońce, to oni nas głodzą i prażą zimnami. Mszczą się na nas. Pragną nas złamać i przymusić nas do powrotu. Chcą nas zniewolić męką głodu i nocy, pod baty i jarzmo. Nawet lada chwila mogą się zjawić między nami, aby kusić słabych i wąpiących. Śmierć podstępny tyranom! Będą was nęcili obrokami i łaskawością. Nie zawierajcie tym plugawym węzom, bo krew z was pić będą, jak dotychczas pili. Za miarę nędznego pożywienia znowu obrócą was w niewolników. Nie dajcie się! Skończyło się ich panowanie. W górę serca! Nie sprzedawajcie krwi okupionej wolności! Wytrwajcie, a znowu waszymi będą wszystkie pełne stodoły i brogi; wszystkie pola i łąki! I słońce będzie wasze, i ciepło, i zdroje rzeźwiące. I luby cień w upały mieć będziecie, i schroniska przed pluchami, i miękkie podściółki! A żadnego przymusu, żadnego podatku pracy i krwi, żadnego obowiązku, nawet obowiązku wdzięczności. Towarzysze, przyjaciele, bracia, świadczę wam całą mocą pewności, jako nadchodzą dni nieskończonej szczęśliwości. Już je widzę, już je czuję, już są za tymi mgłami. Widzicie blade jeszcze zorze tam, na wschodzie, świtania porę już głoszą te święte gońce dnia niedalekiego... — wył ze lwią siłą i odpowiedziały mu ryki podobne do radosnych, wiosennych grzmotów. Kładli się też potem na odpoczynek, głodni wprawdzie, lecz pełni ufającej nadziei.

— Łgałeś niby żydowski kundel — warknął Kulas, rozciągając się obok niego. — To było dobre dla tego bydła, ale ja żądam prawdy. Muszę ją poznać! Przyznaję, jako dotychczas mieliśmy setną wyzerkę. Niektórzy z moich pozapuszczali sobie kałduny. Jednak zaczyna mi tu cuchnąć... Muszę myśleć o sobie. Wasz bunt może się źle skończyć dla nas. Nie dam obgryzionego gnata, że jutro nie zawrócicie. Nie potraficie żyć na wolności. Ludzie na wasz powrót wystawią najlepsze obroki, a nas przyjmą kulami. A jeśli to głupie bydło, doprowadzone głodem do szału, weźmie swoich wodzów na rogi i pod kopyta! Nie lubię ścisków! Za wielka hańba, żeby syn mojego ojca został rozszarpany przez ryje. Dziękuję nam za wielkie różnice. Wolni jesteśmy od prawieka i wolnymi zostaniemy. A wam ciężko bez bata, chlewów, łańcuchów i gotowej michy. Zbuntowałeś stada i w imię czego? Że będą żarli, wylegiwali się, płodzili, żyli bez troski i zdychali śmiercią pasibrzuchów. Nie dla nas wilków takie ideały! Naszym żywiołem walka, podstęp, zwycięstwa i swobodna gra życia! Nawet śmierci nie dajemy się dobrowolnie — zwierzał się Kulas z zadziwiającą otwartością. — Prawda, że dzień zaraz powróci? — niespodzianie zapytał.

— Powróci — szczełakał kłami, wzburzony jego szczerością. — Żurawie leciały z tą nowiną.

— Nic nie wiem, że spotkałeś się z nimi.

— Tropisz za mną, ty zawszony worku! — uniósł się gniewem.

— Straże poszły jak zwykle. Nie wzbraniałeś — odsunął się nieco od niego.

— Nie potrzeba mi waszej opieki! Nic mi nie grozi pomiędzy przyjaciółmi.

— Z pewnością, ale jednak jakieś bratnie kopyto, jakieś przyjacielskie rogi, jakiś wierny ryj mogą niechcący zawadzić o twoje boki, to się zdarza i wśród przyjaciół — dworował łagodnie.

— Oddani mi są. Przecież ich wyprowadziłem z domu niewoli. Jestem im wodzem i bratem.

Niewola, Nadzieja

— Właśnie dlatego bezpieczniej trzymać się od nich na pewien dystans! I nie powinni o tym wiedzieć.

— Nie pojmujesz naszej społeczności. Rozumiesz jeno mord i zagładę! I zbójckie sposoby...

— Nie lubię szczekania, udającego mowę. Masz się za najmędrszego. Brałeś od ludzi kije, ale nie wziąłeś ich rozumu! Struleś się pychą. Nigdy nie byłeś wolny i nigdy nie zrozumiesz wolności. Cóż cię połączyło ze stadem? Nienawiść do wspólnych panów. I zamiast skoczyć im do gardzieli, napić się ich krwi, i wziąć kłami zemstę, zbuntowałeś przeciwko nim tę niewolniczą hołotę, a zarazem musiałeś iść na służbę głupiego bydła! Znikczemniałeś, psie! A jeśli nie masz swoich ukrytych celów, a jeno ich szczęście i dobro, toś głupszy po stokroć, przypuszczając, że można z nich utworzyć wolny naród. A może zapachniała ci władza! Nie rozumiem smaku panowania nad baranami. Streśćmy ostatecznie: po cóż istnieją te wszystkie rogi, kopyta, ryje i jak się tam nazywają? — Żebyśmy mieli co jeść. My prawdziwie wolni, jedyni panowie i władcy puszczy i pól! Tylko człowiek od nas możniejszy, ale ty i tego już nie rozumiesz...

— Dlaczego poszedłeś z nami? — posłyszał wyrzut Rekxa.

— Bo cię kocham, psi bracie. A potem, chciałem zmienić krajobraz, towarzystwo i przewietrzyć sobie futro. Ale znudziła mnie już ta socjeta⁷². Niewyleczalne chamstwo i przy tym tak głupie, że nie budzi nawet współczucia. Świeże mięso i nic więcej. Wobec tego wszelkie zainteresowanie intelektualne upada — prowokował go z rozmysłem.

— Przysiągłeś posłuszeństwo — przypomniał twardo Rex — potrzebny mi jesteś.

— Do popędzania leniwych i budzenia pokornego strachu przed władzą. Służymy ci wiernie.

— Mogłyby coś o tym zeznać owce...

— A czyż jest do pojęcia sytuacja, żeby owca zjadała wilka? — Aż kałdun zadygotał mu z uciechy. — Lubię się zastanawiać nad celowością w przyrodzie. Przecież byłoby wbrew wszelkim prawom logiki, żeby np. barany zdychały ze starości!

Rex milczał i zasnęli równocześnie. Obudziło ich przenikliwe zimno.

— A dnia jak nie było tak i nie ma! — zaskamlał Kulas, otrząsając się z lodowatych szronów.

— Przyjdzie! Rzekłem! — odparł dumnie Rex i dał hasło do ruszania w drogę.

Stada ruszyły w dawno niewidzianym porządku i z radośnie wzmogoną energią.

— Jeszcze trzy odpoczynki — objaśniały psy. — Jeden, i jeden, i jeden!

Pierwszy etap posuwali się z pośpiechem, drugi z gorączką; trzeci pędzili owładnięci szaleństwem, ale dzień nie zajaśniał. Ciężkie przesłony mgieł nie rozdarły się ani na chwilę. Szara, nieprzenikniona ściana odgradzała ich ze wszystkich stron i zamykała od światła i słońca.

Szalały nagle rozbudzone nadzieje i duszę przysłaniały ciemnice rozpacz. Zbrakło im naraz sił i woli do dalszej wędrówki, że walili się na ziemię dziesiątkami tysięcy — walili się jakby w objęcia miłosiernej śmierci, ale śmierć nie wybawiała; sen też nie chciał koić utrudzonych, a nawet odpoczynek nie dawał sił ni zapomnienia. Więc, porwani szaleństwem nieszczęścia, pędzili w cały świat, gdzie nogi poniosły, dopóki starczyło tchu, popędzani głodem i strachem.

Ile im przeszło takich strasznych nocy i dni, któż wiedział? Jeno to stało się wszystkim wiadome, że nigdzie nie ma dnia, nigdzie nie ma słońca i nigdzie nie ma końca tej wiecznej nocy.

— Tylko człowiek może nas zbawić! — zawyrokowały świny na jakimś odpoczynku.

— Niemowa chciał nas ratować i wypędził go! — wspominali jego dawni spiskowi przyjaciele.

— Bo chciał nas wydać z powrotem na pastwę ludziom! — objaśniał jakiś niezłomny.

— A niechby wydał! Co nam po wolności! Giniemy! Noc nas pożera i głód! Oszukali nas.

— Do domu! Do ludzi! — załkały w ciemnościach niepojęte jeszcze tęsknice i bunty.

Nikt nie zasnął w tej porze zwykłego odpoczynku. Głuche wrzenia ogarniały coraz większe masy. Poczucie strasznej krzywdy zaczynało się wykuwać pod twardymi czaszka-

Wolność

⁷²socjeta — towarzystwo. [przypis edytorski]

mi. Wreszcie przyszło zastanowienie i naraz wszystkim stało się jasnym, że oddali się na łaskę i niełaskę Rekxa. O dolo nieszczęsna! Przecież to tylko pies, jakiś bezdomny zbuntowany pies! O przekłętą godzinę szaleństwa! I dokąd ich doprowadził? Na samo dno nieszczęścia! I czymże ich uwiódł i wyrwał z prawiecznych gniazd i legowisk, z prawiecznego bytowania? Głupią bajką o szczęściu! Nędznym mamidłem. Niczym były przecierpiane głody, zimna i choroby; niczym wobec tej nieskończonej nocy, wobec tej męki błakania się w oślepych tumanach, wobec tych szarych, pustych bezkresów. Pozostała im jeno śmierć, jako jedyna wybawicielka. Jeszcze bowiem kilka takich etapów, a padną wszyscy. Uciekać! Uciekać z powrotem! Dźwignęła się olśniewająca myśl. Wszędzie noc! Jak się z niej wyrwać? Gdzie uciec? Stada wątpliwości sępimi dziobami zaczęły szarpać i rozrywać. Człowiek nas wywiedzie! Błyskawica zamigotała w oślepych oczach. Człowiek nas zbawi! Modlitewny szepł spłynął kojącą rosą nad obozowiskiem — pokorą był, strachem i lęklwym błaganiem. Człowiek! Radosnym rytmem stawały się oddechy. Kotwica zapadła na samym dnie serc. Niech biją pioruny, niech szaleją huragany, już zawinęli do bezpiecznej przystani, słodka fala unosi ten korab⁷³ zbawienia i tak kołysze, tak utula, i tak czarownie śpiewa o utraconym szczęściu.

Zimno było na świecie. Przymarzały oddechy. Cisnęli się do siebie. Okropna niedola jednoczyła nawet wrogów. Nagle rozbudzona nadzieja rozplomieniła się w przyjaźń i współczucie. Jeden dla drugiego zapragnął być bratem. Owce wzięły między siebie dygocące z zimna świnię. Kłaczę szukały ciepła pomiędzy psami. Potężne żrebce z dziecinną ufnością przyciskały się do kudłatych wilków. Nawet owczarki, strażujące na krańcach obozowiska, pokładły się przy krowach. Szukali u siebie ciepła i pocieszenia. Ogarnęło wszystkich bezwładne milczenie wyczerpania. Jeno przez mózgi snuły się jakieś fantastyczne mamidła; mrowiły się niepochwytne szepty, a czasami głos jakiś rozbrzmiał i skonał bez echa, że drgały uszy i podnosiły się łby. Niekiedy zdawał się przeciągać zapach koniczyn i młodych zbóż; długo wchłaniały go rozdęte nozdrza, zanim przemienił się w ostry fetor gnojowisk, w jakich leżeli. Jęki żegnały te łube złudzenia. Bronili się, jak mogli przed nimi, głowy jednak śniły na jawie jakieś niewyraźne dziwadła, cuda zamglonych wspomnień i sprawy jakby nigdy nieistniejące. Aż wreszcie, kiedy sen odleciał, a przywarte ciężko ślepią zaczynały widzieć dalekie i dawne, zwała się na nich tęsknota. Powstała z tych udręć, strachów i nędz niby trujący opar z bagnistych trzęsawisk. I zagarnęła ich potężną falą, miotając z furią pod nieba, w lodowate pustki bez słońca i gwiazd, to strącała w otchłanie, na samo dno przerażeń, lęków i zgrozy. A zanim ochłonęli, już wynosiła na jakieś płaskie brzegi cichych, sennych zatok, skąd same oczy leciały w nieskończone dale, w rozslonecznione przestworza, na pola, pachnące dymami ludzkich osiedli. To znowu, niby orzeł jagnię bezbronne, porywała serca w drapieżne i okrutne szpony żalów, rozpacz i męki szarpiącej niestrudzenie. A po chwili zwała się straszliwym ciężarem i miażdżyła bez miłosierdzia, tarzała w błocie, dając odczuć całą okropność bytowania bez słońca, bez jutra, i nawet bez nadziei. Zaczęli się zrywać, przewracać z boku na bok, biegać w kółko, drzeć kopytami ziemię i uciekać w cały świat. Nie zerwali łańcuchów, tęsknota węzłowymi skrętami obwijała duszę i dusiła coraz okrutniej. Chrapliwe jęki wydierały się z gardzieli, ciężkie łby tłukły o ziemię, i ten dziwny, niewypowiedziany ból tak szarpał, że padali w śmiertelnym wyczerpaniu, zdając się już na łaskę i niełaskę. Polały się palące łzy, i męka zaczynała się zwiastować dziką rozkoszą i upojeniem. O śmierci, wybawicielko! Załkały wszystkie istnienia. Naraz z ciemnych lochów jęły wypęlać majaki jakichś wspomnień. O lasko przenajświętsza! Zmartwychwstawały pomarłe dnie. W zdumionych obłędnie ślepiach zagrały jakieś pola spanoszone wiosną, jakieś żrałe lata, jakieś długie ciche noce, i coś w nich rozbrzmiało jakby pieśnią dawno gdzieś słyszaną. O cudzie błogosławiony! O czym to? O czym? Rozwiewały się mgły, bielma spadały z oczu. Jak to było? Kiedy to było? I gdzie? Ze drżeniem niedowierzań grążyły się w rozchwiane obrazy. Dawni panowie snuli się między nimi; ich oczy straszliwe połyskiwały w ciemnościach, ich głosy, budzące dreszcze trwogi, rozlegały się nad przytajonymi do ziemi łbami. Ale, o dziwo, nikt się już nie obawiał. Słodka niemoc pokory obezwładniała serca. Jęzory chciały dotykać tych rąk dobroczynnych, same grzbiety i łby przeżyły się pod ich łaskawe pogłaskania. Jakiż spokój ogarniał duszę! Jak kiedyś, jak daw-

Zima, Rozpacz

⁷³korab (daw.) — okręt. [przypis edytorski]

niej, jak bywało zawsze. I przypomnienia słodką mgłą czadów spływały zapachami obór, pól i obroków. Jakies zmierzchy nagrzone, w zorzach zachodu, przytrzaśnięte złotawą kurzawą dróg, pełne ryków, turkotów. Wracają gromadami, wracają z ciężkimi kałdunami, wracają syci. Ludzkie szczenięta wrzeszczą, czasem które z nich chlapnie batem! Matczyne polizanie nie byłoby słodszy. Skrzypią studzienne żurawie, pluska w korytach woda chłodna, rzeźwa, upajająca. Spracowane gnaty boją, co za rozkosz położyć się na suchej słomie i w mroku i ciepłe, przy usypiającym brzęczeniu much. I nie potrzeba się o nic troskać. Oddać się jeno panu, a już jego głowa, żeby nam na niczym nie zbywało. Przecież tak było od prawieków, od tysięcy pokoleń i tak być powinno zawsze, zawsze... Mrowiły się wspomnienia, wydobyte żrącą tęsknotą.

— Tylko głupi buntują się przeciwko odwiecznym prawom.

— I za pogwałcenie płacą ciężkim haraczem.

— A było mnie słuchać! Wiedziałem, na czym się skończy! — mamlął zgryźliwie Srokacz, stary wół z obłąconym rogiem.

— Ten parszywy pies okradł nas ze wszystkiego. Cóż mi z tej ocalonej wełny! — zabeczał baran.

— Ukradł nam szczęście, ukradł nam życie; wywiódł na tułaczkę i nędzom dał na pastwę.

— A było mnie słuchać! — usiłował przeryczeć wszystkich wół, wysuwając się na czoło.

— Rex winien i Kulas! Zatrutować! Roznieść na kopytach! — srożyły się barany.

Przytwórzył im ogólny ryk i długo lkał żalami, skargą i gniewem.

— Dosyć tej pogoni za niczym! Wracajmy!

— Upaśli się naszą nędzą. Już spasionymi kałdunami zamiatają ziemię.

— A tak pięknie prawili, tak czule i tak wzniośle! — narzekała żałośliwie stara maciora.

— W brzęczącą siatkę obietnic zawsze ułowi głupiego! — prawili sentencjonalnie Srokacz.

— Gdzie jest Niemowa? Zawsze był z nami. Pamięta drogi powrotu i łaskę nam wyjedna.

— Niech nas poprowadzi! Niemowa! Niemowa! — nawoływały coraz liczniejsze głosy. Zaczęli za nim tropić wśród ciżb i w ciemnościach. Ktoś widział go niedawno. Ktoś z rozrzewnieniem wspomniął jego buntownicze namowy do powrotu. Ktoś rozwodził się o jego rozumie i dobroci, a wszyscy jeszcze go mieli w oczach, jak jechał przed nimi na ogromnym ogierze. Zawrzało w gromadach, rozbudziły się nagle nadzieje ratunku. Wszystkie ślepia brodziły w mgłach za tą nikłą postacią. Co chwila wołano za nim w innej stronie. Gorączka rozpaliała wyobraźnię. Szukali go coraz niecierpliwiej. Szukały go oczy, wołały głosy, leciały ku niemu westchnienia. Krew buchala do łbów, szaleństwem błyskały ślepia. Stawał się jedynym zbawcą, wskazanym przez rozpacz, i jedyną, ostatnią nadzieją, że wreszcie dojrzały go jakieś utęsknione oczy i wskazały drugim.

— Tam jest! Przed nami! Widzicie! Wskazuje ręką drogę!...

Wszyscy go wraz zobaczyli: olbrzymi majak znaczył się w mgłach tak, jak go pożądały serca.

— Za nim! Niech wiedzie! Prowadź nas! Ratuj! Wybaw! Za nim!

Targnął się ryk podobny grzmotom i wszystkie gromady runęły za tym majakiem.

Pozostał tylko Rex z najbliższymi, nie pojmując co się stało.

— Powróć! — uspokajał Kulas — polecieli szukać słońca. Alboż było wie, co robi?

— I znowu namarnują się bez liczby.

— Zostanie jeszcze tyle, że starczy dla nas.

— Nie szczekaj głupstw! Bardzo mi ich żal. A do szczęścia jeszcze daleko...

— Litość jest cnotą niewolników. Przez głupią litość giną królowie i królestwa.

— Wilcze zasady! Kłami zapanujesz nad światem, ale go nie utrzymasz.

— Słuchajże, królu niewolników, ja nie chcę panować, ja chcę tylko żyć dla siebie... żyć wolny!... I spierali się dalej, a tymczasem oszalałe gromady rwały ze wszystkich sił za Niemową. Zdawali się go widzieć tuż przed sobą. Na szarym tle nocy majaczył olbrzymim zarysem, pędził na koniu, rozwiana od ruchu płachta spływała mu z ramion czerwona chmura, skudłane, konopne włosy lśniły księżycową poświatą; przyciskał księżniczkę do piersi, a prawą ręką wskazywał gdzieś przed siebie. Parli się zwartymi szeregami, nie

Bunt, Kara

Przywódca, Nadzieja

spuszczając z niego oczu. Huczeli jak niepohamowana fala, łamiąca wszelkie przeszkody po drodze. Rozumieli tylko jedno: oto wracają do swoich siedzib; wracają do ludzi, wracają do utraconego szczęścia. Co chwila rozgłaszały się triumfalne, radosne ryki. Unosili się jakby na skrzydłach. Czuli już w nozdrzach zieloną ruń pól, skowronki rozdzwaniały im w duszach, pachnący młodą zielenią wiatr ochładzał zgorączkowane ślepia. Prędsiej! Prędsiej! Prędsiej! Wybuchwały coraz gwałtowniejsze zniecierpliwienia. I ani kto pojmował, jak długo już trwa ta pogoń za chimerą. Ani kto skarżył się na jej trudy i cierpienia. Tysiące osłabłych pozostawało w tyle, tysiące marło pod kopytami własnych braci, ale reszta pędziła bez wytchnienia. Jeszcze jeden skok, a odsłoni się dzień, pokażą się wsie, rozbłyśnie słońce! Prędsiej. Naprzód. Prędsiej.

W jakimś nieoczekiwanym mgnieniu, uderzyli łbami o rumowiska skał, że wielu rozbitych stoczyło się w niedojrzane przepaście. Zagroziły im drogę czarne, leniwie rozkołysane wody, z których nieustannie biły w czarne, asfaltowe niebo olbrzymie słupy ognia. Jakieś potworne skrzydlate stwory migotały w krwawych oparach. Ziemia się trzęsła. Nadbrzeżne skały waliły się wciąż w gruzy. I nic nie głosiło się nawet szmerem. Nawet ryki przerażeń skonały w oniemiałych gardzielach. Umarłe milczenie panowało niepodzielnie. Widmo Niemowy rozwiała się w tych grobowych pustkach. Okrwawione fale jęły cicho nabrzmiewać, podnosić się i długimi jęzorami zmywać najbliższej stojących. Co-fali się przerażeni nowym niebezpieczeństwem. Wody jakby spięły się za nimi i, groźnie spiętrzone, sięgały coraz głębiej, zabiegały z boków i przyczajonym, nagłym rzutem chwyciły drapieżnymi skrętami.

Śmiertelny strach odrzucił ich daleko i popędzał w dzikiej, szalonej ucieczce...

Lecieli bez pamięci i celu, że uderzyli w jakieś kolczaste nieprzebyte zarośla. Zawrócili w przeciwną stronę i po długim biegu wpadli w moczary, zionące zabójczymi wyziewami, gdzie pełzały zielonawe, błędne ogniki, podobne do wilczych ślepiów. Zawrócili znowu i z uporem rozpaczli szukali wyjścia w innej stronie. Krążyli w jakimś zaklętym kole, nie mogąc się z niego wyrwać za żadną cenę trudów i cierpień. Pragnęli dnia, choćby lśnienia gwiazd, choćby najbłedszych świtań, a mgły wciąż przysłały świat, wciąż wisały wełniste, nieprzejrzane chmury i wciąż błąkała ta wieczna, nieskończona noc. Nigdzie nie było wyjścia i nigdzie nie było ratunku. I na próżno przekrwione męką oczy szukały Niemowy. Na próżno wyły za nim wszystkie tęsknoty, że noc rozjęczała się żalosną skargą i sierocym płaczem ginących.

Zdali się być jako morze na wieki uwięzione w skalistych ciasnych brzegach i wiecznie szamocące się z przeznaczeniem.

VII

Musiałoby już być nad ranem, kiedy Rex, śpiący na wzgórzu pod osłoną krzaków, otrząsnął się gwałtownie z rosy, spływającej obficie z obwisłych gałęzi. Pociągnął nozdrzami — przewiewał jakiś wiatr wilgotny i nagrany; mgły się też dziwnie kłębiły, ocieplone powietrze zwiastowało odmianę. Otrząsnął się raz jeszcze i, przewlekłszy ślepiami po wzburzonych ciemnicach, jakby zmartwił w zdumieniu: tu i ówdzie prześwitywały gwiazdy. Opadł na ziemię, przytulił dech i dopiero po długiej dręczącej chwili podniósł znowu głowę do góry: wysoko, ponad raptownie opadającymi mgłami, lśniło tysiące gwiazdnych migotów. Nie wyskoczył z miejsca, nie zaszczekał, nawet nie poruszył się a jeno, przyciszając rozdygotane serce, wpijał się zgorączkowanymi ślepiami w te srebrzyste skrzeczenia. Oblał go war i wstrząsały takie upalne dreszcze, że raz po raz chłodził się, polizując mokre liście i gałęzie.

Mgły, rzędząc, opadały i na granatowych łąkach niebios coraz bujniej rozkwitały promieniste kwiaty gwiazd.

— Znowu świecą! — zaskomlał w sobie, bojąc się spłoszenia tej wizji. Miał ją za senne przywidzenie, więc żeby jej nie rozwiać i nie spłoszyć, przywierał mocno powieki, aby je po mgnieniu podnosić z wolna, ostrożnie, wyczekująco.

Ale cud trwał.

Długo kontemplował w pokorze niemych dziękczyniń, wstrząsany dreszczami szczęścia. Mgły zbiegającymi kołtunami zasypywały ziemię, że już miejscami wychylały się spod nich łysawe wzgórza i czarne wierzchołki drzew.

Cud

— Dzień nadchodzi — wzbierał w nim radosny, oszalały krzyk.

Naraz porwała go chęć skoczenia pomiędzy śpiące stada; zapragnął budzić je i szczekać i wyc na wszystek świat tę wieść cudowną — jako skończyła się straszna noc i za chwilę wszędzie słońce. Nie mógł się jednak poruszyć, nie znalazł nawet mocy do uderzenia się po bokach ogonem, jeno, silniej przywarłszy do ziemi, zadygotał, szczękając febrycznie kłami.

A dzień stawał się jak zwykle; niebo bladło, przygasły gwiazdy, na wschodzie zaczynały tlić się pierwsze różane zorze, zaś na ziemi pod wzburzonymi mgłami roznosiły się zwyczajne o tej porze kapele sapań i sennych porykiwań. Stada spały w najlepsze.

Zaniepokoił go ten sen dziwnie twardy, jak mu się zdawało.

— Wielu już się nie porwie na blask słońca — dumał, nie budząc jednak nikogo. Spreżył się nagle i zuchwałymi ślepiami uderzył w rozchylające się wrota wschodu — znowu wiedział dokąd poprowadzi gromady.

Naraz w niedojrzanych wysokościach zaszumiało tysiące skrzydeł, i rozdzwonił się klangor⁷⁴ żurawi — znaczyły się w białych świtaniach ledwie szarzącymi kluczymi. Krzyk spływał coraz niżej i potężniej, aż rozbudziwszy stada, porwał się znowu w górę i popłynął w stronę dalekiego jeszcze słońca.

Zawyły wraz wilki, a reszta jęła się ciężko podnosić.

Kulas zjawił się wielce roztrzęsiony zdumieniem.

— Żurawie. To i dzień się wnet zrobi.

— Mówilem! Oszaleją na widok słońca — zawarczał Rex, wydając hasło pochodu. Ale jakoś nikomu nie spieszyło się w drogę. Rozglądali się po niebie i ziemi ogłupiałymi, przerażonymi ślepiami, zupełnie jeszcze nie pojmując tej cudownej przemiany. Bolały ich gnaty, głód doskwierał, a śmiertelne znużenie tak wyczerpało im wszelkie siły, że nie potrafili odczuć własnego zbawienia. A kiedy już resztki mgieł obwisły białymi strzępami po krzakach i szary dzień zajrzał w ślepią, oglądali się ze zdumieniem, jakby wyzbyci pamięci dawnych swoich postaci. Cofali się jedni przed drugimi, niby przed niepojętymi zjawami. A przy tym wyglądali strasznie: skóry wisiały na nich podartymi łachmanami; utytlani w błocie po grzbiety, pełni ran, wrzodów i gnoju, dawali z siebie obraz obmierzłej, zaledwie poruszającej się padliny. I całe obozowisko pokazywało się jednym morzem smrodliwego błota, rozbijanego ustawicznie tysiącami nóg. Podnosili się niechętnie, z jękiem głuchej rozpacz i jakby jeszcze nieszczęśliwsi w tych brzaskach świtań. Jakaś niewytłumaczona nienawiść i wstręt odpędzały ich od siebie. I nie oszaleli z radości, jak Rex przypuszczał, ale przeciwnie, te jasne, mądre oczy dnia, pokazującego nieubłagane wszystką rzeczywistość, wzbudzały w nich gorzkie żale i niepokoje — jątrzyły im oczy purpurowe zorze wschodu, bolały rozkwitające na niebie zagony seledynów, przerażała sama jasność, w której wszystko jawiło się w swojej zwyczajnej a jakiejś okropnej postaci. Zobaczyli się w niej tak nędzni, mali i wydziedziczeni, i poczuli się zarazem jakimś nieszczęsnym stadem istot, wydanym na nowe cierpienia. Rozpaczliwe ryki rozdarły powietrze i przewalały się nad obozowiskiem jak burza długo niemilkąca. I pomimo wilczych kłów i psich naszczekiwań, stada nie dały się ruszyć z miejsca.

Niewytłumaczony strach szarpał jakby pazurami. Bali się tego nadchodzącego dnia; w te długie, bezlitosne noce zapomnieli o sobie, zapomnieli nawet o życiu i z rezygnacją spokojną staczali się do rowów śmierci. Tak już dobrze im było tylko tęsknić, przeklinać i zdychać. Tak dobrze było zapomnieć o sobie i czuć się jeno ślepa i bezwolną częsteczką ogromu. A ten straszny dzień budzi z drzemki śmiertelnej, przymusza do życia i myślenia o sobie. Któż znajdzie siły do podźwignięcia takich ciężarów? I gdzie to znowu muszą wędrować? I po co? Dawne wiary i nadzieje pomarły w nich ze szczętem. I jakby po raz pierwszy zobaczyli nad sobą blade rozłogi nieba, poszarpane grzbiety gór, i dalekie, puste przestrzenie świata. Straszne wydały się im te ogromy i tak miazdzące, że potworny lęk odbierał resztki przytomności. Rozdrażnienie, wzmagające się co chwila, doprowadzało już do szaleństwa; tu i ówdzie zahuczały głosy wściekłości, kopyta orały ziemię i biły wściekle, a nagły, niepohamowany gniew rzucał jednych na drugich. Tratowano się i rozbijano bez powodu. Budziły się dawno zapomniane urazy i pretensje. Każdy czuł się pokrzywdzonym i mścił się na drugich. Dziki, swarliwy zamęt ogarniał obozowisko, a na domiar złego,

Strach, Krzywda

⁷⁴klangor — charakterystyczny odgłos wydawany przez żurawie. [przypis edytorski]

nieprzeliczone ciągi drapieżników zaszumiały nad łbami. Całe chmury kruków, sępów i orłów nadciągały z północy i, krążąc coraz niżej, krakały, wypatrując żeru. Niekiedy spadały stadami na leżących pojedynczo, rozdzierając ich w mgnieniu oka. Nie obawiały się kopyt ni rogów. Dopiero wilki dały im skuteczną odpawę, ale obsiadły wszystkie drzewa, krzaki i wzgórza, wyczekując cierpliwie sposobności.

Słońce wyniosło się nagle zza gór, ogromne, czerwone, niby oko wylupane i krwią ociekające, wszystek świat stanął w lunach i w milczeniu.

Owce rozlekały się niemilknącym bekiem, reszta stała w niemym podziwieniu.

— Beczą jak głupie — zawyrokowały zniecierpliwione krowy, odwracając się od słońca.

— Ledwie się zagrzałem a tu dźwigaj znowu gnaty — wyrzekał stary wół, Srokacz — pokazują dzień, a potem go schowają. Wielka mi rzecz: słońce!

— Nie widziały zadki słońca, ogorzały od miesiąca — urągała jakaś maciora.

— Dają słońce, a gdzie pasza, gdzie świeża woda, gdzie obory?

— I w takim gnoju nas trzymają, pod gołym niebem.

— Gdzie to mamy znowu wędrować? Szukać wiatru w polu!

— Wszędzie wiatr w ślepią wieje! Wszędzie psi boso chodzą! — huczały wyrzekania.

Rex, zniecierpliwiony do ostatka, ponowił rozkazy ruszania naprzód.

— Wodzą się za łby. Wyrzekają i ani chcą słuchać o wyruszeniu — meldowały owczarki.

— Dlaczego? Plakali na noc — jest dzień; tęsknili za słońcem — świeci; narzekali na zimno — niegorzej grzeje; cierpieli głód — tam się nasycą. I nie chcą się ruszać?

— Właśnie teraz to wszystko im się nie podoba! Któż pojmie ten motłoch — odwarknął Kulas.

— Mamili nas nocą, a teraz mają dniem. Nie wiercie psu, nie słuchajcie. Sami sobie damy radę, nie potrzeba nam psich rządów. Chcą nas do reszty wytracić! — podniosły się z różnych stron przeciągłe ryki wołów.

— Trzeba to bydło nauczyć rozumu — zaskowyczał Kulas przez rozdygotane kły.

— Naucz ich! Najwyższa pora, bo ja nie wiem już co robić — odwarknął Rex, zapatrzone w skłębione stada. Rozpacz nim miotała, rozpacz bezsilności, gdyż niepodobna było nikomu trafić do rozsądku. Obozowisko stało się nieustającym wiecem rozjuszonych i ogłupionych bydła. Wszystkie głosy pomieszanych stad wrzały bełkotliwie i chaotycznie, przewalając się od brzegu do brzegu obozowiska.

Słońce już było wysoko, ciepłe i promienne, niebo rozpinało się błękitną, cudną oponą, pachniało powietrze, dalekie góry polśniewały śniegami, a całym światem szły rzeźwe, upajające podmuchy wiosny, ale zwierzęta głuche na wszystko i jakby ośleple nawet na zieleni pól dalekich, zjuszone wzburzeniem, nie wiedziały nawet co się z nimi wyprawia. Co pewien czas wysuwało się któreś na czoło i dawało wyraz powszechnego gniewu, niepokojów i bezradności, ale po chwili, ni z tego ni z owego, zbite, strątowane i wyrzuczone sromotnie za obręb, konało pod dziobami czyhających drapieżników. Stary, dworski wół, Srokacz, że był ogromny i najgłośniej ryczał, więc też najdłużej gardłował, próbując zbawiać towarzyszy, jeno że nie wiedział, jak. Musiał w końcu ustąpić miejsca jakiemuś buhajowi, który, rogami wymusiwszy sobie posłuch, podniósł potężny łeb i długo mełł ozorem, bił raciami ziemię, ryczał, aż się rozlegało, ale tylko jałówki, wpatrzone rozgorzałymi ślepiami, dawały mu posłuch i gotowe były na jego wolę.

— Co taki wie! Trzymali go, żeby nie zbrakło⁷⁵ cieląt i będzie się tu mądrzył — zaprotestowały konie, odganiając go precz.

Potem świnię wystąpiły z mądrymi racjami, coś kwiczały jedna do drugiej, wytrząsając ryjami, gotowe cały świat zryć i na wszystko się ważyć, a rady zbawiennej też dać nie potrafiły. Powstawał jeno z tego wiecowania coraz większy zamęt, rozdrażnienie, bójk i ogłupienie. A wciąż wychodziło, że nie chcą ruszać z Reksem, nie chcą wracać do ludzi i nie chcą pozostawać na miejscu.

Już słońce przetoczyło się na drugą stronę, a powietrze wciąż brzmiało tysiącami porrykiwań, beków, rzeń i tupotów, wreszcie cichy, ciepły zmierzch dał im radę, że chociaż

⁷⁵zbrakło — dziś popr.: zabrakło. [przypis edytorski]

głodni, skłóceni, rozdygotani, walili się ze zmęczenia tam, gdzie kto stał, i zasypiali ciężkim, kamiennym snem.

Rex, który przez owczarków wiedział o wszystkim, ozwał się⁷⁶ wreszcie do Kulasa.

— Cóż pocniemy? — i wpatrzył się w księżyc, wpływający właśnie na niebo.

— Ja wiem, co zrobić — odszczeknął urągliwie, odsuwając się nieco na stronę.

Olbrzymia wilczyca wyskoczyła z krzaków i padła przy Reksie.

— Ja ci poradzę — warknęła i, oblizawszy mu pysk, rozciągnęła się przy nim. Nie podobał mu się ten kares, ale jeszcze więcej zdumiała jej obecność.

— Wiedź nas, panie i nie oglądajmy się za tym zdychającym mięsem. Pociągną za nami. Trwoga ich popędzi, coś poczną sami?

— Nie wyszczekuj głupich rad. Czego tu chcesz? — zgniewał się Kulas.

— Do mnie, synkowie — dojrzała jego prężący się grzbiet i przekrwione ślepia. — Mam właśnie z tobą porachunki. Uciekasz przede mną jak zajęc.

— Nikczemna suka! Nie mogę się pozbyć z barlogu tego zawszonego kozucha. Każę cię wypędzić z gromady. Precz mi z oczu — warknął, rzucając się do niej z wściekłością, lecz zanim dotknął jej kłami, wilczki osłoniły ją płotem rozszechanych kłów, że ledwie zdążył uskoczyć na stronę.

— Bunt przeciwko wodzowi! — wrzał, aż mu się zagotowało w gardzieli. Gniew, nienawiść i obrażona duma ledwie pozwoliły mu oddychać.

— Próchnieją ci kły, mole żrą jak starą pierzynę, ślepniesz o zmierzchu, a jeszcze chciałbyś panować — urągała zjadliwie. — Skopały cię wczoraj cieleta i uciekłeś! A niedawno świnię obmacywały ci ryjami kałdun; nie śmiałeś nawet warknąć — tak straszliwie smagały go te bicze, że darł pazurami ziemię i chrapliwie skowyczał, wyczekując sposobnej chwili do rzucenia się w bój.

— Stawaj na placu, nie wydrzesz się śmierci. Dosyć mamy twoich rządów i podstępów! — zawyla, gotując się do śmiertelnego boju. Ogromna była, największa ze stada, prawdziwa matka gromady; sucha i zwinna jak brzeszczot, sprężysta, nogi miała niby ze stali, paszczę zionącą ogniem i połyskującą strasznymi kłami. Na ciemnej skórze znaczyły się blizny ran dawnych. Spod ściągniętych brwi jarzyły się błyskawice krwiożerczych spojrzeń. Cała w bojowym dygocie charczała krótko.

— Stawaj! Stawaj!

Naraz ze stu owczarków obskoczyło ją murem, a Rex groźnie zaszczekał.

— Dosyć tych awantur. Nie pora na rozprawy. Kulas zostanie przy stadach.

Rozkaz był groźny; wilczyca, przyczołgawszy się do jego nóg, zaskomlała.

— Twoja wola. Zostanę przy tobie, panie, będę nad tobą czuwała.

— Zostań. O świecie ruszamy, choćby sami.

Rzucił się pod krzaki, ale nierychło zasnął, gdyż wilczyca przyciągnęła mu kawał jakiegoś mięsa, i gdy się nasycił, kładła mu w uszy nieskończone żale na Kulasa. O świtanu, kiedy się podnieśli do drogi, całe obozowisko było już na nogach i wyczekiwało tylko rozkazów.

— Coś ich znowu przemieniło! Stoją jak baranki — dziwił się Rex.

— Czy w tym nie ma jakiego podstępu? — niepokoila się wilczyca. Rex, skoczywszy na swojego ogiera, ruszył na czoło pochodu, wilczyca biegła obok niego, a wszystkie stada, jak było sięgnąć okiem, stały gotowe.

— Na wschód! Do słońca! Na wschód! — zawyły owczarki.

I stada ruszyły niby wody nieprzejrzane, równo, spokojnie i cicho tocząc się ku górom połyskującym w dali srebrzystymi szczytami lodowców.

VIII

Dnie⁷⁷ niby szarobłękitnawe koła potoczyły się równo, cicho, monotonnie i tak podobne jeden do drugiego, że już nie wiadomo było zali dzisiaj nie jest jutrem lub nie staje się znów wczoraj. Przelewały się z wolna i leniwie jakby głębokie, nieprzejrzane wody, płynące wszystką szerokością świata. Podnosiły się o świtaniach blade, bez zórz, szare

⁷⁶ozwał się (daw.) — odezwał się. [przypis edytorski]

⁷⁷dnie — dziś poprawnie: dni. [przypis edytorski]

i jakby wieczne, niestrudzone pielgrzymy⁷⁸ ruszały w drogę bez końca; wymijały posępne południa, snuły się wskroś żałobnych zmierzchów i kładły się na ciężki sen w czarne noce — w noce bez gwiazd i księżyca, jakoby w trumny wiecznego milczenia. I tak było co rano, ciągle i zawsze.

I tak co rano toż samo niebo rozpinano nad światem swoje zgrzebne szare przędziwa.

I tak co rano toż samo zgazzone, umarłe światło zasypywało oczy niby mialkim, przenikającym na wskroś, piachem.

I tak co rano budziła się w sercach też sama bolesna, niepojęta tęsknota i jakby biczami popędzała dalej, wciąż dalej.

A góry, połyskujące srebrzystymi majakami śniegów i lodów, były wciąż niedościgłe i jednakowo dalekie. I ziemi jakby nie ubywało pod stopami. Stada szły niestrudzenie i tak szeroką falą, że mogło się wydawać jakby zarówno wszystko się z nimi poruszało, jakby niósł ich przeolbrzymi korab wskroś pustek wszechświata. Bowiem niczyje oczy nie potrafiły się rozeznąć w tej monotonii jednakich wzgórz, jednakich drzew, jednakich rzek i jednakiej szarzyzny dni, nieba i ziemi, jakie przechodzili. Nie wiały wichry, nie padały deszcze, nie doskwierało słońce, nie kasały mrozy. Dnie za dniami spływały tak sobie podobne jak ziarna rozsypującego się różańca. Dawalo to niekiedy wrażenie, jakoby stali w miejscu pomimo ciągłego posuwania się naprzód. Aż stało się, iż ta monotonność przerobiła wszystkich na swój obraz doskonałej szarości, milczenia i martwego spokoju. Pomilkły spory; ustały zwady i przeciwy. Nie było szamotań, ryków, ni żalosnych beczeń. Zacierały się nawet przyrodzone różnice. Jednak dola tak ich wewnętrznie upodobniła, że się już nie rozeznawali pomiędzy sobą. Żrebięta wędrowały z wilkami, maciory szukały ciepła w chłodne noce pod brzuchami krów, cielęta szły obok ogierów, a stare woły wlokły się ze spuszczonej łbami razem ze świniami. Stali się jedną olbrzymią istnością o jednym tylko czuciu i pchaną naprzód jednakim instynktem. Nawet bowiem wspomnienia nie wytrącały nikogo z tej żelaznej równowagi. Co było kiedyś — dawne życie, ludzie, dawne smutki czy radości, szczeło w pamięci, niby zeszlóroczne badyle na ugorach, i rozsypywało się w pył.

Wędrowali już bez dręczących pytań a w pokornym posłuszeństwie.

Najlichsza pasza smakowała, goła kamienista ziemia dawała rozkoszny wypoczynek utrudzonym gnatom, a sen przynosił zapomnienie o wszystkim. O każdym świtanu żurawiane krzyki zrywały ich na nogi, a psie i wilcze ujadania popędzały wciąż dalej i dalej.

— Tam, za górami, już niedaleko! — wył często Rex dla zachęty.

Więc parli się do tych gór z coraz większą mocą, uporem i szaleństwem niezachwianej wiary, że wkrótce osiągną tej ziemi obiecaną. Ślepią, promieniejącą jakby błagalną modlitwą i niemym krzykiem tęsknot, podnosiły się raz po raz ku tym górcom upragnionym a tak strasznie dalekim.

Aż po wielu, wielu takich dniach, o jakimś zmierzchu dosięgli niespodzianie punktu, gdzie ziemię, dotychczas równe, obrywały się nagle gwałtownie, spadając poszarpanymi urwiskami w jakąś niż, dającą pozór niezgłębionej otchłani. Z ciemnych, zionących przegniłą wilgocią wąwozów i rozpadlin, zagrały dalekie belkoty potoków i tysiączne echa niby to burz szalejących, niby piorunów i niby ryków dzikich zwierząt.

Przed tymi jakby wierzejami⁷⁹ do nieznanych światów zatrzymały się strwożone gromady, nasłuchując z ciekawością i węsząc.

— Nie ruszać się, stać w miejscach! — ostrzegały żarliwe owczarki.

Zapadła wnet noc wielce swarliwa, zimna, wietrzna i pełna niepokojów. Świt miał dopiero odsłonić tajemnicę, a tymczasem stali, cisnąc się do siebie i obawiając poruszyć z miejsca, gdyż wszędzie czerniały zdradzieckie rozpadliny i ziemia tak dygotała pod nogami, jakby się miała lada chwila oberwać i runąć w przepaści. Grozę podnosiły grzmoty i błyskawice, wybuchające co pewien czas gdzieś z samego dna głębin i mroków. Drętwiały grzbiety i nogi, obezsiła senność, szarpał głód, pragnienie skręcało wnętrzności, lecz stali cierpliwie, wyczekując dalekiego jeszcze dnia i już marząc sennie, co ten dzień przyniesie. nie wiadomo skąd wylęgły szept roznosił nadzieję, że to już ostatnia noc męki i udręczeń.

Tęsknota, Nadzieja

Góry

⁷⁸niestrudzone pielgrzymy — dziś popr. odmiana: niestrudzeni pielgrzymi. [przypis edytorski]

⁷⁹wierzeja (daw.) — wrota, drzwi. [przypis edytorski]

— Jutro! Jutro! — niosły się ściszone głosy. — Jutro! — zrywały się krótkie poryki. Jak w obrazach były w nich widne wszystkie pragnienia i zarazem wszystka pewność wiary w to nadchodzące jutro. I z wolna wszystkie stada, przestępując z nogi na nogę, meły na spieczonych gorązką ozorach straszne pragnienie tego błogosławionego, wytęsknionego jutra. A że serca wezbrane nie mogły już pomieścić gwałtownych uczuć, wybuchnęły nagle prawdziwym huraganem wołań. Rozpoczęły rogatę potężnym, uroczystym rykiem, a potem zawtórowała reszta pomieszanymi głosami, że aż do świtania rozlegał się ten chór śpiewanym taką godnością i żarem, jakby przed drzwiami raju.

Po północy zaczął padać deszcz i wkrótce przemienił się w ulewę i padał niemiłosiernie do chwili, kiedy spod rozdrzanego szkliwa spływającej wody jęły się wynurzać mgławce zarysy świata i stawać kształtami. Wtedy ustały i ryki, a po chwilowej ciszy w rozmiękłym, szarym powietrzu zaśpiewały żurawie i rozsypał się łopot niezliczonych skrzydeł.

Zjawił się i Rex z nieodstępną już wilczycą.

— Naprzód. Naprzód! W drogę! — wył rozkazująco.

Nie trzeba już było ponawiać nakazu, runęli w czarną gardziel wąwozu jak rzeka, przyrywająca tamy, i, cisnąc się srodze a porykując, popłynęli niepowstrzymanym i wzbie-
rającym burzliwie nurtem. Jeszcze któreś obejrzało się za siebie, któreś ryknęło w nagłej trwodze, któreś nawet zapragnęło się cofać, lecz gromady już wzięły pęd i, porwane ogólnym ruchem i spadziostością drogi, spływały w niziny coraz tłumniej i coraz prędzej.

W cieniach wyniosłych, dzikich skał rozegrzmiały tysiączne tętenty niby burza, od której chwiały się lasy na szczytach; po zboczach leciały kamienne lawiny, a spłoszone ptactwo z krzykiem uciekało.

Wąwóz miejscami zarzucony był rumowiskiem zwietrzałych kamieni i stertami połamanych, spróchniałych drzew, przecięty potokami; niekiedy głębokie rozpadliny kładły się w poprzek; niekiedy musieli przepływać głębokie dolinki, zalane wodą i podobne do zielonych mch drążonych w skałach; niekiedy zaś wąwóz przemieniał się w ciasną i mroczną gardziel, gdzie o skaliste, chropawe ściany krwawiono sobie boki i obtrącano rogi. I nie opowiedzieć tych przeszkód, jakie zwalczali w posępnym a zaciętym milczeniu. Ale ponosiło ich szaleństwo, niedające pojąć ni odczuć grozy tego pochodu. Byli już jakby skamieniali na wszelkie cierpienia: miażdżyły ich spadające skały, topiły zdradzieckie wody, pochłaniały przepaście, nękały ciągle głody, zabijał nadmierny trud. A kto padł, tego roznosiły kopyta tysięcy; kto na chwilę osłabł — ginął, kto pozostawał w tyle, również przepadał. Śmierć ze wszystkich stron wyciągała nieublagane pazury.

Dla słabych nie było miłosierdzia ni litości.

I wszystko jakby się sprzysięgło na ich zgubę.

Prawie każdy dzień pastwił się nad nimi a coraz okrutniej.

Zapłaciwszy bowiem krwawy okup za górskie przejścia, wpadli niespodzianie w szeroką strefę lodów, śniegów i ustawicznych burz.

Nocami spod śnieżnych tumanów i wskroś lodowatych wichrów wydzierały się żałosne jęki marznących. Zasię i dnie nie stawały się litościwsze: przemarzłe słońce zielonkawą, lodowatą żrenicą patrzyło na te trupy, zdychające korowody, jakie się wlokły wskroś rozszalałych śnieżnych odmetów.

A kiedy i te przewyciężyli, zastąpiły im znowu drogę jakieś niebotyczne, pomarłe bory. Stały zwarte, ogromne, prawieczne, i pod ich sklepieniami leżały rude mroki jakoby dnia ożenionego z nocą. Stały proste, niebosiężne, podobne kolumnom, uczynionym z czerwonej miedzi, a zbutwiałe już od niepamiętnych czasów. Były jeno próchnem, utrzymanym w swoich kształtach przez wieczysty bezruch i wieczyste milczenie śmierci. I ziemia pod nimi leżała martwa, pokryta trupimi liszajami porostów. Ale najstraszniejszym było, że za każdym głośniejszym rykiem, za każdym uderzeniem a nawet za każdym mocniejszym stąpnięciem bór się rozpadał i walił. Niebosiężne kolumny rozsypywały się w zetlałe próchno. Zaczęła się rozpaczliwa, głucha walka z tym miałym, trupim piachem, sypiącym się ze wszystkich stron. Spływał bez szelestu niezliczonymi rudymi kaskadami, zasypując całe gromady. Mieli go po kolana, potem sięgał już brzuchów a w końcu jeno łby szamotały się gwałtownie w rdzawych kurzawach. Tysiące zostało żywcem pogrzebanych, a pozostali, wstrzymując nawet dyszenia, przemykali się nogą za nogą, w śmiertelnej trwodze wymijając każde drzewo z osobna.

Śmierć

Wiódł ich jeno instynkt i żurawiane klangory, śpiewające o każdym świtanu gdzieś wysoko nad borami, że w końcu, przed śmiertelnie umęczonymi otworzyły się zielone, ogromne podgórza, skąpane w jasny, radosny dzień. Świeciło słońce, przewiewał upajający wietrzyk, chwiały się soczyste trawy, gęsto znaczone kwiatami, słodko bełkotały niezliczone ruczaje, olbrzymie cedry rozścielały łaskawie aksamitne cienie, cisza nagrzanego popołudnia dzwoniła nieustającym brzękiem owadów.

Podgórze staczało się łagodnie w dolinę, ledwie objętą oczami, z której jakby wyrastały te góry olbrzymie, do których ciągnęli od tak dawna. Lodami okryte szczyty skrzyły się w słońcu jakoby srebrzystymi pochodniami. Zbocza, odziane w zieloną szatę lasów i pocięte białymi smugami wodospadów, postrzępione dzikimi pędami nagich skał, dawały obraz pełen majestatu i wielkości. Zasię z boku, z lewej strony polśniewała nieogarniona modra gładź morza. Powietrze drgało rytmicznym biciem fal.

Długo pozostali ślepi na te wszystkie cuda; i długo jeszcze, przepelnieni zgrozą wyniesioną ze śmiertelnej walki, leżeli z łbami przywartymi do ziemi, wyczerpani do ostatka, niepomni nawet głodów ni ran, krwawiących jeszcze.

— Już się nie ruszę, raczej wolę zdychać — ryknął jakiś buhaj, jakby wiernym echem wszystkich gromad. Jakoż całe dnie upłynęły, zanim wzięli się do jadła i picia i zanim, przychodząc nieco do sił, zaczęli się rozglądać po świecie.

Rex, obleciawszy ocalałych, powrócił do wilczycy srodze znękany.

— Czy to już wszyscy? — przerażenie ścisnęło mu gardziel, ledwie łapał powietrze.

— Nie ma Kulasa i wilków — objaśniały owczarki.

— Wiedziałam, że zdradzą — zawarczała wilczyca. — Uciekli jeszcze przed wąwozami.

— Ale czy to już wszystkie stada? — kłopotał się, nie mogąc wierzyć oczom.

— Reszta wymościła gnatami rozpadliny i te przeklęte bory.

— Byłoby lepiej, żeby była nie uszła ani jedna żywa noga.

— Nie martw się, jeszcze wyginiemy — dogryzały zuchwale owczarki.

— Już niedaleko, niedaleko — obiecywał stanowczo Rex.

— Czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilcy zjedzą — zaskamlał urągliwie któryś i, zanim skończył, krwią spłynął pod kłami wilczycy, nauczyła go poszanowania.

— W której stronie zapadły na noc żurawie? — węszył i nasłuchiwał na wszystkie strony.

— Zaprowadzę cię do nich, aż mi w uszach wiercą ich krzyki.

— One się ciebie boją, zostań i czuwaj.

— Nie pamiętam nawet smaku ich mięsa — zadyszała wzgardą i, wskazawszy mu kierunek, wiodący do nich, poleciała rozejrzeć się w leżących stadach.

Z nieprzeliczonych gromad, jakie się zbuntowały przeciwko człowieczemu jarzmu i poszły szukać wolności, widniało zaledwie tysiące niedobitków.

Zaiste, pierwszy raz w życiu litość targnęła jej wilczym sercem, gdy się przyjrzała tym wynędzniałym szkieletom, leżącym bezwładnie.

— Gnaty, same gnaty i dziurawe skóry! — zaskomlała współczująco.

Roztkliwił ją również widok owiec; leżały pod cedrami.

— Uratowane, i jak, jak? — troskała się, podpełzając nieco bliżej.

— Nie wiemy! Nie wiemy! — rozbeczały się, uciekając pod opiekę baranich rogów.

I świńska gromada zdawała się być w całości. Rozwalały się na piaszczystych brzegach strumienia. Na widok wilczycy jęły się podnosić groźne ryje, trwożnie zastrzygły kłapiaste uszy, a okrągłe, mądre ślepie wpierały się w nią z lękiem.

— Nie myślałam, że was jeszcze zobaczę. I prawie wszyscy ocaleli!

— Bo lecieliśmy, jak zwykle, na końcu, przecież nie mamy końskich kulasów.

— A jak się zaczął bór walić i sypać, tak my ostrożnie i wolniutko stronami.

— Nam pilno tylko do koryta! Do śmierci nikomu się nie śpieszy.

— Macie szczęście! — warknęła z uznaniem.

— Mamy rozum, żeby się nie pchać tam, gdzie już drudzy giną.

Podpełzła bliżej koni, ale któryś trzasnął kopytami i rżał brutalnie.

— Poszła precz, suko, nie włócz się tutaj, bo zatratuję.

I rogate przyjęły ją nieprzychylnie, gdyż jakiś buhaj zagroził jej rogami.

— Chcesz komu flaki wypuścić? Masz dosyć naszego mięsa w borze!

— Jakże mało z was pozostało, jak mało! — ubolewała tak szczerze i przeciągle, aż te skowytły rozlegały się płaczliwymi echemi.

Buhaj podniósł ciężki łeb i wybuchnął potężnym a wzgardliwym rykiem.

— Pioruny nie biją w chwasty; takie parszywe skóry, jak ty, ocalają się nawet z potopów. Precz, żebyś nam tu nie śmierdziała!

Zawyla w odpowiedzi — klacze jęły się zrywać, rzeć trwożnie i bić kopytami.

— Głupie mięso. Macie szczęście, nie jestem głodna — warknęła wspaniałomyślnie.

Było już ciemno, kiedy powróciła do Reksowego legowiska, z jakimś ułowionym mięsem jeszcze ociekającym krwią. Zabrali się wnet do żarcia. Długą chwilę tylko gnaty trzeszczały i słychać było żarłoczne chleptania. Wreszcie Rex, nasycony, oblizując się smakowicie, jął rozpowiadać o żurawiach.

— Zostanę nad wodami do odmiany księżycy i przylotu bocianów. Tymczasem i nasi odpoczną i podpasą się, zbiorą siły, trawy wszędzie gęste. Ale widziałem dużo tłustych, ciężkich ptaków po polach, prawie same lecą w kły, stad trzeba oszczędzać, zostało ich tak niewiele — rzucił jakby od niechcenia.

— Nie lubię ptaków, kłopot z obdzieraniem pierza i zostają ślady.

— Mamy już niedaleko, za tymi górami — spojrzał na szczyty, majaczące w mrokach.

— My je przejdziemy, ale jak sobie poradzą rogi, kopyta i racice.

— Pójdziemy dolinami. Żurawie nas przeprowadzą.

— Co im tam góry czy morza, przelecą. Czy stada zechcą iść dalej?

— Nie chciałyby iść dalej, teraz, kiedy już tak blisko do rajów! — zdumiał się.

Zwinęła się w kłębek, zdając się zasypiać.

Księżyc wytoczył się na ciemne niebo, lodowe szczyty jakby przygasły, ziemię zaczęły oprędzać srebrzyste mgły, cichość zalewała świat, tylko dalekie, nieustanne bicie fal stawalo się jakby rytmicznym, mocnym uderzeniem serca. Rex nie mógł zasnąć, zbudziły się w nim jakieś trwogi.

— Takim obieżyświatom nie bardzo można dowierzać — warknęła niespodzianie.

Właśnie był rozważał żurawiane wskazówki i opowiadania.

— Tym niebieskim latawcom wszędzie dobrze. I co oni mogą wiedzieć o ziemi?

— Co oni mogą wiedzieć o naszym życiu — ziewnęła jakby znudzona. — Skrzydła wyniosą ich z każdej złej przygody. Nie pojmują hazardu walki ni słodczy zwycięstwa. Taki głupi dziób połknie żabę i może o tym latać choćby cały tydzień. A błotnistych kałuż nigdzie im nie brakuje. I pycha je roznosi, że człowiek na nie nie poluje. Cóż to za raj, do których nas prowadzą? Pewnie bagna i wody.

— Z pewnością nie ma tam naszego ciemńycy i kata, nie ma człowieka.

— Ale czy będziemy się mogli tam wyżywić! Nie myślę o sobie.

— Śpiewały mi o tym świecie cudowne pieśni. Wierzę im, one nigdy nie kłamią.

— Każda liszka swój ogon chwali. Dziwi mnie tylko, czemu z tych rajów przylatują do nas wywodzić młode! My barlogów nie ścielemy na drugim końcu świata.

— Tajemnica — odwarknął niechętnie. — Tego się rozumem nie przejrzy.

— Sowy po dziuplach także krzyczą: tajemnica, tajemnica! Ślepe są na słońce i myślą, że drudzy również nic nie widzą! — zawyla, aż lękliwie zabeczały owce.

— Milcz, bo cię wygonię! — warknął srogo, zaniepokojony wątpliwościami, jakie w nim wzbudziła. Nie wolno mu było wątpić o skrzydlatych. Wszystkie jego wiary i nadzieje, i wszystka przyszłość tylu czworonogich rodów zrodziły się z tych pieśni czarodziejskich. Przecież jeno te żurawiane klangory wiodły ich przez pustynie straszego świata. Gościniec wymoszczony własnymi gnatami zostawili za sobą. Rzucili wszystko i parli się wskroś wszystkich piekieł do tej wysnioną krainy szczęśliwości. Niedalekiej już, niedalekiej. Znowu mu o niej śpiewali cuda! Nową wiarą napaśli mu duszę. Złość mówi przez nią, snąc rozdrażnia ją światło.

Nie mógł zasnąć, księżyc świecił prosto w ślepią, i z dolin przywalonych mgłami wrywały się niekiedy echa jakichś ryków, od których przechodziło mrowie.

— Czekaj nas ciężka przeprawa! — dasłuchiwał ze drżeniem.

— Pchniemy naprzód rogata, na próbę.

— Co może tak strasznie ryczeć? — niepokoił się.

— Zobaczymy, jak nas napadną. Śpij, dzień już niedaleki.

Tajemnica

Ale i nazajutrz, przy świetle słońca, powróciły też same wątpliwości i jakieś dziwne, niepojęte lęki. Unikał wilczycy, a zatroskał się naraz o gromady, biegał pomiędzy nimi, oglądając niemal każdego czworonoga z osobna. Wdawał się w przyjacielskie pogwary, z płomiennym przekonaniem prawiąc o niedalekim już celu wędrówki. Wskazywał góry, za którymi miały się już skończyć wszystkie cierpienia. Starał się w nich przelać całą swoją wiarę w to jutro szczęśliwe. I swoim grzmiącym, lwim głosem powtarzał, co był zasłyszał od żurawi. A robił to z coraz większą żarliwością, gdyż poczuł wśród nich wzrastającą niechęć. Zdało mu się, iż przekonywa niemych i głuchych. Podniosły się łby, ciężkie oczy wpijały się w niego, ale odpowiedzią było jeno złowrogie milczenie. Pomnażał usiłowania i nic nie pomagało. Wyszukiwał lepszych pastwisk, czystych źródeł, chłodniejszych legowisk na południowe odpoczynki — na darmo wszystko. Nieufność rosła coraz większa i z dnia na dzień. Jakaś niewidzialna, a coraz głębsza przepaść otwierała się pomiędzy nimi. A przecież nażerali się znowu do syta. Sprawdzał, jak im się wypełniały zapadnięte boki, jak skóry zaczynały połyskiwać, a grzbiety im się prostowały. Nawet głosy nabierały donośności i mocy. A równocześnie było coraz więcej wyrzekań. Dosłyszał je któreś nocy, gdy pod osłoną mgieł przemyczał się wśród nich. Świnie, używające na orzeszkach, leżących pod cedrami, chrząkały leniwie.

— Cóż to za żarcie! Gorzkie jak piołun, zgniłe. Och, kartofle z osypką, kartofle!

— Albo te trawy — rżał jakiś drygant⁸⁰ — jakby się gryzło osty, parzą w gębie...

— Co ja bym dał za miarkę owsa lub wiązkę siana.

Krowy, ledwie widne z bujnych traw, pojękiwały również.

— Taka pasza, żresz cały dzień, a wymiona puste i brak sił. Och! Buraczane liście, makuchy, kłak suchego siana! To były uczty nad uczciami.

I spróźniaczone⁸¹ woły, o brzuchach jak beczki, wyrzekały płaczliwie.

— Schylaj się cały dzień, skub trawkę za trawką, a wieczorem kaldun pusty, grzbiet obolały i jeszcze gnaj szukać wody. Na psa mi taka wolność. Nie dla nas takie szczęście. Szło się do gotowego, już z daleka żłób pachniał obrokiem.

Nawet te głupie owce wybekiwały nieustannie, że im było za gorąco w tych wełnach wciąż narastających, a z których nie miał ich kto ostrzyć.

Stary Srokacz, który wydostał się z lasów mocno poturbowany i jakby niespełna rozumem, wahał się wciąż, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, i wciąż porykiwał.

— Mówilem, źle się skończy! Mówilem! Szukajmy pana, szukajmy człowieka! Uu! Uu!

Rex wrócił na barłóg zgryziony i rozgoryczony.

— Podłe mięso — zaskomlała wilczyca, wysłuchawszy relacji. — Już ich roznosi pasza.

— Nażerają się po gardziele, nic nie robią i czegoś im więcej? — biadał.

— Mają za dobrze. Bieda przyprowadzi ich do rozumu. Trzeba ruszać dalej.

— A teraz ja się boję, czy pójdą? Czulem w nich nienawiść! I za co? Za co? Prawda, pastwiska już stratowane i wytarte, wody też zapaskudzone, czym ich poruszyć?

— Obietnicami. Obiecuj, co jęzor wytrzyma, uwierzą i pójdą.

— Jakże to? — warknął zgorszony.

— Obiecanka-cacanka, a głupiemu radość! Nic nie zeljesz. Szczęście leży w nadziei. A czymże żyli dotąd? I jeszcze powiadają: nadzieja matką głupich, a ja bym była na wszystkich świat, że nadzieja matką wszystkich. Niech owczarki poniosą niby to tajoną wieść, jako wędrówka skończy się w dolinie pod górą, że tam już kres ostateczny; tam wolność i szczęście. Trzeba ich czymś poruszyć, bo jak się rozsmakują w tym błogim lenistwie, dalej nie pójdą. Zresztą, alboż im to źle? Żrą do syta, człowiek ich nie wytępią, i bat nad nimi nie poświstuje. Żeby tam, gdzie ich prowadzisz, nie mieli tylko gorzej.

— Tam nie dotknęła ziemi stopa tyrana — zawarczał namiętnie. — Dobrze radzisz, ale co będzie potem, kiedy dojdziemy pod góry?

— Potem zapomną co słyszeli, a pójdą na lep nowych obietnic i znowu dadzą się poprowadzić dalej. Muszą być oszukiwani, dla ich szczęścia...

— Masz łeb płodny fortelami — podziw w nim wstał, graniczący z lękiem.

⁸⁰drygant (daw.) — ogier. [przypis edytorski]

⁸¹spróźniaczony (daw., gw.) — leniwy. [przypis edytorski]

Nienawiść

Kłamstwo, Nadzieja

Kłamstwo

— Każde z wolnych musi mieć swój rozum, nie żyjemy z ludzkiej łaskawości.
— Trzeba stąd ruszać, gdyż tutaj wkrótce rozpoczną się burze i ulewę.
— Lecę przyspieszać porę wymarszu. Czy ufasz swoim?
— Psom! Jak sobie. Widziałeś, jak całą drogę byli wierni i oddani.
— Daj baczenie na te chłopskie kundle, one coś knują przeciwko nam...
— Przywidzenia, najwierniejsi z wiernych. Toć i owczarki nie dają ci przystępu do owiec.

— Jeszcze się taki nie ulągł, który by potrafił mi wzbronić! — zaskamlała wyniośle.
— Widziałam, jak po nocach coś kręca się między gromadami, coś wyszczekują cicho.

I z tym poleciała, zaś Rex pobiegł na skalisty występ, wiszący nad pastwiskami, i, rozciągnąwszy się, patrzył dokoła.

Podgórze, niby zielona, olbrzymia płachta, przerośnięta drzewami, staczało się w niezmierzoną dolinę, przytrząśniętą złotawym brzaskiem.

Za nią wynosiła się niebotyczna ściana gór, a z boku, daleko, gładz morska jarzyła się osłepiającymi drganiem. Nagrzany wiatr pieściwie owiewał.

Słońce wisiało jeszcze wysoko. Stada pasły się rozproszone, ledwo widne z traw i z barw prawie wypełzłe, tylko białe świn znaczyła się ostro pod rozłożystymi cedrami. Owce perlily się po zielonych zboczach niby rozsypane kamienie. Bełkotały monotonnie jakieś wodospady. Dalekie morze grało falami. Niekiedy wybuchał przeciągły ryk, częściej jednak jazgotliwe, przyjacielskie naszczekiwanie psów mąciły cichość.

Rex przenosił oczy z miejsca na miejsce, zdało się, iż dłużej patrzył w niepokalane błękity nad górami, gdzie krążyli orłowie⁸², to obzierał się⁸³ za siebie na ten przeklęty bór, wiszący na skraju widnokregu czarną, gradową chmurą, lecz ślepy był zarówno na przestrzeń, jak i na wszelki widzialny kształt. Zasłaniały mu bowiem świat zgryzoty, zrodzone głupimi skowytami wilczycy. Przyszły nagle do pamięci wszystkie przygody od chwili opuszczenia ludzi. Zjawiały się w pełni doskonałej, jak je każdy dzień przynosił. Jenó, że przeżywał je teraz z zawrotną szybkością. A nie brakowało w nich ani jednego posłyszanego jęku, nie zbrakło trupów pozostawianych w tyle, nie zbrakło głodnych, nieskończonych pochodów, niczego. Miotano się to wszystko w nim siłą huraganu, choć w cichości śmiertelnej. Otrząsał się z tych koszmarów, chciał jakby od nich uciekać, zapomnieć — nie było sposobu. Pasły się jego sercem udręczonym. Zgroza zjeżyła mu sierść i rozklekotała zęby. Skowyczał chwilami, darł pazurami ziemię, nie przemógł jednak tych przypomnień, dźwigających się coraz wyraziściej i tłumniej z nor mózgu. Gdzież są te nieprzeliczone rzesze? Całe szlaki, całe nieskończone szlaki, wymoszczone ich gnatami, zamigotały straszliwą wstęgą. I wielu z nich dosięgnie tej ziemi obiecanej? Niezmierny ciężar zwałił się na niego. Złość darła mu serce i zarazem coś jakby uczucie odpowiedzialności dawało znać o sobie falą szarpiącego bólu. Zawierzył żurawiom; oblały go ich górne, czarodziejskie opowieści. Zali to nie cudowne jeno baśnie? Zali może być na świecie takie szczęście? Młoty zdawały się bić w jego czaszkę coraz potężniejszymi ciosami. A jeśli to nieprawda, więc kłamstwem byłyby wszystkie jego wzniosłe hasła i obietnice, którymi zbuntował nieprzeliczone rzesze. Majakiem te ziemie obiecane, złudzeniem. I co się stanie, jeśli tam, gdzie ich w końcu zawiedzie... Nie, nie, zawył w nim instynkt samozachowawczy. Musi tak być, jak wierzył, jak śpiewały żurawiane pieśni⁸⁴, jak tego dusza pożałowała. I na zbawienie wywiódł te tłumy a nie na zatrąć. Ciężka jest ta wędrówka, cierpią i giną, lecz przecież mają nie gorzej, niżli mieli w człowieczej niewoli. Skruszył im kajdany i wywiódł na wolność! Poszli za nim dobrowolnie, nie przymuszał. Skarżą się, przeklinają go za swoje cierpienia. Trzeba cierpieniem płacić za wszystko. Naucz się żyć. Bólem zdobyte szczęście nie zawiedzie. Tyle dzikich gromad istnieje i nie zamieniłyby swojej wolności na ludzką opiekę. niesprawiedliwości wydali wojnę i muszą zwyciężyć. Są jeszcze ślepi, ale przejrzą dopiero tam, za górami, na tych rajszych polach szczęśliwości. W upojeniu nowego życia zapomną o przeszłości. I niechaj będzie przeklęta!

Ścichła w nim burza, jeszcze niekiedy grzmotnął piorun lub błyskawica wyżerała oczy, lecz z wolna dumny spokój ukołysał serce, umacniała się pewność, i dawne, nie-

⁸²krążyli orłowie — dziś popr.: krążyły orły. [przypis edytorski]

⁸³obzierać się (daw.) — oglądać się. [przypis edytorski]

⁸⁴pieśni — dziś popr. odmiana: pieśni. [przypis edytorski]

złomne wiary skrzepiły omdlałą wolę. Długo jeszcze dumał na skałach i dopiero o dobrym zmierzchu, kiedy księżyc wypłynął na niebo i cedry pokładły długie cienie, wrócił na legowisko.

— Lecą bociany, od zachodu słychać było klekoty — warknęła sennie wilczyca.

— Właśnie na nich czekają żurawie i my czekamy.

Zapadło milczenie. Noc srebrzystymi skrzydłami światła obtuliła świat.

Zaledwie świt ubielił wierzchoły drzew i zaświecił w przymglonych jeszcze oczach wód, gdy od zachodniej strony zaszumiały głucho mioty jakby nadbiegającej burzy, a pokrótce na błędnym niebie zamajaczyły nieprzejrzane ptasie korowody. Leciały olbrzymim trójkątem niby rozdrgana, brzemienna piorunami chmura. Spływały od pomarłych lasów, skośnym, zniżającym się lotem, że trzask klekotów osypywał się na podgórze suchym szelestem wiorów.

Bociany! Bociany! Zawrzało od krańca do krańca. Gromady jęły się gwałtownie zrywać i podnosić ciężkie łby ku tej biało-czarnej chmurze, opadającej coraz niżej. Tysiące ryków powitało starych przyjaciół. Odpowiedział im radosny klekot, i szumiący wir nieprzeliczonych skrzydeł załomotał tak nisko, że już dojrzeli wyciągnięte ostre dzioby i czerwone nogi, przywarte do brzuchów. Od bicia tych skrzydeł powiał gwałtowny wicher i zakolysał drzewami. Wraz też rozsypywał się w powietrzu świergot drobnego ptactwa i całe ich chmary, tające się na bocianich grzbietach, sfruwały ze słodkim szczebiotem. Obsiadły wszystkie cedry, krzaki, wyniosłości i jeszcze wielkimi gromadami padały między stada. Zasię bociania horda, okrążywszy podgórze, skręciła na lewo, nad wielkie rozlewiska, świecące z oddala bielkami jeszcze sennych wód. Tam opadły i długo nie milkły klekotania, żurawiane krzyki powitań i chlupoty wód, a ciągle było widać podrywające się na chwilę chmary.

Stada były głęboko poruszone przylotem bocianów, wielu pognęło za nimi. Niewytłumaczona radość rozpaliała serca i ponosiła. Jakieś szczęście spłynęło na wszystkich wraz z ich ujzieniem. Rogate nie mogły się powstrzymać od ciągłych ryków radości. Konie wyprawiały dzikie harce, rżąc i bijąc kopytami. Psy dziw nie oszalały, wyszczekując na jaskółki i skowronki, siedzące po drzewach. Zapanowała powszechna radość. Jakby święto uczyniło się na pastwiskach. Zapominano jeść, a co trochę spoglądano w niziny, nad wody, połyskujące już w ogniach wschodu. Bociany! Bociany! Zrywały się wciąż przeróżne głosy. I coś dziwnego ciągnęło do nich nieprzeparcie. Jakże, przyleciały spod tamtego nieba! Z dalekiej ojczyzny; z ich pól, z ich wiosek, z ich strzech. Przywiał wraz z nimi jakieś inne, upajające powietrze. Te suche, drewniane klekotania rozśpiewały się w nich czarownymi echemi przeszłości. Łzawa rzewność rozkołysała duszę. Alboż nie razem paśli się po łąkach. Nie klekotały to nad ich strzechami całymi latami. Nawet świny się roztkliwiły, wspominając, jak to im z koryt kradły żarcie te długie, twarde dzioby. Niejedna pamiętała jeszcze bolesne uderzenia. I nieraz na ścierniskach nasłuchiwały się kuropatwów skarg, że im podbierały jaja i kradły młode. Każdemu jakieś wspomnienie zapaliło się w pamięci, i każdego przejmowała nagle, dręcząca tęsknota za przeszłością. Zapachniały im dymy, zapachniały podwórza i zapachniały świeże obroki. Wzmogły się tęskliwe ryki spotęgowane jeszcze świegotem jaskółek, kołujących zapalczywie nad stadami, jak kiedyś...

I Rex poczuł się wytrącony z równowagi. Znał się z nimi wybornie. Gnieździły się przy dworze na starym modrzewiu i nieraz porywały mu z miski ziemniaki! Nieraz dla figlów ganiał za nimi po łąkach! Tyle wspomnień przyszło z nimi!

— Tam już zimno, śniegi! Ale i one w jedną z nami stronę — roztkliwiał się głośno.

Tylko wilczyca potraktowała ich przylot ze wzgardą i wzburzeniem.

— Śmieciarze, żabołyki! W sam raz kompania dla psów do polowania po śmietnikach — szczekała urągliwie. — Rozumiem żurawie, na swoim prawie żyją i z dala od ludzi, ale ta hołota, ci podwórzowi złodzieje, wiecznie głodni i wiecznie czyhający, żeby coś porwać, ci szczekacze, opaskudzający wszystkie drzewa, nienasycone gardziele.

— I niepodobna się przed nimi schronić, wszystko wypatrzą i na cały świat rozkloką. A jacy są mężni, to się wkrótce przekonam.

Jakoż przekonała się, przynosząc w biały dzień paru złowionych.

— Wzięłam na oczach wszystkich! Będą mi się odgrzązały przez całe miesiące.

Rex przerwał jej wesoło.

— Za parę dni ruszą wraz z żurawiami, a my zaraz za nimi.

Te parę dni przeszły w dziwnym nastroju podniecenia, wyczekiwań i jakby cichych narad. Tajemnicze pomruki słychać było nocami. I co jeszcze zwróciło czujną uwagę wilczycy, z czym się nie wydała, że psy, a nawet część owczarków przestawała wciąż z nimi, jakby razem coś spiskując. W dodatku rozpadały się ulewne deszcze, a w przerwach dzikie chmury przewalały się po podgórzach. Noce nastały ciemne, zimne i hukliwe. Doliny przysłoniły się nieprzejrzanymi mgłami. Niebo zaważyły ciężkie bure chmury, że słońce dawało pozór zielonkawego, zgniłego jaja. Na morzu zaś rozszalały się burze, fale skowyczały u brzegów, bijąc spienionymi chłustami ku obłokom. I nie było się gdzie schronić przed tą oszalałą dmą i ulewami, gdyż drzewa, szarpane wichurą, wyły przerażająco, zamiatając gałęziami ziemię.

Któregoś zmierzchu żurawie dały znać o gotowaniu się do odlotu.

— Jutro ruszamy dalej. Zawiadomić wszystkich — rozkazał Rex i, ogryzłszy jakieś schaby przywleczone przez wilczycę, zaszył się w krzaki i zasnął.

Obudził się o dużym dniu; deszcz nie padał i wiatr rozganiał resztki chmur.

— Ruszamy! Naprzód! Naprzód! — zawył ze wszystkiej mocy i naraz błędnymi ślepiami potoczył dokoła — podgórze były puste, tylko spienione wody bełkotliwie szorowały po trawach.

— Gdzież się zapodzieli? — wyszarpał się z niego głuchy skowyt.

— Rzeka wylała, musieli uciekać przed wodami! — tłumaczyła wilczyca, synowie przy niej stali, a kilkunastu najwierniejszych owczarków biegało, węsząc bezradnie.

— I nie można ich dojrzeć. Musieli wyruszyć jeszcze przed północą.

— Jak śmieli bez mojego rozkazu, jak śmieli — rzucał się gorączkowo.

— A śmieli. Dziwniejsze, że nic nie słyszałam, to niepojęte...

— Dogonimy. Naprzód! — zawył Rex, odzyskując zwykły animusz.

Popędził naprzód, prześcigając wody, spływające coraz szybciej. Podgórze opadały do syć stromo, miejscami trzeba było wymijać skaliste urwiska, miejscami zaś pod gwałtownymi obrywami przytulały się małe jeziora, obrośnięte drzewami.

— Muszą być niżej, za wodami. Kryją ich zarośla.

Ale i tam ich nie było. Rozglądając się dokoła, spostrzegli ze zdumieniem, że za wodami tropy skręcały nagle w prawo i ciągnęły się równolegle do gór.

— Zbłądzili. Nieszczęśni! Chcieli obejść te spadzistości i zmylili drogę — biadał.

— Ale też pędzą. Zwyczajnie to i w dwóch dniach tyleby nie przelecieli.

— Trzeba i nam wyciągać kulasy.

Pobiegli już cwałem. Ślady przejścia widniały na szerokiej przestrzeni: trawy leżały stratowane i wdeptane w ziemię, krzaki połamane. Na niskich kaktusach wisiały kłaki wełny i sierści. Szlak ten przecinały liczne potoki, groble szutrowisk i piaszczyste wydmy, a zamykały białe wzgórza kredowych złomów. Za nimi, nisko rozciągał się jakiś ogromny kraj szary, smutny i wypalony przez słońce. Gdzieś tam skrzyły się jakieś białe plamy i widniały kępy olbrzymich drzew.

— Tam odpoczywają! — zaszczekał któryś, patrząc w punkt, gdzie chmury ptactwa kołowały w jednym miejscu. Dojrzeli wnet modre rozlewisko wód obrzeżonych jakby rzęsami pierzastych palm i rozległe, zielone pastwiska.

— Leżą w cieniach — zaskowyczały psy, wydzierając się naprzód.

Rex, szalonymi susami wyprzedziwszy wszystkich pierwszy wpadł między stada.

— Ślepiów nie mieliście — zawył groźnie. — Zamiast iść prosto na góry, na wschód, wy jak głupie barany właśnie w drugą stronę! I bez moich rozkazów?

Ani jeden głos się nie odezwał, co go tak rozgniewało, że, biegając jak szalony, wyczekiwał na wszystkich, a dając folę⁸⁵ swojej naturze, tu i ówdzie szarpał kogoś kłami, uderzał łbem i drapał pazurami ziemię.

Tysiące patrzyły w niego niedocieczonymi ślepiami, zmęczeni byli drogą i upałem, senni, a on im przeszkadzał zażywać odpoczynku. Miejsce bowiem mieli wybrane, przejrzyste wody dyszały chłodem, palmy rzucały słodkie cienie, trawy były smaczne i miękkie, a lekki powiew kołysał w lubej drzemce, jakby przyśpiewywał.

⁸⁵dawać folę — tu: dawać ulgę. [przypis edytorski]

Rex, ochłonawszy nieco z gniewu, zaczął stanowczo rozgłaszać, jako zaraz po odpoczynku wracają do miejsca, gdzie na nich czekają żurawie.

— Stamtąd ruszamy prosto przez góry. Ostatnia nasza droga. Przejścia szerokie, łakami, nad rzeką. Trzy tylko odpoczynki, a potem już koniec naszych wędrówek.

— Nie wracamy! Idź w swoją stronę! Nasze drogi się rozeszły! — Podniósł się ryk, jak grom. Rex zakręcił się w kółko, jakby uderzony kamieniem, ale nie zawierzył swoim uszom.

— Droga równa jak w polach — ciągnął dalej — przejdziemy bez trudów, a potem koniec...

— Łiesz! Łiesz! — zaszczekały naraz wszystkie kundły, wystawiając łby spoza świń.

Wilczyca ze swoimi rzuciła się ku nim, broniły się zajadle, zwłaszcza, że im na pomoc ruszyły stare maciory. Powstało wielkie zamieszanie.

A Rex, straciwszy resztę panowania nad sobą, jął skomleć prawie pokornie; przekonywał, próbował trafić do rozumów, obiecywał, zachęcał i namawiał do wytrwania. Rozpacz zagrała mu w ślepiach, ściekając palącymi łzami. Otworzyła się przed nim przepaść. Wszystkie marzenia waliły mu się w ten dół niezgłębiony i, jak tamte, przeklęte lasy, zasypywały go próchnem unicestwienia. Wszystko im poświęcił, a teraz co? Podwoił siły, chwilami padał, ledwie już dysząc, ale zrywał się i ostatkami sił i przytomności walczył dalej z powszechną głupotą, uporem i tchórzostwem. Stawał przecież o ich własne dobro.

— Gubicie siebie! Gubicie przyszłe pokolenia! Zmarniejecie w tych pustyniach, żeżre was głód, rozszarpia dzikie zwierzęta, zabije słońce. Jeszcze trochę odwagi, bracia, trochę cierpliwości, trochę wiary. Tyleśmy wycierpeli, tak blisko mamy już do szczęśliwego końca i wolicie tutaj marnie zginąć! — zbrakło mu głosu, ochrypl.

Jakiś płowy buhaj, o potężnym łbie i krótkich rogach wysunął się z ciżby.

— Milcz, tyranie — ryknął, aż zadygotały liście palm. — Skomlisz jak wystraszone szczeniaki, ale nikt ci już nie uwierzy. Nie pójdziemy z tobą. Nie chcemy wyginać do ostatniego. Leć sam za żurawianym klangorem, goń sam te ideały i sam sobie szukaj wiatrów po świecie. Wymordowałeś nas nikczemnymi obietnicami. Czas skończyć z szaleństwem i oddać wodze rozsądkowi. Od prawników rządzą nami ludzie i od prawników dbali o nas. Zrobiłeś z nas zdziczałych, bezdomnych włóczęgów. Nieszczęśni, daliśmy się na lep twojej wolności. Dla niej kazałeś nam porzucić pewny byt i ojczyznę. Styraniżowałeś nas głupimi majakami. Bo to nieprawda, że tam za górami leży ta twoja obiecana ziemia wolności i szczęścia, nieprawda. Nigdzie jej nie ma, gdzie nie ma ludzi, gdzie nie ma obór, gdzie nie ma obsianych pól i gotowej paszy na zimę. Wiedziałeś o tym, a wywiodłeś nas i zaprzedałeś śmierci.

— Chcecie wrócić do jarzma, niewoli i batów! — zawył przesmutnie.

— Chcemy żyć! — buchnęły w niebo tysięczne głosy. — Chcemy żyć!

Zaskowyczała wilczyca, broniąca się rozpaczliwie przeciwko ryjom i psim kłom, skoczył jej na pomoc, lecz, zanim dobiegł, otoczył go las strasznych rogów.

— Śmierć tyranowi! Śmierć zdrajcy! Śmierć mordercy!

Przysiadł i, powłókłszy dokoła ślepiami bez trwogi, zawył po raz ostatni.

Po chwili, nad brzegiem modrych wód, w rozchwianych i przesłonecznionych cieniach palm, znaczyła się jeno wielka, krwawa plama.

W dzikiej zajadłości, literalnie roznieśli go na kopytach.

Triumfujące ryki rozgłaszały światu śmierć tyrana i odzyskaną wolność!

I oswobodzone od chimery stada jęły się wałęsać po pustyniach w niestrudzonej poszukiwaniu człowieka. Nie wiedziały nawet, gdzie go znaleźć, więc szły gdzie nęciła lepsza pasza i ponosiły oczy. I do ojczyzny pragnęły powrócić. Ale kto z nich mógł pamiętać, w jakiej ona stronie leży? Któż mógł je tam zaprowadzić?

Brnęli wskroś niezmiernych pustyń, żarło ich niemiłosierne słońce, zabijały głody i pragnienia, zasypywały piaszczyste zawieje, tępiły dzikie zwierzęta, lecz nic nie potrafiło w nich ugasić tej nieukozonej, strasznej tęsknoty za panem.

Bunt

Kłamstwo

Śmierć, Wolność

Aż po wielu, wielu dniach wędrówek jakby na przełaj świata, czołowe gromady zaczęły nagle przystawać, drżeć i walić się na ziemię.

— Człowiek! Pan nasz! Człowiek.

Człowiek, Pan, Król

Na skraju nieprzebytych zarośli, pod rozłożystą palmą siedziała małpia rodzina, olbrzymi goryl, snąc⁸⁶ zaskoczony zniecka, porwał się strachliwie z ziemi.

Na jego widok wszystkie stada padły w pokorze, i niebosiężny ryk wybuchnął.

— Panuj nam! Rządź nami. My twoi wierni! Nie opuszczaj nas!

Wystraszony goryl uciekł na palmę i, bijąc kokosowymi orzechami w najbliższych, bełkotał coś niewiadomego i parskał z wściekłością.

A z dołu wznosiły się nieustanne błagania:

— Panuj nam! Rządź nami! My twoi! Panie nasz!

Kołaczkowo, 17 VIII 1924.

⁸⁶ *snąć* a. *snac* (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/reymont-bunt/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Stanisław Reymont, *Bunt*. Baśń, wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Magdalena Stasiak.

ISBN 978-83-288-8072-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.